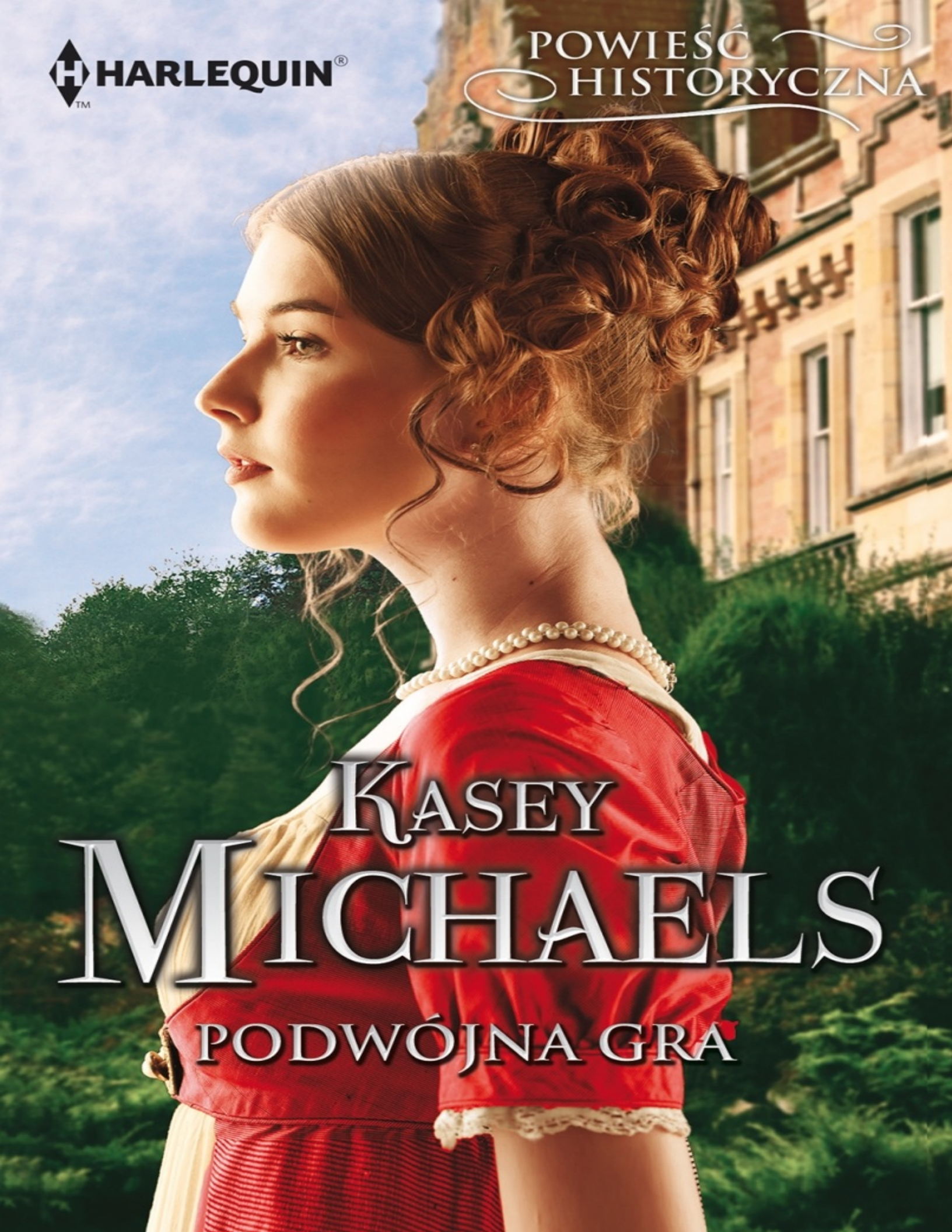


 HARLEQUIN[®]
TM

POWIEŚĆ
HISTORYCZNA



KASEY
MICHAELS
PODWÓJNA GRA

Kasey Michaels

Podwójna gra

Tłumaczenie: Anna Pietraszewska

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Romney Marsh, 1813

Eleonor Becket siedziała na ulubionym krześle przy kominku, pochylając się nad robótką. Cassandra i Fanny grały przy stole w karty w wyjątkowo zawiłą grę. Jej zasad nie zgłębił dotąd nikt oprócz nich – zapewne dlatego, że same je wymyśliły. Cassie od dawna powinna w najlepsze spać, lecz swoim zwyczajem odczekała, aż ojciec zniknie na dobre w gabinecie, po czym wymknęła się chyłkiem z sypialni, aby dołączyć do sióstr.

Morgan, od niedawna hrabina Aylesford, rozpierała się na kanapie ze stopami wspartymi na pufie. Przebierając pociesznie palcami u nóg, podziwiała z zadowoleniem swoje śliczne nowe bambosze. Spodziewała się pierwszego dziecka, więc nieczęsto je widywała, w każdym razie nie na stojąco. Przeszkadzał jej w tym pokaźny brzuszec.

– Wszystko będzie dobrze – przerwała uciążliwą ciszę Elle. – Nie zamartwiajcie się na zapas. Nic im nie będzie. Zobaczycie, wrócą do nas w jednym kawałku. – Powiedziała dokładnie to, co wszystkie chciały usłyszeć od początku wieczoru.

Fanny ochoczo jej przytaknęła.

– Mgła jest wystarczająco gęsta, żeby ukryć statek, ale ich nie spowolnić – dorzuciła Morgan, spoglądając przez okno na ciemne niebo. – Księżyc także im sprzyja. Callie, na miłość boską, przestań wreszcie rzuć ten warkocz. Jeśli skończysz z kłębkami włosów w żołądku, Odette będzie musiała wlać ci

w gardło wiadro rycyny, a my chętnie jej w tym pomożemy. Sama cię przytrzymam, żebyś nie uciekła.

Cassandra, rezolutna piętnastolatka z burzą brązowych loków, wypluła z ust wilgotny pukiel i odgarnęła go na plecy.

- Nie bądź niemiła, Morgie. Co ja zrobię, kiedy nie mogę się powstrzymać... Okropnie się denerwuję.

- Oszczędziłabyś sobie nerwów - wtrąciła rzeczowo Elly - gdybyś była tam, gdzie powinnaś być, czyli w łóżku. Jest środek nocy. Dochodzi trzecia, więc ciebie też to dotyczy, Morgan.

- Mnie? - obruszyła się lady Aylesford. - A to niby dlaczego? Owszem spodziewam się dziecka, ale to jeszcze nie znaczy, że raptem zniedołężniałam, a moja „delikatna konstytucja” nie przetrzyma jednej nieprzespanej nocy. Choć trzeba przyznać, że wyglądam jak, nie przymierzając, wyrzucony na brzeg wieloryb - zakończyła z uśmiechem.

Fanny nie wytrzymała i parsknęła śmiechem.

- Może nie byłoby z tobą tak źle, gdybyś się mniej obżerała...?

Morgan wyciągnęła zza pleców jasek i cisnęła nim w siostrę. Ta chwyciła poduszkę w locie, po czym wstała i przyłożyła ją do brzucha. Odchyliwszy się w tył, zaczęła chodzić po pokoju, stąpając ociężale z szeroko rozstawionymi stopami.

- Jak myślisz, Callie? Udało mi się uchwycić podobieństwo do naszej wytwornej hrabiny? A może powinnam dorzucić nieco więcej kaczego chodu?

Cassandra przyjrzała jej się z namysłem.

- Kaczego chodu dałaś w sam raz, ale powinnaś jeszcze wypchać sobie czymś policzki. Najlepiej cukierkami.

Eleonor uśmiechnęła się pod nosem, nie odrywając oczu od skomplikowanego ściegu, nad którym właśnie pracowała. Morgan odwiedziła rodzinę po raz pierwszy od kilku miesięcy.

Becketowie cieszyli się, że mają ją znów przy sobie. Była szczęśliwa i wyglądała kwitnąco, Elly miała jednak poważne obawy, że jeśli jej siostrzeniec lub siostrzenica nie zdecydują się przyjść rychło na świat, ich matka prawdopodobnie wkrótce eksploduje.

- Słyszaliście? Co to było? - Morgie próbowała „poderwać” się na nogi, lecz Elly natychmiast ostudziła jej zapał. Podeszła do niej pospiesznie i bez ceremonii popchnęła ją z powrotem na sofę.

- Uspokój się, Morgan. W twoim stanie nerwy są niewskazane. A wy skończcie tę błazenadę i bądźcie cicho. Nie chcecie chyba, żeby pomyśleli, że siedzimy tu po nocy i drżymy o nich ze strachu. Jakbyśmy zupełnie w nich nie wierzyły i były przekonane, że przytrafi im się najgorsze nieszczęście. Oho, zdaje się, że wrócili. Wszystkie na miejsca i udawajmy, że nie dzieje się nic nadzwyczajnego.

Kiedy Becketowie weszli do bawialni, Cassandra i Fanny znów grały w karty, Elly była pochłonięta robótką, a Morgan uraczyła ich na powitanie przeciągłym ziewnięciem.

- Patrzcie państwo, kto wreszcie raczył do nas wrócić - odezwała się, spoglądając na męża. - W dodatku cały i zdrowy. Doprawdy, kochanie, nie pojmuję, czemu się tak do mnie mizdrzysz. Wyglądasz idiotycznie.

Hrabia Aylesford uśmiechnął się jeszcze szerzej, po czym podciągnął na nos czarną chustkę, którą miał przewiązaną na karku.

- Tak lepiej, skarbie? - Pochylił się i pocałował żonę w zaokrąglony brzuch. - Jeszcze nie śpisz, dziecino?

- Mówisz do mnie, czy do maleństwa? Chodźże tu bliżej, niech cię uściskam. Przypuszczam, że doskonale się bawiłeś,

udając przemytnika, ale wiedz, że przez ciebie nie zmrużyłam oka. Całe to czekanie wyprowadziło mnie z równowagi...

Eleonor spojrzała na Morgan, gdy ta ujęła w dłonie twarz męża i ściągnąwszy mu maskę, pocałowała go mocno w usta. Przyglądała się szczęściu siostry z mieszaniną radości i smutku.

- Znów ją obściskujesz, Ethanie? - prychnął Rian, podnosząc do ust kieliszek, który podała mu Fanny. - Nie chcę ci psuć zabawy, ale zdaje się, że już swoje zrobiłeś.

Najmłodsza Becketówna zakryła usta, lecz nie zdołała powstrzymać się od śmiechu.

Courtland łypnął na nią spod oka i uniósł brew.

- Znowu przygryzałaś włosy, smarkulo - stwierdził z wyrzutem. - Co ty tu jeszcze robisz o tej porze? Natychmiast wracaj na górę!

Cassie opadła z impetem na krzesło i zrobiła nadąsaną minę. Elly zerknęła na nią ze współczuciem. Czyżby Court nie dostrzegał, jak bardzo Cassandra jest w niego wpatrzona? Przecież biedactwo dosłownie wielbi ziemię, po której stąpa ten niewdzięcznik. A może doskonale o tym wie i właśnie dlatego bywa dla niej niemiły? Nie zdziwiłaby się, gdyby próbował w ten sposób ostudzić jej zapał.

- Court - zwróciła się do przybranego brata. - Ojciec wie, że już jesteście z powrotem?

- Owszem, wie - odparł, nalewając sobie bordo. - Weszliśmy kuchennym wejściem, od strony plaży. Żeby zaoszczędzić wam pytań, od razu powiem, że tym razem obyło się bez większych przygód. Ot, jeszcze jedna nocna eskapada. Nic nadzwyczajnego.

- Nic nadzwyczajnego, powiadasz? - wtrącił Ethan, który przycupnął na poręczu kanapy i ścisnął żonę za rękę. - Może

dla ciebie. Już zapomniałeś, że musieliśmy uciekać przed strażą przybrzeżną? Ledwo im się wymknęliśmy. Na domiar złego straciliśmy dwie godziny. – Podniósł dłoń Morgan i cmoknął ją w palce. – Dzięki takim wypadom człowiek naprawdę czuje, że żyje. Będę musiał częściej wyprawiać się z wami na rajdy. Miałbym pozwolić, żeby ominęła mnie taka gratka? Za nic w świecie... Chyba rozumiesz, co mam na myśli, kochanie...?

Morgie przewróciła oczami.

– Ależ naturalnie, rozumiem. To oczywiste. Odkąd się ustatkowałeś, brakuje ci podniet. Czy może być coś bardziej nużącego niż życie w małżeńskim stadle? Z pewnością nie. Nic tylko nuda, monotonia i rutyna. Któż by to wytrzymał? Zatem śmiało, wypływaj z moimi kochanymi braćmi w każdy kolejny rejs. Kiedy tylko zechcesz! Gdzież bym śmiała powstrzymać twoje zapędy... I nie martw się, jeśli was schwytają, wtrącą do lochu, a potem zakują w kajdany i powieszą, opowiem naszemu dziecku, jak wyglądał jego nieodżałowanej pamięci nieustraszony papa.

– Też coś! – obruszył się Rian. – Słyszałeś, Court? Obrażają nas w naszym własnym domu. Każdy przecież wie, że Czarnego Ducha nie da się ot tak zwyczajnie złapać. Jeszcze się taki nie urodził, więc bądź spokojna, droga siostró. Trochę więcej wiary.

Eleonor puściła mimo uszu przekomarzania rodzeństwa i zajęła się robótką. Odkąd pamiętała, Becketowie byli hałaśliwi i uwielbiali się między sobą droczyć. Czy to możliwe, że tylko ona widzi więcej niż pozostali? Czy nikt inny w tym domu nie dostrzega, że życie w Romney Marsh nie jest aż tak proste, jak się wydaje? A ich wzajemne relacje są w rzeczywistości nieco bardziej skomplikowane, niż to wygląda na pierwszy rzut oka? Fanny od jakiegoś czasu wierzyła święcie, że jest zakochana

w Rianie. Bez przerwy wodziła za nim cielecym wzrokiem i nikt i nic nie było w stanie wybić jej tego z głowy. Z Cassandrą sprawy miały się jeszcze gorzej. Jej piętnastoletnie serce biło dla Courtlanda. Wielbiła go bezwarunkowo i bezgranicznie. I to z pewnością nie tak jak młodsza siostra wielbi starszego brata.

Cóż, należało się spodziewać, że prędzej czy później przyjdzie im się mierzyć z takimi problemami. Mieszkali na przysłowiowym końcu świata, w dodatku w niemal całkowitym odosobnieniu. I choć bez wątpienia byli rodziną, nie łączyły ich więzy krwi.

Ją samą na szczęście ominęły tego rodzaju sercowe rozterki. Zresztą nie tylko to różniło ją od reszty Becketów. Prawdę mówiąc, nigdy w pełni do nich nie pasowała. Zawsze czuła się inna.

Być może dlatego, że dołączyła do klanu jako ostatnia. Miała wówczas sześć lat, więc nie była już maleńkim dzieckiem zupełnie nieświadomym własnych korzeni i własnej przeszłości. Długo poszukiwała swego miejsca w świecie, aż w końcu znalazła je u boku Ainsleya. Postanowiła na zawsze związać swoje losy z przybranym ojcem. To dla niego stała się cichym głosem rozsądku pomiędzy nieokrzesanymi i zapalczywymi siostrami i braćmi, którzy czerpali z życia bez oporów i bez umiaru. Wiedziała, że pozostali Becketowie prędzej czy później założą rodziny i odejdą. Tak jak Chance i Morgan albo Spencer, który ku wielkiemu rozczarowaniu papy zaciągnął się do wojska i od kilku miesięcy walczył wraz ze swoim regimentem w wojnie przeciwko Ameryce. Wszyscy szanowali ojca i darzyli go wielkim uczuciem oraz podziwem, ale taka już jest naturalna kolej rzeczy, dzieci dorastają i po kolei wyfruwają z gniazda. W ich przypadku nie mogło być inaczej, a Elly nie chciała, żeby

Ainsely został kiedyś w tym wielkim domu zupełnie sam. Z bolesnymi wspomnieniami tego, co utracił w dawnym życiu. Zanim wrócił do Anglii z Karaibów.

Wiele o tym rozmawiali. Przedyskutowali wszystkie za i przeciw i wspólnie uzgodnili, że pozostanie przy ojcu. Tak będzie lepiej. I dla niej, i dla niego. Lepiej i bez wątpienia bezpieczniej.

Zerknęła ukradkiem na rodzeństwo. Rian relacjonował Fanny przebieg wyprawy, a ta wsłuchiwała się w skupieniu w jego opowieść, Court jak zwykle nie potrafił się oprzeć urokowi Cassandry. Przestał ją strofować, a nawet pozwolił jej przymierzyć maskę Czarnego Ducha, którą nosił podczas potajemnych wypraw. Ethan z kolei szeptał coś Morgan do ucha, głaszcząc ją przy tym po brzuchu.

Eleonor w pewnym momencie odłożyła robótkę, wyszła niezauważona na korytarz i ruszyła do gabinetu Ainsleya. Utykała znacznie bardziej niż zwykle, ale wiedziała, że kiedy dotrze na miejsce, ból ustąpi i niczego nie będzie widać. I całe szczęście, bo papa był wyjątkowo spostrzegawczy. Czasem wydawało im się, że ma oczy dookoła głowy.

Drzwi były uchylone, ale i tak zamierzała zapukać. Nigdy nie wchodziła do ojca nieproszona. Kiedy uniosła dłoń, usłyszała jednak głosy dobiegające z wnętrza pokoju i zamarła z ręką w powietrzu.

- Nadal twierdzą, że powinniśmy chwilowo odpuścić - oznajmił Jacko. - Ponieśliśmy zbyt duże straty. Nie pozostaje nam nic innego, niż na jakiś czas się wycofać. Choćby po to, żeby przegrupować siły i zewrzeć szeregi, może nawet zwerbować nowych ochotników. Trzeba się odrobinę przycząić i przypuścić atak z zaskoczenia, w najmniej spodziewanym

momencie.

Elly zrobiła krok w tył i ukryła się w cieniu. W tych okolicznościach na pewno nie zaproszą jej do środka.

- Masz rację, Jacko, nawet nie zamierzam zaprzeczać. Ale jeszcze nie tym razem. Jeśli nie zrobimy z tym porządku właśnie teraz, znów ściągniemy na siebie kłopoty. A ty co o tym sądzisz, Jack?

Jack? Otworzyła szeroko oczy ze zdumienia i przycisnęła dłonie do piersi. Nie wiedzieć czemu raptem zabrakło jej tchu. Nie przypuszczała, że Eastwood jest w Becket Hall. Pewnie przyplłynął z Calais na pokładzie „Respite”.

Jego uprzejmy, lekko schrypnięty głos jak zwykle przyprawił ją o dreszcz.

- Daruj, Jacko, ale zgodzę się z Ainsleyem. Ktoś dotarł do tych biedaków i rozprawił się z nimi bez najmniejszych skrępowań. Jeśli pozwolimy, żeby zbrodnia uszła im na sucho, ani chybi zechcą ją powtórzyć. Wiemy co najmniej o dwóch trupach po ich stronie Kanału. Zapewne zamordowali owych nieszczęśników, żeby należycie nastraszyć innych. Co im się zresztą udało. Ludzie są tak przerażeni, że nie chcą z nami rozmawiać. Na naszym terenie wcale nie jest lepiej. Moje koneksje nikną w oczach, zamyka się przede mną coraz więcej drzwi. Wprawdzie mam jeszcze inne znajomości, które pomogą nam upłynniać towar... Tak czy inaczej chcę się dowiedzieć, kto odkrył nasze dotychczasowe powiązania i naraził na szwank nasze interesy...

- Popieram. Powinniśmy znaleźć tych ludzi i jak najszybciej ich wyeliminować. - Ojciec mówił tak cicho, że Elly musiała nadstawić ucha. Wyobrazila go sobie siedzącego za biurkiem. Była niemal pewna, że marszczył brwi i obracał w palcach

szklany przycisk do papieru, który podarowała mu w zeszłym roku na Gwiazdkę. – A wydawało mi się, że udaremniliśmy dalszy rozlew krwi, kiedy przepędziliśmy z Romney Marsh Gang Czerwonych...

Obita skórą kanapa zaskrzypiała pod ciężarem zwalistego ciała Jacko.

– Myślisz, że to znowu ta szkarłatna zaraza, kapitanie? Wrócili i sięją zamęt? Będzie z górą dwa lata, gdy przegnaliliśmy ich na cztery wiatry.

– A któżby inny, jeśli nie oni? Może pora dać sobie z tym spokój na dobre.

– Nie mówisz chyba poważnie? Mielibyśmy się teraz wycofać?

Eleonor odsunęła się odruchowo, kiedy Jacko przemknął tuż obok niej po drugiej stronie drzwi. Poznała go dawno temu. W wyjątkowo przyjemnych okolicznościach. To właśnie on odkrył ich kryjówkę. Jego szeroki uśmiech i donośny chichot przeraziły ją wówczas na śmierć. Julia, żona Chance'a, zwierzyła jej się kiedyś, że kiedy pierwszy raz ujrzała go, w jednej chwili nabrała przekonania, że jeżeli jest zdolny posunąć się do mordu, to z pewnością podrzyna gardła z dobrodusznym uśmieszkiem na ustach. Jej bratowa miała dość bujną wyobraźnię, ale w tym przypadku trudno byłoby się z nią nie zgodzić.

Jacko rzecz jasna nie był mordercą. Choć na pierwszy rzut oka wyglądał niezwykle groźnie, zjednywał sobie ludzi bezprzykładną lojalnością wobec nestora klanu Becketów. Eleonor wprawdzie nie zapalała do niego wielką miłością, niemniej nauczyła się go szanować. I miała do niego pełne zaufanie.

– Owszem, mówię śmiertelnie poważnie – odezwał się ojciec.

- Uknuliśmy całą tę misterną intrygę wyłącznie po to, żeby chronić sąsiadów przed Czerwonymi. Rzecz ze wszech miar godna pochwały, przyznasz jednak, że w najśmielszych wyobrażeniach nie przypuszczaliśmy, że przedsięwzięcie rozrośnie się do aż tak wielkich rozmiarów. Ściągamy na siebie stanowczo zbyt wiele uwagi. Tylko patrzeć, jak zainteresują się nami władarze z Londynu. Oraz niedobitki owej „szkarłatnej zarazy”, jak ich nazywasz. Mieliśmy tylko od czasu do czasu przewieźć przez Kanał trochę kontrabandy: odrobinę wełny, brandy i herbaty. Tyle ile wystarczy, żeby mieszkańcy okolic nie przymierali głodem. Ani się obejrzeliśmy, a zaczęliśmy kontrolować niemal całe wybrzeże Romney Marsh. I w tym cały kłopot. Prędzej czy później ktoś musiał się zorientować, że coś jest na rzeczy.

- Mam rozumieć, że chcesz pozostawić naszych ludzi samym sobie? - oburzył się Jacko. - Kompletnie pozbawić ich ochrony? Jak myślisz, ile czasu upłynie nim Czerwoni zaczną się tu znowu panoszyć i dyktować własne warunki? Jak niby wioska ma się przed nimi obronić bez naszej pomocy? Jak nic, poleje się krew, a sierot przybędzie nam jak grzybów po deszczu. O to właśnie ci idzie, kapitanie?

Elly wstrzymała oddech. Jeżeli Ainsely postanowi zawiesić działalność Czarnego Ducha, Becketowie wreszcie będą mogli odetchnąć z ulgą. Poczują się bezpieczni, ale za to Jack Eastwood nigdy więcej nie postawi nogi w tym domu. Nie będzie miał powodu, żeby w nim bywać.

- Nie, Jacko, naturalnie, że nie o to mi idzie. Po prostu jak większość ludzi, czasem mam ochotę pomyśleć wyłącznie o sobie i własnej rodzinie. Leży mi na sercu dobro moich synów i chciałbym zaznać na stare lata odrobiny spokoju. Czy to takie

dziwne? Niestety wiem, że to tylko pobożne życzenia. Nie możemy się teraz wycofać. Przyjdzie nam z tym poczekać co najmniej do końca wojny, innymi słowy do czasu, aż ponownie wzrosną ceny wełny. Jack? Opowiedz nam więcej o swoim pomysle.

Eleonor przysunęła się bliżej drzwi, żeby nie uronić ani słowa.

- Oczywiście. Jak już wspominałem, ktoś usiłuje zaszkodzić nam na obu frontach, to jest pozbawić nas kontaktów zarówno w Londynie jak i we Francji. Po ostatniej dostawie nie mam nikogo kto podjąłby się rozproszania załadunku. Nikt nie chce sprzedawać ani, co gorsza, kupować towarów, które... importujemy.

- Obrosłeś w piórka i przestałeś być ostrożny? - raczej stwierdził, niż zapytał Jacko. - Nie widzę innego wytłumaczenia. Że niby tak nagle straciliśmy wszystkie dojścia? Wybacz, ale jakoś wierzyć się nie chce.

- Zapewniam, że to nie ja byłem nieostrożny. Za to na nasze nieszczęście ktoś inny wykazał się niemałym sprytem. W Romney Marsh jesteśmy bezpieczni, zawsze czujni i gotowi do obrony. Po cóż zatem nasi wrogowie mieliby atakować nas tutaj, na naszym własnym terenie? To nierozważne i znacznie bardziej ryzykowne. Zamiast tego postanowili pozbawić nas koneksji, bez których nie będziemy w stanie prowadzić interesów. Nie straciliśmy kontaktów w stolicy i wśród Francuzów z dnia na dzień. Sęk w tym, że nasi partnerzy wycofywali się powoli i stopniowo - tak, że nawet tego nie zauważyliśmy. Kiedy się połapałem, co się święci, natychmiast udałem się do Francji, a potem przyjechałem do was. Obserwuję sytuację dopiero od jakiegoś czasu, ale mam już pewne podejrzenia.

Becketówna wsłuchiwała się z uwagą w każde słowo Jacka. Francuzi nie mieli powodu, by próbować powstrzymać przepływ kontrabandy pomiędzy swoim krajem a Anglią. Czerpali z wymiany handlowej wymierne zyski, którymi, jako niezwykle praktyczny naród, nigdy nie gardzili, bez względu na to, z jakiego źródła pochodziły. Co więcej, lwią część owych zysków zasilala budżet samego Napoleona. Skoro więc to nie Francuzi wycofali się z biznesu, pozostawało szukać winnych pośród londyńskich elit. Tajemnicą poliszynela było to, że majątni bankierzy, przemysłowcy i kupcy ze stolicy uczestniczyli w przemyśle. W podobny sposób próbowali się bogacić także rozliczni zubożali arystokraci. Jack wiedział nawet, którzy spośród nich zyskaliby najwięcej na ukróceniu działalności Gangu Czarnego Ducha.

- Zawęziłem poszukiwania do kilku dżentelmenów. Trzech z nich doświadczyło w ciągu ostatnich lat zdumiewających wzlotów i upadków. Z biedaków stali się raptem bogaczami. A przecież nie od dziś wiadomo, że zyski z przemytu trafiają głównie do przedstawicieli towarzyskiej śmietanki...

- Do ludzi, którzy inwestują niewielkie pieniądze w kontrabandę - podchwycił Ainsley - tylko po to, żeby następnie sprzedać ją za zwielokrotnioną cenę. Ale ci trzej, o których wspominałeś, to zapewne nie ci najbogatsi, a więc i nie decydenci. Jestem pewien, że to nie oni pociągają za sznurki. Mają swoich zwierzchników.

- Racja, żaden z nich nie jest wprawdzie krezusem, niemniej fakt, że jeszcze do niedawna tonęli w długach daje wiele do myślenia. Zwłaszcza w świetle tego, że stali się rozrzutni. Jeśli dotrzemy do nich, trafimy również do ich mocodawców. Idę o zakład, że owi mocodawcy stoją również za działalnością

Gangu Czerwonych. Owszem wypędziliście „szkarłatną zarazę” z Romney Marsh, ale jestem przekonany, że rozproszone pozostałości szajki panoszą się w wielu innych miejscach w całej Anglii. Praktycznie nikt nie para się „wolnym handlem” bez ich pośrednictwa. Tylko wy, Becketowie, stoicie im na drodze do przejęcia pełnej kontroli nad przemysłem na południowym wybrzeża kraju. Wy, oraz okoliczne bagna i ruchome piaski. Na tak trudnym terenie nie są w stanie niczego zdziałać bez współpracy mieszkańców wioski.

- Piękna mowa, Eastwood - podsumował sceptycznie Jacko. - Pytanie tylko, czy z tej twojej gadki cokolwiek wynika... Nie możemy ot tak, rzucić tu wszystkiego i jechać z tobą do Londynu, a w pojedynkę raczej niczego nie zdziałasz. Zawsze byłeś mocny w gębie, nie przeczę, ale tym razem to może nie wystarczyć. Chyba że uknułeś jakiś niezawodny plan... Jeśli tak, zechciej nas wtajemniczyć.

- Właśnie do tego zmierzam. Jak wiecie, kupiłem niedawno dom przy Portland Street. Mam także niemałą posiadłość w Sussexie. Dzięki tobie, Ainsley, stałem się bardzo zamożnym człowiekiem. I podobnie jak ty, chciałbym rychło powrócić do normalnego życia. Mam dość przygód na jakiś czas i marzę o nieco bardziej - nazwijmy to - konwencjonalnej i spokojnej egzystencji. Nie zaszkodzi jeśli już teraz wedrę się na londyńskie salony.

- A żeby na nie wejść zbliżysz się do owych trzech jegomościów, których podejrzewasz o spisek przeciwko nam? - domyślił się Becket. - Hmm... intrygujące...

- W rzeczy samej. Uznałem, że najprościej będzie zaprzyjaźnić się z Harrisem Phelpsem. To nałogowy hazardzista i stały bywalec szulerni, a przy tym dureń jakich mało.

Niedawno zaczął nosić szkarłatne kamizelki, bo jak twierdzi, przynoszą mu szczęście. Nie muszę dodawać, że od tego czasu przy ruletce stawia wyłącznie na czerwone.

- Niech to diabli - obruszył się Jacko. - Wychodzi na to, że wystrychnął nas na dudka jakiś pierwszy lepszy skończony idiota. To niedorzeczne. I wyjątkowo irytujące, nie uważasz, Ainsley?

- Przeciwnie, rzekłbym, że to wręcz pocieszające. Przynajmniej mamy pewność, że jesteśmy o wiele bardziej rozgarnięci od naszych wrogów. - Becket zwrócił się do swego gościa. - Mów dalej, Jack. Przypuszczam, że chcesz zbliżyć się do owego Phelpsa, żeby przedstawił cię pozostałym.

- Coś w tym rodzaju. Na początek mam zamiar przegrać do niego nieprzyzwoicie wysoką sumę. To idealny wabik na takich jak on. Ponadto dzięki przegranej zyskam powód do utyskiwań. Zacznę się nad sobą użalać i uskarżać na zatrważający brak funduszy. Jak wiadomo, człowiek na poziomie nie powinien żyć w ubóstwie, więc moje modlitwy o rychły uśmiech fortuny nikogo nie zdziwią. I raczej nie wzbudzę niczyich podejrzeń, kiedy zwrócę się o pomoc do swoich nowych bardziej światowych „przyjaciół”.

Eleonor uśmiechnęła się pod nosem i westchnęła. Przebiegły plan Jacka miał ogromne szanse powodzenia.

- Jesteś pewien, że Phelps to dobry wybór? Jeśli nie połknie przynęty, stracisz mnóstwo pieniędzy.

- Znam się na ludziach. Intuicja podpowiada mi, że się nie mylę, zatem nie ryzykuję wiele. Poza tym, zarzuciłem już sieci. Na razie przegrywam tylko odrobinę częściej, niż wygrywam. Tym sposobem upewniam się, że ryba bierze. Jeżeli wszystko pójdzie po mojej myśli, za dwa-trzy tygodnie wszystko wróci do

normy i będziemy mogli swobodnie i bez przeszkód kontynuować naszą działalność.

- Zawsze miałeś smykałkę do kart, Eastwood - stwierdził niechętnie Jacko. - To jedno trzeba ci przyznać.

- O tak, przekonałeś się o tym na własnej skórze - dodał Ainsley i zaśmiał się. - W końcu nie raz i nie dwa cię oskubał.

Elly miała ochotę zakryć uszy, kiedy przyjaciel ojca uraczył rozmówców wiązką soczystych przekleństw. Doskonale pamiętała, kiedy i w jakich okolicznościach poznali Jacka Eastwooda. Był dżentelmenem, ale pochodził z niezamożnej rodziny. Jako że dysponował raczej mizernym dochodem, parał się hazardem. Nie z zamiłowania bynajmniej, lecz po to, żeby wiązać jakoś koniec z końcem. Jego położenie zmieniło się diametralnie po tym, gdy przed dwoma laty zawitał do Becket Hall z przewieszonym przez siodło pólżywym Billym. Uratował mu życie podczas burdy, jaka rozpętała się w karczmie w Appledore, w której obydwaj grali w karty. Billy swoim zwyczajem miał już mocno w czubie, kiedy nagle oskarżył jednego ze współgraczy o oszustwo. Na jego nieszczęście owemu domniemanemu oszustowi towarzyszyła grupka znajomków. Stary marynarz zbierał mocne cięgi, lecz wtedy do akcji wkroczył Eastwood i wyratował go od śmiertelnego ciosu nożem. Koniec końców obaj odnieśli jedynie kilka niegroźnych obrażeń.

Kiedy Jack oczekiwał na powrót do zdrowia w domu Becketów, umiłał sobie czas, wygrywając od Jacko łącznie pięć tysięcy funtów. Przy okazji zyskał przyjaźń i zaufanie Ainsleya. Ten ostatni był mu ogromnie wdzięczny za ocalenie jednego ze swoich najlepszych kompanów.

Wkrótce Eastwood stał się stałym bywalcem Becket Hall,

mimo to przez całe dwa lata, jakie upłynęły od tego czasu, nie zamienił z Eleonor więcej niż kilku słów. Nigdy nie usłyszała od niego nic z wyjątkiem zdawkowych pożegnań i powitań.

- Mam zamiar stopniowo zacieśniać więzy przyjaźni z Phelpsem - kontynuował Jack. - Dzięki niemu zbliżę się do pozostałych i wszystkich po kolei unieszkodliwię. Potrzebuję jednak jakiejś wiarygodnej „przepustki” na salony. Nikt mnie tam nie zna, a nie mogę przecież pojawić się w towarzystwie znikąd i bez zapowiedzi. Rozmawiałem o tym z twoim zięciem, Ainsley. Obiecał zaopatrzyć mnie w list polecający, który pozwoli mi zawrzeć znajomość z lady Beresford. Od dziś jestem dżentelmenem, który od kilku lat robi interesy na plantacjach w Zachodnich Indiach. Stęskniony za ojczyzną właśnie przyjechałem z upragnioną wizytą do stolicy. Tak w każdym razie brzmi wersja oficjalna.

- To powinno wystarczyć. Moglibyśmy poprosić o pomoc Chance'a, ale mówił, że chce do końca lata zostać z rodziną na wsi. Nie będziemy bez potrzeby zawracać mu głowy. Nie przepada za Londynem. Och, wybacz, widzę, że jeszcze nie skończyłeś... Masz minę jakbyś bił się z myślami. Mów zatem, co ci chodzi po głowie.

- Och, to nic godnego uwagi. Muszę dopracować pewne szczegóły, ale jestem pewien, że poradzę sobie z nimi sam.

Becket nie dał tak łatwo za wygraną.

- Szczegóły? Jakie mianowicie?

- Zdaje się, że będę potrzebował żony.

Elly w samą porę zakryła dłonią usta. Niewiele brakowało, a zdradziłby ją bezwiedny okrzyk przerażenia. Kiedy nieco ochłonęła, przysunęła się bliżej do szpary w drzwiach.

- Z kobietą u boku będzie mi znacznie łatwiej odnaleźć się na

salonach - perorował Eastwood. - Nie od dziś wiadomo, że odpowiednia małżonka czyni mężczyznę godnym poważania, przysparza mu, jakby to ująć... świetności, zwłaszcza jeśli jest urodziwa. Poza tym, doszedłem do wniosku, że udawanie bogatego durnia to za mało, żeby moje przedsięwzięcie miało szanse powodzenia. A wolałbym, żeby nie zakończyło się fiaskiem. Żona z oczywistych względów byłaby nieocenionym źródłem informacji. Pani Phelps na przykład jest jak katarynka. Gada jak nakręcona, przypuszczam, że nie zamyka ust nawet we śnie. Jestem pewien, że gdyby zadać jej właściwe pytania, moglibyśmy dowiedzieć się wielu ciekawych rzeczy. Zastanawiałem się nad najęciem aktorki, choć to dość ryzykowne...

- Z tego, co mówisz - przerwał mu Ainsley - ów Phelps to najśłabsze ogniwo. Co wiesz o pozostałych dwóch jegomościach?

- Jeden z nich nazywa się Gilbert Eccles, ale to nie on jest najważniejszym członkiem bandy. Ten, który interesuje mnie najbardziej, wydaje się zdecydowanie najgroźniejszy. Nie zdziwiłbym się, gdyby okazał się pomysłodawcą i przywódcą Gangu Czerwonych. Jako arystokrata z tytułem jest też najbardziej wpływowy.

- Któż to taki?

- Rawley Maddox, hrabia Chelfham.

Tym razem Eleonor nie zdążyła zakryć ust. Zrobiła to za nią Odette, która pojawiła się ni stąd, ni z owąd za jej plecami, bezszelestnie, niczym duch. Odette przybyła do Anglii wraz z Becketami z dalekiego Haiti, była przyjaciółką rodziny i kapłanką wudu. Jej przenikliwe oczy osadzone w pociągłej, hebanowo czarnej twarzy widziały wszystko. Nawet to, czego

tak naprawdę nie było widać. Niczego nie dało się przed nią ukryć.

- Ładnie to tak podsłuchiwać? - szepnęła, uśmiechając się półgębkiem. - Wstydz się, moja panno. Nie wiesz, jak pan Bóg karze nas maluczkich za wścibstwo? Można usłyszeć coś, o czym wolałoby się nie wiedzieć. Zmykaj do swojego pokoju, ale już...

- Nie słyszałaś? Właśnie mówią o Chelfhamie.

- Owszem, słyszałam. Ale tobie nic do tego. Dawno temu uznałaś, że wolisz nie mieć z tym człowiekiem nic wspólnego, prawda? Wszyscy się zgodziliśmy, że tak będzie lepiej. Zwłaszcza dla ciebie.

- Oczywiście... masz rację... Tyle że... mam wrażenie, że to przeznaczenie kazało mi tu stanąć akurat w tej chwili. Może to znak od losu... Chciałabym choć raz go zobaczyć. Czy to takie dziwne?

- Nie, oczywiście, że nie. Tyle że tak naprawdę to wcale nie o niego ci idzie. - Odette skinęła głową w stronę gabinetu. - Prawda, *ma petite*?

- A niby o kogo? - zdumiała się Elly. - Masz na myśli Jacka Eastwooda? - Westchnęła z rezygnacją i wypuściła ze świstem powietrze. Protesty na nic się nie zdadzą. - Cóż... nawet nie będę próbowała cię oszukiwać. Zawsze umiałaś zwietrzyć fałsz na milę. I wszystko zawsze wiesz pierwsza...

Odette raptem przestała się uśmiechać.

- Nie wszystko, niestety. Tak czy owak, jestem pewna, że twój ojciec nie będzie zachwycony, kiedy się dowie, co ci chodzi po głowie.

Elly zmarszczyła brwi i oblizwała wargi.

- Oczywiście, że mój pomysł mu się nie spodoba, ale mam

prawo sama o sobie decydować, nie uważasz? Nie jestem dzieckiem. To moja jedyna szansa, żeby poznać świat i zaznać życia z dala od rodziny. Druga taka okazja już się nie powtórzy, i właśnie dlatego zamierzam z niej skorzystać. Jeśli tego nie zrobię, nigdy się nie dowiem, czy było warto, i do końca swoich dni będę żałować. Zrozum, ja... zwyczajnie muszę to zrobić.

- Ależ rozumiem. Nie chcesz odejść z tego świata jako niewinna stara panna.

- Nie! To znaczy, tak, ale nie tylko o to tu idzie. Zresztą, co w tym złego? Rodzina widzi we mnie chodzący ideał. Uwierz mi, niełatwo być wzorem wszelkich cnót. Jestem taka samotna... Czy naprawdę muszę do końca życia niańczyć wyłącznie cudze dzieci? Prawdopodobnie nigdy nie będę miała własnych, ale wolno mi chyba od czasu do czasu pomarzyć. Hrabia Chelfham to nie zwykła mrzonka. Istnieje naprawdę. Jak mogłabym zapomnieć o tym, co tu przed chwilą usłyszałam?

Odette popatrzyła na nią w milczeniu, po czym zrezygnowana potrząsnęła głową.

- Ech, wy Becketowie. Co począć? Znow będę musiała zamówić całe mnóstwo świec. Już dziś zacznę palić je w twojej intencji.

Eleonor przytuliła ją mocno, choć żadna z nich nie była skłonna do wylewnego okazywania uczuć.

- Dziękuję, wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć.

Odette uścisnęła ją, po czym nakreśliła jej nad głowę znak krzyża. Gdy prosiła o pomoc siły nadprzyrodzone, nigdy nie ograniczała się do wzywania dobrych *loa*. Palec boży, to palec boży, mawiała. Co to za różnica, jak nazywają Boga, którego przywołujesz? Nie zaszkodzi wymienić na głos wszystkich.

Elly wyprostowała ramiona i wkroczyła dzielnie do gabinetu

ojca, żeby stawić czoło człowiekowi, który ignorował ją od dwóch lat. Nie raz bywali w tym samym pokoju, ale Eastwood nigdy jej nie zauważył. Zapewne nie tylko dlatego, że zwykle trzymała się z boku.

Cóż, tym razem z pewnością ją zauważy...

- Szkoda, że nasza Morgan ma już męża - zarechotał Jacko. - Nadałaby się w sam raz. Prawda, kapitanie? Ta dziewczyna jest jak ogień. Gdyby dosztukować jej parę męskich ja... Eleonor? - urwał gwałtownie i zerknął na Ainsleya, który podniósł się zza biurka.

- Elly? Czemu jeszcze nie śpisz? Masz mi coś do powiedzenia o tak później porze?

Odette miała rację. Choć ojciec nie podniósł głosu ani nawet nie spojrzał na nią krzywo, wiedziała, że jej widok nieszczególnie go ucieszył. Zawsze był uprzejmy i spokojny, nawet kiedy udzielał dzieciom ostrej reprymendy.

Eleonor była zbyt zdenerwowana, żeby się tym przejmować. Dudniło jej w uszach i nie zwracała uwagi na nic i nikogo z wyjątkiem Jacka Eastwooda, który zgodnie z dobrym obyczajem wstał z krzesła, gdy weszła do pokoju.

- Nie musicie dalej szukać - oznajmiła bez wstępów, wpatrując się w jego przystojną twarz. - Ja to zrobię.

Spojrzał na nią swoimi niesamowicie przenikliwymi, zielonymi oczami, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu. Zrobił przy tym taką minę, że przez moment miała ochotę się roześmiać. Znali się od dwóch lat, ale dopiero dziś wreszcie zwrócił na nią uwagę.

Różnili się od siebie niemal wszystkim. Ona była filigranową szatynką, on wydawał się przy niej niemal olbrzymem. Przewyższał ją wzrostem o więcej niż głowę. Miał pszeniczne

włosy i wyraziste, symetryczne rysy. Gdy stali obok siebie, wyglądali jak ogień i woda. A raczej ogień i lód. Nie znała go dobrze, mimo to wyczuwała w nim niespożytą energię, którą ukrywał skrzętnie pod maską wystudiowanego spokoju. Była przekonana, że to tylko fasada. Odgadła to bez trudu, bo sama przybierała na co dzień podobną pozę. Intuicja podpowiadała jej, że pulsuje w nim mnóstwo gwałtownych emocji. Sęk w tym, że nigdy ich nie okazywał.

- Widzę, że słyszałaś naszą rozmowę - zaczął ojciec, wychodząc zza biurka.

- Powiedziałam, że to zrobię - przerwała mu bez ceremonii, wciąż wpatrując się w Jacka. - Pojadę z panem do Londynu, będę udawać pańską żonę i szpiegować dla pana wśród innych kobiet. Mógłby pan wynająć kogoś do tej roli, ale lojalności nie da się kupić za żadne pieniądze. Nie znajdzie pan lepszej kandydatki ode mnie.

Eastwood zerknął przelotnie na Ainsleya, jakby szukał u niego pomocy, po czym zdecydowanie potrząsnął głową.

- Nie wydaje mi się, by ten pomysł przypadł do gustu pani ojcu, panno Becket.

Jak nic dziełatka postradała zmysły, uznał w duchu, przyglądając jej się sceptycznie. Była taka drobniutka i krucha, że prawdopodobnie zdmuchnąłby ją większy powiew wiatru. Nie potrzebował kolejnego kłopotu. A już na pewno nie takiego, który nosił spódnice.

Odwróciła głowę i popatrzyła na ojca.

- Musisz przyznać mi rację, papo. Nikt w Londynie mnie nie zna, a kiedy moja misja się zakończy, wrócę na dobre do Becket Hall i zostanę z tobą, tak jak planowaliśmy. Jeśli pan Eastwood zechce nadal bywać w towarzystwie, bez trudu znajdzie

wiarygodne wytłumaczenie mojej nieobecności. Najprostszy będzie rozwód albo... może mówić, że został wdowcem. - Umilkła gwałtownie. Posunęła się za daleko. Niepotrzebnie wybiega za daleko w przyszłość.

- Porozmawiamy później - oznajmił ojciec, po czym ujął ją za ramiona i spróbował obrócić w stronę drzwi.

- Nie, papo, porozmawiamy teraz - zaprotestowała spokojnie, lecz stanowczo. - Właściwie nie mamy o czym dyskutować. Wybacz, ale nie zamierzam prosić cię o zgodę. To moja decyzja. Właśnie ją podjęłam i nie zmienię zdania. Kiedy wyjeżdżamy, panie Eastwood?

Jacko splótł ręce na okazałym brzuchu.

- Zawsze mówiłem, że dziewczyna ma nerwy ze stali - stwierdził z przekonaniem. - I żelazną siłą charakteru. Nie muszę ci o tym, przypominać, kapitanie. Sam doskonale o tym wiesz. A co najważniejsze ma też głowę na karku. Powiedziałbym nawet, że jest wyjątkowo rozgarnięta. - Uśmiechnął się szeroko i dodał dla efektu: - Jak na kobietę, ma się rozumieć. Jeśli interesuje was moje zdanie, powiadam, niech jedzie, skoro tak bardzo chce.

Jack zmarszczył brwi i obrzucił całą trójkę zdumionym spojrzeniem. Na koniec zatrzymał oczy na pannie Becket. Nerwy ze stali? Żelazna siła charakteru i głowa na karku? Wątpliwe. Jakoś nie chciało mu się wierzyć w peany, jakie wyśpiewywał na jej cześć Jacko.

- Ainsley? Możemy ruszyć w drogę jutro po południu. Jeszcze dziś pošlę umyślnego na Portland Square z wiadomością do służby. Jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli, uwiniemy się w dwa tygodnie. Ani się obejrzysz, a już będziemy z powrotem.

Becket sprawiał wrażenie pokonanego. Kiedy westchnął

i wrócił na swoje miejsce za biurkiem, Eleonor miała przemożną ochotę go przytulić. Wydał jej się raptem znacznie starszy niż zwykle.

Eastwood zamierzał właśnie otworzyć usta, żeby obiecać Ainsleyowi, że zaopiekuje się jego córką. Jacko uprzedził te szlachetne zapędy, ściskając go boleśnie za ramię.

- Pamiętaj chłopcze, mamy do ciebie pełne zaufanie. Nie powierzylibyśmy Eleonor, gdybyś wielekroć nie udowodnił, ile jesteś wart. Ba! Nie pozwolilibyśmy ci się nawet do niej zbliżyć. Postaraj się więc, żeby naszej kruszynie nie spadł włos z głowy. W przeciwnym razie będę musiał cię wypatroszyć... A wolałbym tego uniknąć, bo cię lubię, młokosie.

- Ja tym bardziej wolałbym nie skończyć tak marnie. W dodatku z twojej ręki... Możesz być spokojny. - Jack wyprostował plecy, po czym uklonił się Eleonor.

- Dobranoc, panno Becket.

- Dobranoc, panie Eastwood. - Skinęła głową i odprowadziła go wzrokiem do drzwi. Potem zwróciła oczy ku ojcu i zaczęła cierpliwie, aż ten się odezwie.

- Rawley Maddox został hrabią Chelfham - rzekł w końcu Ainsley. - Kto by pomyślał... Że też Jack musiał wymienić z nazwiska akurat jego...

- Powinniśmy powiedzieć mu prawdę, kapitanie? - zapytał Jacko.

- Nie! - sprzeciwiła się Elly. - Nie możecie tego zrobić! Jeśli się dowie, wycofa się. A ja muszę z nim jechać. I upewnić się, że...

- Naturalnie, rozumiem - zgodził się Becket. - Nie zaznasz spokoju, jeżeli tego nie sprawdzisz, ale nie rób sobie niepotrzebnie nadziei i nie oczekuj zbyt wiele. Byłaś wtedy

dzieckiem, a pamięć ludzka jest zawodna. Tak naprawdę nie wiemy nawet, czy twoje wspomnienia są prawdziwe.

- Masz rację, papo, ale... zbyt długo żyłam w niepewności. Nie wybaczyłabym sobie, gdybym nie skorzystała z takiej okazji. Chcę się dowiedzieć, kim naprawdę jestem, kim byłam, zanim zostałam Eleonor Becket. Potrzebuję tego, a taka sposobność nigdy więcej się nie nadarzy. Wciąż zadaję sobie pytanie, dlaczego znalazłam się wtedy akurat na tamtym statku...

- I co? - wtrącił z powątpiewaniem Jacko. - Wydaje ci się, że tylko spojrzysz na Maddoksa i w jednej chwili go rozpoznasz? Sądzisz, że to ci wystarczy? Że nie będziesz chciała z nim porozmawiać? Lepiej go poznać? Chyba sama w to nie wierzysz. Jeśli którekolwiek z nas w to wierzy, to znaczy, że wszyscy siedzimy tu zbyt długo i od przebywania na odludziu doszczętnie zgnuśniały nam umysły.

ROZDZIAŁ DRUGI

Jack rozpierał się na kanapie powozu, udając, że śpi. Ze skrzyżowanymi ramionami, nogami wyciągniętymi przed siebie i nasuniętym na czoło kapeluszem nie było to trudne. Wyglądał tak, jakby naprawdę drzemał.

Gdy ruszali w drogę, zajął miejsce tyłem do kierunku jazdy. Nie dlatego bynajmniej, że miał na to ochotę. Jako dżentelmen zwyczajnie nie mógł postąpić inaczej. Czy mu się to podobało, czy nie, musiał zadbać o wszelkie wygody podróżującej z nim kobiety. Zresztą, gdyby siedział obok niej, oboje gapiliby się w milczeniu w przestrzeń.

Był wyczerpany; zmęczony do bólu zarówno na ciele, jak i na umyśle. Blisko tydzień upłynął mu na zbieraniu informacji u wybrzeży Francji. Co gorsza, niektóre musiał wydobywać z ludzi za pomocą pięści. Jego „zaufani informatorzy” okazali się bowiem kompletnie bezużyteczni. Wraz z Becketami od dawna pomagał im się bogacić, lecz te zachłanne szuje nie poczuwały się do żadnej lojalności. Za kilka łatwo zarobionych funtów gotowi byli sprzedać własną matkę.

Na szczęście przy okazji wspólnych wypraw z Gangiem Czarnego Ducha zdobył sporą wiedzę na temat poczynań Bonapartego i przez ostatnie dwa lata przekazywał ją regularnie do Ministerstwa Wojny, anonimowo rzecz jasna. Pisywał do wysoko postawionych urzędników państwowych, bo tylko tak potrafił uciszyć sumienie.

Żywot przemytnika wyjątkowo mu ciążył. Niestety nie mógł

na razie z niego zrezygnować. Choć minęło sporo czasu, odkąd powoli i z rozmysłem wkupił się w łaski Ainsleya, wciąż nie zdołał się zbliżyć do przywódców szajki Czerwonych. Ani na krok. Nie pomogło nawet to, że dołączył do przemytniczej bandy Becketów.

Uśmiechnął się pod nosem, wspominając wieczór, w którym po raz pierwszy przestąpił próg ich domu. Nieźle się przy tym „napocił”. Szczegółowo zaplanowane przedstawienie rozegrało się kilka godzin wcześniej w pobliskiej karczmie. Najpierw wręczył grubą sakiewkę pewnemu greckiemu marynarzowi i kazał mu oszukiwać w kartach. Potem dyskretnie dał do zrozumienia Billowi, że Grek gra nieuczciwie. Bill miał już tak mocno w czubie, że później zupełnie tego nie pamiętał. Zapamiętał za to krwawą bójkę i nowego znajomego, który przyszedł mu na ratunek i odwiózł go do rodziny.

Ku zdumieniu Jacka okazało się, że Ainsley Becket wcale nie jest hersztem bandy Czerwonych. Zanim go poznał, był tego niemal pewien. Rękę dałby sobie odjąć, że to właśnie on za wszystkim stoi. Cóż, pomylił się. I chwala Bogu, bo polubił Ainsleya i jego synów, którzy owszem byli przemytnikami, ale nie parali się owym nielegalnym procederem z chęci zysku. W trudnych czasach, które nastały po wybuchu wojny, próbowali jedynie uchronić własnych ludzi przed śmiercią głodową lub mordem z ręki Czerwonych. Miałby ich za to potępiać? Nigdy. Tym bardziej że sam nie był święty i nie lubił oceniać innych. Zresztą Becketowie nie zarabiali na swoich interesach. Z zysków czerpanych z wymiany handlowej z Francuzami nie zachowali ani pensa. W świetle prawa nie miało to naturalnie najmniejszego znaczenia. Jeśli ich złapią, nie będzie mowy o okolicznościach łagodzących. Powieszą

wszystkich bez wyjątku i... bez względu na szlachetne pobudki, które nimi kierowały.

Kiedy kilka dni temu wracali do Romney Marsh na pokładzie „Respite”, obawiał się, że Becketowie zechcą zawiesić działalność na kołku albo nawet całkowicie się z niej wycofać. Ze zrozumiałych względów było mu to nie w smak. O dziwo, tak się jednak nie stało. Ainsley postanowił wziąć byka za rogi i wesprzeć go w misji poszukiwania łotrów, którzy próbowali sabotować ich działalność. Co więcej, podsunął mu „do pomocy” jedną ze swoich córek.

Stwierdzenie, że panna jest cokolwiek dziwna było grubym niedopowiedzeniem. Niemal za każdym razem, kiedy wlepiła w niego swoje wielkie brązowe oczy, przesywały go ciarki. Zupełnie tego nie rozumiał, zwłaszcza że do niedawna w ogóle nie zwracał na nią uwagi.

W dodatku nie miał zielonego pojęcia, co właściwie z nią począć. Na co niby mu się przyda takie chucherko? Był więcej niż pewien, że muchy nie potrafiłaby skrzywdzić, a co dopiero mówić o niełatwej sztuce szpiegowania, która wymaga przecież nie tylko odwagi, ale i zimnej krwi.

Poza tym, odkąd wczoraj wyruszyli w drogę, panna Becket wypowiedziała wszystkiego nie więcej niż kilkanaście słów. Na samą myśl o tym, że taka małowówna i powściągliwa osóbka usiłuje skutecznie „wydobyć” informacje od opornego świadka, ogarniał go pusty śmiech.

Czemu, do licha, zgodził się ją ze sobą zabrać? Wpakował się w nieliczną kabałę.

- Śpi pan, panie Eastwood?

Uniósł nieznacznie rondo kapelusza i uchylił powiekę, żeby zerknąć na towarzyszkę jednym, przymrużonym okiem.

Drugiego nawet nie otworzył.

- Pani wybaczy... Przepraszam za swój haniebnny brak manier.

Przyglądała mu się z zaciekawieniem, kiedy z ociąganiem wyprostował plecy i w końcu spojrzał jej prosto w oczy. Przez moment miała wrażenie, że naprawdę interesuje go to, co miała do powiedzenia. Ale tylko przez moment.

- Nie ma czego wybaczać. Nic dziwnego, że jest pan zmęczony. Gospoda była wyjątkowo odrażająca... Te wilgotne prześcieradła, brr... - Wzdrygnęła się. - Powinnam była zabrać z domu własną pościel i jedzenie na drogę... Nie chciałam pana budzić, ale zbliżamy się do Londynu. Pomyślałam, że powinniśmy... hm... ustalić... jak mamy dalej postępować, to jest... obmyślić jakiś plan...

Ściągnął kapelusz i przeczesał dłonią włosy. Nie podobało jej się w zajeździe? Ciekawe, co by powiedziała, gdyby przyszło im nocować pod gołym niebem w zimnie i w deszczu.

- Naturalnie. Powinniśmy. Sęk w tym, że nie mam bliżej sprecyzowanego planu ani nawet pojęcia, jak dalej postępować, jak to była pani łaskawa ująć.

- Naprawdę? - Zamrugła, nie dowierając własnym uszom. Nie mieściło jej się w głowie, że podjął się tak trudnej misji, nie zastanowiwszy się, jak dopiąć swego. Jako osoba z gruntu praktyczna, nie miała zwyczaju pozostawiać spraw własnemu biegowi. Cóż, skoro sam niczego jeszcze nie wymyślił, będzie musiała go w tym wyręczyć.

- W takim razie... - Rozłożyła dłonie, które trzymała dotąd splecione na kolach. Miała szczerą ochotę ich użyć. Na przykład do tego, żeby wyrzucić za okno jego idiotyczny kapelusz. Korciło ją też, żeby kazać mu się porządnie wyprostować. I doprawdy mógłby przestać się wreszcie dąsać.

Westchnęła w duchu i zasłoniła roletę, widząc, że słońce świeci mu prosto w twarz.

- Co w takim razie, panno Becket? - zapytał, udając, że nie widzi gwałtownego rumieńca, jaki pojawił się na jej policzkach. A więc szara myszka jednak ma temperament. Interesujące...

Uniosła hardo podbródek i zaczęła wyliczać swoje racje na palcach.

- Po pierwsze i zasadnicze, panie Eastwood, jesteśmy małżeństwem. W każdym razie uchodzimy za małżeństwo w oczach świata, a zatem i w oczach pańskiej służby. Jeśli będzie pan się do mnie zwracał „panno Becket”, pańscy ludzie uznają nas co najmniej za odszczepieńców.

- Jak zatem mam się do pani zwracać?

- Po imieniu, rzecz jasna. Eleonor.

- Nie „kochanie” albo „skarbie”? - Nie potrafił się powstrzymać i skrzywił się jak dziecko, któremu odmówiono słodyczy. - Zawsze miałem nadzieję, że ożenię się z miłości...

Pochyliła lekko głowę i spojrzała na niego spod niesamowicie długich i gęstych rzęs.

- Ha, bardzo zabawne. Za pozwoleniem, czy mogę kontynuować?

Poczuł się zbesztany jak niesforny pięciolatek.

- Oczywiście. Daruj... Eleonor. Przepraszam...

- Nie ma za co - odparła sztywno, ganiąc się w duchu za brak śmiałości. Czy naprawdę nie umie być nieco mniej oficjalna? - Żadnemu z nas nie jest łatwo. Jeśli pan woli, może pan używać zdrobnienia Elly. Tak mnie nazywają siostry i reszta rodziny.

- Dobrze, Elly. Ale nie obrażę się, jeśli ty będziesz mi mówić „kochanie” albo „skarbie”.

Zakryła dłonią usta, na próżno usiłując powstrzymać

uśmiech.

- Widzę, że wciąż dopisuje panu humor.

- Próbuję tylko rozładować atmosferę. Zapewniam cię, że nie ma powodu do obaw. Wszystko pójdzie jak z płatka. Moja służba doskonale wie, co znaczy dyskrecja, i nigdy nie wtyka nosa w nieswoje sprawy. Zadbalem o to.

- Znakomicie. Z mojej strony też nie będzie kłopotów. Znam się na prowadzeniu domu. Od lat zajmuję się Becket Hall, ale... będzie mi potrzebna pokojówka. Czytałam, że damy z towarzystwa nigdy nie wychodzą z domu same.

- Czy to znaczy, że zamierzasz często wychodzić, Elly?

Czemu wciąż zwraca się do niej zdrobnieniem? Wprawdzie sama zasugerowała to zdrobnienie, ale wolałaby, żeby mówił do niej Eleonor. W końcu nie jest jednym z jej braci.

- Chciałabym odrobinę pozwiedzać, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

- Więc to twoja pierwsza wizyta w stolicy? Sądziłem, że za młodu miałaś sezon w mieście.

- Za młodu? Czyżby mój zaawansowany wiek aż tak bardzo rzucał się w oczy?

- A niech to, popełniłem kolejną gafę. Wybacz. Wydawało mi się, że jesteś starsza niż hrabina Aylesford.

- I słusznie. Morgan jest ode mnie młodsza. Nie pojechałam z nią do Londynu, bo nie miałam ochoty bywać na salonach.

- Z powodu twojej... twojej... hm... - Niech to diabli, za każdym razem, kiedy otwierał usta, wypływało z nich coś niestosownego.

- Nie, panie Eastwood, to znaczy... Jack. Miejmy to wreszcie za sobą. W końcu powinieneś wiedzieć co nieco o swojej „żonie”. Mam dwadzieścia jeden lat i, jak zauważyłeś, nigdy

wcześniej nie byłam w stolicy. W dzieciństwie uległam wypadkowi i zraniłam się w nogę. Od tamtej pory lekko utykam, ale nie uważam, by był to powód do wstydu. Przy zmiennej pogodzie albo kiedy się przeforsuję, miewam uciążliwe bóle, nie jestem jednak zniedołężniałą kaleką. Możesz być pewien, że nie przeszkodzi mi to w wypełnieniu misji, której się podjęłam.

- Której się podjęłaś? - powtórzył nie bez drwiny. - Raczej zmusiłaś mnie, żebym cię ze sobą zabrał. Co więcej, przekonałaś ojca, żeby zgodził się na to szaleństwo wbrew zdrowemu rozsądkowi, jak sądzę. Odniosłem wrażenie, że gotowa byłaś uciec się do przemocy albo nawet szantażu, byle tylko postawić na swoim. Ciekaw jestem, czemu tak bardzo ci na tym zależało...

Jak każdy Becket, Eleonor potrafiła kłamać jak z nut. W dodatku bez mrugnięcia okiem i wzbudzania podejrzeń.

- Przyjechałam do Becket Hall jako sześciolatka. Właśnie wtedy dołączyłam do rodziny. Zapewne słyszałeś, że tylko Cassandra jest rodzoną córką papy. Pozostałą szóstkę ojciec przygarnął.

- Owszem, wiem o tym. I sądzę, że to wyjątkowo intrygujące.

- Nieszczerólnie. Zwłaszcza jeśli zna się ojca. Tak czy owak, odkąd zamieszkałam w Romney Marsh, prawie w ogóle nie wyjeżdżałam z domu. W każdym razie nie dalej niż na kilka mil od Becket Hall. Opowieści Morgan zafascynowały mnie do tego stopnia, że zapragnęłam choć raz zobaczyć wielką metropolię. Tyle że w moim przypadku sezon byłby stratą czasu i pieniędzy... Dlatego postanowiłam skorzystać z okazji, kiedy przypadkowo podsłuchiłam waszą rozmowę. Wiedziałam, że taka sposobność raczej się nie powtórzy. Poza tym, podobnie jak ty i cała moja rodzina, pragnę, abyśmy jak najszybciej

zaradzili naszym... kłopotom.

- Naturalnie... to zrozumiałe - przyznał Eastwood, po czym podniósł się, żeby usiąść obok niej. - Jak zamierzasz zdobyć zaufanie dam? - zapytał, przyglądając jej się z uwagą. - Niełatwo będzie pociągnąć je za język...

Uff. Na szczęście zmienili temat.

- Nie zamierzam zabiegać o ich względy - odpowiedziała na jego pytanie. - Postanowiłam siedzieć w kącie i uważnie słuchać. Wiem z doświadczenia, że ludzie nie przepadają za krępującą ciszą.

Ciekawe spostrzeżenie, pomyślał i w duchu przyznał jej rację. A jeszcze do niedawna sądził, że najstarsza Becketówna to cichutka szara myszka, która ma niewiele do powiedzenia.

- Wydawało mi się, że szpiegowanie to nic trudnego, ale zdaje się, że przy tobie jestem zwykłym amatorem. Czy Ainsley wie, jak uważnie przysłuchujesz się rozmowom, kiedy malujesz albo udajesz, że jesteś pochłonięta robótką? Bywam w waszym domu od dwóch lat i nie przypominam sobie, byś kiedykolwiek robiła coś innego.

- Schlebia mi, że w ogóle mnie zapamiętałeś. Ludzie często nie zwracają na mnie uwagi - odparła zupełnie spokojnie, choć praktycznie przyznał, że nigdy dla niego nie istniała.

- Auć, niemal poczułem policzek, który właśnie mi wymierzyłaś. Przepraszam za tę nieopatrzoną obelgę. - Zadziwił ich oboje, unosząc jej dłoń do ust. - Zrobię wszystko, żeby odpokutować swoje dawne grzechy. Obiecuję, że od tej chwili będę troskliwym i oddanym mężem.

Oswobodziła rękę i zajrzała mu w oczy.

- Nie oczekuję wylewności. Wystarczy, że będziesz uprzejmy.

Zranił ją. Nie miał pojęcia, jak i kiedy, ale najwyraźniej zrobił

coś, co ją dotknęło.

- Zaczniemy do jutra - oznajmił, kiedy powóz zaczął podskakiwać na kocich łbach i znacznie zwolnił. Mówiła, że chce oglądać widoki, a zasłoniła okna. Może woli siedzieć po ciemku, bo sądzi, że jest mało urodziwa? Jeśli tak, to się myli. Tylko czemu zauważył to dopiero teraz?

- Znakomicie - odezwała się po chwili milczenia. - A od czego konkretnie zamierzasz zacząć?

- Od lady Beresford. Mam nadzieję, że dzięki listowi polecającemu od Ethana bez trudu zdobędziemy jej sympatię. Jeśli przypadniemy jej do gustu, nie odmówi nam pomocy. Wiele od niej zależy, więc musimy ją sobie zjednać. To ona jest naszym biletem wstępu na salony.

- Racja. Jak mawia papa, jeśli chcesz łączyć wiarygodnie, trzymaj się jak najbliżej prawdy. Ethan rzeczywiście jest naszym przyjacielem, a jeżeli lady Beresford będzie nam przychylna, nie będziemy musieli zmyślać, że mamy znajomych w towarzystwie. Zapewne szybciej zyskasz zaufanie mężczyzn, których zamierzasz infiltrować, jeśli od czasu wpleciesz do rozmowy jej nazwisko. - Zaczęła wątek ostrożnie. Nie chciała, żeby się zorientował, że interesuje ją przede wszystkim jeden z ludzi, których obrał sobie za cel.

- Owszem, ale nie zapominaj, że z Harrisem Phelpsem zdążyłem się już niemal zaprzyjaźnić. Jego nieodłączny kompan, Gilbert Eccles, znany jako Gilly, jest nieco bardziej zagadkowy i nieprzystępny, ale to żaden kłopot. Chodzi za Harrisem jak cień i z pewnością nie jest typem przywódcy.

- A ten trzeci? - spytała, zwilżywszy wargi. - Mówiłeś, zdaje się, że to hrabia?

- W rzeczy samej, hrabia Chelfham. Szacowny Rawley

Maddox. Jest starszy od pozostałej dwójki co najmniej o dwadzieścia lat. Przewyższa ich również intelektem. To właśnie do niego próbuję dotrzeć poprzez Phelpsa i Ecclesa. Gdyby nie on, nie zawracałbym sobie nimi głowy. Liczę na to, że „zaprzyjaźnisz” się z żoną hrabiego, która jest siostrą Phelpsa. Powinowactwo tłumaczy, dlaczego Maddox w ogóle toleruje tego półgłówka. Hrabina jest bardzo młoda, pewnie niewiele starsza od ciebie...

- Doprawdy? Interesujące...

- Nie bardzo. Stary próbuje spłodzić spadkobiercę, ot i cały sekret. W przeszłości miał już dwie żony, ale obie przedwcześnie przeniosły się na łono Abrahama. Pierwsza spadła ze schodów i skrzyła kark, a druga zmarła w połogu. Jeśli Chelfham umrze bezpotomnie, jego tytuł przepadnie.

- Chciałeś powiedzieć „wygaśnie” - poprawiła odruchowo. - Tak w każdym razie brzmi właściwy termin, w przypadku gdy wszyscy potencjalni spadkobiercy również nie żyją. Jeżeli zaś znajdzie się jakiś żyjący spadkobierca lub spadkobierczyni, którzy nie zechcą przejąć tytułu lub nie będą w stanie udowodnić swoich praw do jego przejęcia, wówczas mówi się, że tytuł pozostaje „w zawieszeniu”. Może się także zdarzyć, że więcej niż jedna osoba będzie rościć prawa do dziedziczenia godności hrabiego, lecz nie da się rozsądzić, której z nich rzeczona godność powinna przypaść w udziale. Wtedy używa się określenia „niepewny status” tytułu.

Jack potrząsnął głową, nie kryjąc zdumienia. Przez chwilę miał wrażenie, że wrócił do szkoły i słucha nauczyciela, który próbuje wbić mu do głowy zgoła nieciekawe fakty.

- Naprawdę? Coś podobnego... - skomentował, żeby nie wyjść na gbura.

- Tak - odparła z entuzjazmem. - A przynajmniej tak mi się wydaje - dodała, posyłając mu promienny uśmiech.

Poczuł się tak, jakby ktoś wymierzył mu potężny cios w podbrzusze.

- Spędzam sporo czasu w bibliotece... - wyjaśniła.

- Powiedziałaś spadkobierca lub spadkobierczyni - zauważył rzeczowo. - Hmm... Niewykluczone, że żona Maddoksa urodzi mu wyłącznie córki.

Eleonor zapatrzyła się nagle w szew własnej rękawiczki.

- O dziwo, niektóre tytuły arystokratyczne mogą być dziedziczone przez kobiety, ale zdarza się to niezwykle rzadko i wyłącznie w ściśle określonych przypadkach. Prywatne majątki oraz ziemie nienadane przez państwo, czyli niepodlegające zwrotowi także można rozdysponować testamentem wedle własnego życzenia.

Jack zerknął na nią z podziwem, choć zawziętości prawa dziedziczenia zupełnie go nie interesowały. Co więcej, gdyby to zależało od niego, Chelfhama i jemu podobne kanale straciłyby wszelkie przywileje.

- Nie przypuszczałem, że okażesz się niewyczerpanym źródłem cennych informacji, Elly. Idealnie się składa. Twoja rozległa wiedza bez wątpienia przyda nam się podczas śledztwa. Doskonale pasujesz do swojej roli: nie dość, że jesteś damą, to jeszcze odebrałaś staranne wykształcenie. Idę o zakład, że nasi nowi znajomi wkrótce zaczną zachodzić w głowę, czemuż to taka mądra i wytworna kobieta jak ty zgodziła się na życie u boku takiego nieokrzesanego typu jak ja.

Przyjrzała mu się dociekliwie i spuściła wzrok. „Taka mądra i wytworna kobieta jak ja?” - powtórzyła w myślach. Była więcej niż zdumiona. W dodatku nie tyle tym, co powiedział, ile

tym jak to powiedział – z charakterystycznym melodyjnym zaśpiewem. Zabrzmiał niemal identycznie jak Paddy O'Rourke z Romney Marsh. A przecież w przeciwieństwie do Paddy'ego, Jack nie był Irlandczykiem, lecz Anglikiem z krwi i kości. Urodzonym w Sussexie. Tak przynajmniej twierdził. A jednak gotowa była przysiąc, że przed chwilą usłyszała w jego głosie wyraźną nutę irlandzkiego akcentu.

Zacisnęła powieki i zbeształa się w duchu. Nigdy nie ufała obcym, była za to nerwowa i przesadnie podejrzliwa. Ale skoro ojciec i bracia robili z nim interesy i nie mieli co do niego najmniejszych zastrzeżeń, zapewne nie należało się martwić. Zresztą sama do tej pory także nie zauważyła w jego zachowaniu niczego dziwnego. Skupiała się niemal wyłącznie na oślepiającym blasku jego urody, co nie świadczyło o niej najlepiej. Pora skończyć z tymi głupstwami.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Najwyższa pora, utrapieńcu. Tak długo nie dawałeś znaku życia, że już miałem postawić na tobie krzyżyk.

Jack zdjął rękę z fularu i odwrócił się, żeby spojrzeć na Cluny'ego, który rozpiął się na krześle, popijając whisky.

- Wybacz, jeśli cię zaniedbałem, przyjacielu. Wiesz przecież, że za nic nie uraziłbym z rozmysłem twoich delikatnych uczuć. A swoją drogą, jakoś nie widzę w oknie gromnicy na znak żałoby... Czy to znaczy, że nie opłakiwałeś mojego przedwczesnego zgonu?

Cluny wlał w gardło resztę trunku, po czym podniósł się niepewnie na nogi.

- Czy cię opłakiwałem, łajdusie? - prychnął, zmierzając ku niemu chwiejnym krokiem. - Nic podobnego. Nie schlebiaj sobie. Zastanawiałem się, jak i gdzie upłynnić twoje srebra, ot co. Zgromadziłeś ich całkiem sporo. Właściwie to szkoda, że wróciłeś, jak się nad tym zastanowić. Jeśli o mnie chodzi, możesz znowu wyjechać. Nawet jutro. O tak, zniknij na dwa lata albo lepiej przepadnij na wieki jak kamień w wodę, a wreszcie będę bogaty.

Eastwood zdjął kamizelkę i zaczął rozpinać koszulę.

- Robisz się sentymentalny na stare lata, bracie. Dziesięć lat temu zastałbym w domu gołe ściany, bo do tej pory zdążyłbyś sprzedać cały mój dobytek. Pozbyłeś się też moich ubrań? Czy mogę liczyć na to, że wciąż tu gdzieś jest mój szlafrok?

- I może jeszcze mam podać ci go pod nos, co? - Shannon

podszedł do bieliźniarki, by po chwili cisnąć w Jacka kłębkim brunatnej tkaniny. – Jak zwykle, do usług, chłopcze. Zakryj czym prędzej tę goliznę, jeśli nie chcesz, żebym zwrócił kolację.

– Kolację, którą, jak mniemam, spożyłeś w postaci płynnej? – Eastwood przewiązał się w pasie paskiem szlafroka i spojrzał na przyjaciela. – Jesteś mi potrzebny trzeźwy, opoju. Wpakowaliśmy się w niezłą kabałę.

– A tak, widziałem. Ma na imię Kabała? Oryginalnie. Przyznaję, niezła sztuka, zastanawiam się tylko, co, u diabła, mamy z nią począć? Rozum ci odjęło? Żeby babę do domu sprowadzać?

Jack nie skomentował marnego żartu. Pokręcił z niesmakiem głową i przestąpił próg sypialni.

– Niezła sztuka? To córka Becketa, więc radzę ci powściągnąć ten twój niewyparzony irlandzki jęzor. Uważaj, co mówisz i co robisz, zwłaszcza jeśli chcesz zachować wątrobę w jednym kawałku. Już teraz jest mocno nadwyrężona opilstwem. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

– Ani trochę. – Shannon rozlał do kieliszków wino i podał jeden z nich Eastwoodowi. – Becketówna, powiadasz? I na co ci ona? Wyświadczasz przysługę Ainsleyowi?

– Nie, to ona wyświadczyła przysługę mnie... Kiedy zaproponowała, że zostanie moją żoną.

Cluny zachłysnął się, parsknął i zaniósł się kaszlem.

Zadowolony z siebie, Jack dorzucił drewna do kominka. Przez chwilę przyglądał się z satysfakcją, jak Shannon ociera z brody wino. Nareszcie powiedział coś, co nieco go otrzeźwiło.

– Nic ci nie jest?

– Jeszcze się pytasz, szczeniaku?! Pojechałeś Bóg wie dokąd i dałeś się złapać w małżeńskie sidła! W dodatku nie pytając

mnie o zdanie! Tfu, na psa urok!

Eastwood uniósł do ust kieliszek, z trudem powstrzymując się od śmiechu. Na tle podwójnego podbródka i siwiejącej rudej czupryny ogorzałe oblicze Cluny'ego wyglądało przekomicznie. Zwłaszcza z poczerwieniałymi policzkami.

- Oczekiwałeś, że poproszę cię o błogosławieństwo i zgodę, matulu najukochańsza?

- Nie zaszkoziłoby, gdybyś się mnie chociaż poradził, smarkaczu. I nie jestem twoją zakichaną matką! Choć czasami niezły z ciebie sukinsyn. Jaka ona jest? Ta twoja Becketówna?

Jack miał ochotę mu powiedzieć, że najbardziej urzekły go jej wielkie brązowe oczy, tak bardzo wyraziste w drobniutkiej twarzy o delikatnych rysach. I że choć była malutka i wydawała się krucha, miała nerwy ze stali i ogromną siłę charakteru. Powstrzymał się jednak, bo uznał, że Cluny nie musi tego wiedzieć.

- Małomówna, ale nieprzeciętnie bystra - oznajmił spokojnie.
- Nieszczerólnie godna zaufania, przynajmniej na razie, ale to nic, bo ona też raczej też mi nie ufa...

- Znaczy się ma dziewczyna głowę na karku - przerwał Shannon. - Chryste, do czego to doszło... Chyba muszę na jakiś czas odstawić trunki...

- Byłbym zapomniał, tak po prawdzie, to wcale nie jesteśmy małżeństwem.

Dobrze, że stary akurat niczego nie pił, bo jak nic znów by się zakrztusił.

- Że co proszę? Jak Boga kocham, nic już z tego nie pojmuję.
Przeszkodził im nowy pokojowy Jacka, który właśnie wniósł do środka tacę i postawił ją na stole.

- Jak ma na imię? - zapytał Eastwood, gdy służący zniknął za

drzwiami.

- Frank - odparł Cluny, wkładając sobie do ust kawałek mięsa.

- Frank? Nie Francis? To znacznie lepsze imię dla lokaja.

- Może i lepsze, ale jakoś bardziej podoba mi się zwyczajnie Frank. Więc jednak się nie hajtnąłeś, tak?

- Tak. To znaczy, nie. Nie ożeniłem się.

- A czemu nie? Nie żebym uważał, że potrzebna ci żona, ale... no... wiesz, o co mi idzie?

Jack zaczął objaśniać przyjacielowi sytuację, ale szło to dość opornie, bo Shannon bez przerwy mu przerywał. Po godzinie stary Irlandczyk nie wytrzymał i znów dolał sobie wina.

- Jesteś pewien, że postępujesz słusznie? Twój kuzyn nie jest wart zachodu. Tyle szwindli dla jednego nieużytego dandysa, za którym w dodatku nie przepadasz?

- Nie dla niego to robię, lecz dla jego matki. A matki, jak wiadomo, kochają swoich synów, nawet jeśli ci są skończonymi matołami. Zresztą, owszem to od niego się zaczęło, ale teraz nie chodzi już wyłącznie o Richarda i moje obawy o jego los. Zainwestowałem w całe przedsięwzięcie mnóstwo czasu i energii. Zaangażowałem się. W grę wchodzi moje uczucia.

Shannon rozejrzał się po ogromnej, urządzonej ze smakiem sypialni.

- Naturalnie. Idzie o twoje wyższe uczucia. A wszystko, co robisz, robisz z czystej dobroci serca. Jak pragnę zdrowia, zaraz się rozczulę i rozpłaczę ze wzruszenia.

Jack nie powiedział Becketom całej prawdy. A raczej lekko przeinaczył fakty. Dom przy Portland Street oraz majątek w Susseksie w rzeczywistości nie należały do niego, lecz do jego kuzyna, który jakiś czas temu zniknął z powierzchni ziemi,

a przedtem pozwolił, żeby oba miejsca popadły w niemal kompletną ruinę. To dzięki pieniądzom Eastwoda doprowadzono je do dawnej świetności, a ich matki nie musiały drzeć o to, że lada chwila stracą dach nad głową. Jack już dawno postanowił, że jeśli odnajdzie krewnego, kupi od niego wszystko, w co zainwestował. A jeżeli go nie odnajdzie, cóż... ciotka, choć będzie niepokieszona, przynajmniej dokona żywota w dostatku.

- Nigdy nie twierdziłem, że zamierzam zostać świętym - oznajmił z uśmiechem. - Nie mam aż tak wielkich aspiracji. Poza tym obydwaj nieźle się wzbogaciliśmy, nieprawdaż? A może dręczy cię sumienie i chcesz się pozbyć swoich udziałów?

Cluny zwiesił głowę i westchnął.

- Chryste... I na cóż nam przyszło? Toż to prawdziwa moralna klęska. Nawet nie pamiętam, jak i kiedy upadliśmy tak nisko. Może chociaż kiedy będą nas wieszali, to powieszają nas wysoko, choć to raczej marna pociecha...

- Nie poddawaj się czarnym myślom. Zejdę do gabinetu. Powinienem sprawdzić korespondencję.

- Jest tylko list od twojej matki. Dziękuje ci w nim za jedwabie oraz przesyła pozdrowienia i podziękowania od ciotki. Za to, że tak niestrudzenie poszukujesz „biednego” Richarda. Swoją drogą przygotuj się na to, że będziesz musiał przekazać jej złą nowinę. Skoro Dickie do tej pory się nie odnalazł, raczej się już nie odnajdzie. Po mojemu gnije gdzieś na dnie studni, ewentualnie na dnie rzeki, a jego doczesne szczątki stanowią pokarm dla wygłodniałych ryb.

- Dziękuje za tę uroczą ilustrację. Wiem, że nie znajdę go żywego. Ale nie spocznę, dopóki się nie dowiem, co się z nim

stało.

- Mimo że był niewiele wartym sukinsynem, który podobnie jak przed nim jego papa przepuścił fortunę, a tobie i twojej matce wypominał każdą kromkę chleba, którą zjedliście dzięki jego „szczodropliwości”? Dickie za nic miał więzy krwi. Od małości spoglądał na ciebie z wyższością. Nie wmawiaj mi więc, że robisz to ze względu na niego. Brak ci przygód i życiowych podniet, ot co. Becketowie przekabacili cię na swoją modłę i zepsuli do szpiku kości.

Eestwood zatrzymał się z ręką na kłamce i spojrzał z namysłem na przyjaciela.

- Becketowie to niezwykła rodzina. Nie łączy ich prawdziwe pokrewieństwo, a mimo to są sobie bezprzykładnie oddani. Podziwiam ich za to. I uważam, że wszyscy powinniśmy uczyć się od nich lojalności.

- Czyli nie myliłem się. Przekabacili cię. No i pomogli ci się wzbogacić.

- Nie inaczej. - Jack roześmiał się. - Za to też ich lubię - dodał, po czym wyszedł na korytarz.

Uśmiechnął się do siebie, przemierzając pogrążony w ciemnościach dom. Wystrój nie był aż tak imponujący jak w Becket Hall, ale nie miał się czego wstydzić.

Zaczynał jako ubogi krewny zdany na łaskę Richarda. Później wstąpił do wojska i niebawem od zwykłego piechura przeszedł do roli kuriera. Potem został szpiegiem i zaufanym adiutantem. Kiedy z powodu odniesionych ran, odesłano go do domu i dowiedział się o zaginięciu kuzyna, bez namysłu ruszył na poszukiwania. Nie miał zwyczaju wymigiwać się od rodzinnych powinności. Tym sposobem trafił do Kent i Romney Marsh, a potem do domu Becketów.

- To jedyna dobra rzecz, jaka kiedykolwiek wyniknęła z powodu mojego pokrewieństwa z tym nieużyтым idiotą - wymamrotał pod nosem, przechodząc obok biblioteki. - Co, do licha? - zdziwił się na widok smugi światła pod drzwiami. Zdecydowanym krokiem wszedł do środka gotowy stawić czoło intruzowi.

- Panna Becket? - zapytał rozeźlonym tonem. - To jest, chciałem powiedzieć... Elly, co tu robisz o tej porze?

Popatrzyła na niego beznamiętnie, choć serce omal nie wyskoczyło jej z piersi.

- Nie mogłam zasnąć, więc przyszłam poszukać czegoś do czytania. W każdej bibliotece znajdzie się coś odpowiednio... nużącego.

Wyjął jej z ręki opasłe tomiszczce i zerknął na tytuł: *Historia angielskich koni czystej krwi*. Matko przenajświętsza...

- Interesuje cię hodowla koni?

Zadarła głowę, żeby zajrzeć mu w oczy.

- Oczywiście, że nie. Ani trochę. I oto właśnie chodzi. Kiedy czytam coś przeraźliwie nudnego, natychmiast zasypiam, i kłopot z głowy. Za pozwoleniem, powinnam wracać do siebie.

Czyżby nie zauważył, że stoję przed nim w negliżu? - pomyślała, wpatrując się w niego jak urzeczona. Sam też nie miał na sobie zbyt wiele. Spod rozsuniętego szlafroka wystawał skrawek nagiego torsu pokrytego jasnymi włosami.

Jakby czytał jej w myślach, zebrał poły szlafroka i przewiązał się ciasniej paskiem. Miała nadzieję, że nie wyczytał z jej twarzy wszystkiego, co właśnie przemknęło jej przez myśl.

- Oczywiście, nie będę cię zatrzymywał, ale... może zechcesz chwilę porozmawiać, skoro już się na siebie natknęliśmy...? Zdążyłaś się już zadomowić? Zastanawiałem się, czy jesteś

zadowolona ze służby...

Podeszła do ściany i usiadła na skórzanej kanapie. Przetawiłaby ją bliżej okna, ale przecież nie jest u siebie i nie powinna rządzić się jak we własnym domu.

- Twoja gospodyni, pani Henderson, radzi sobie doskonale. Nie mam żadnych zastrzeżeń. Choć wolałabym, żeby nie zwracała się do mnie „moje ty biedactwo”. Nie jestem pewna, czy ubolewa nad moim „kalectwem”, czy nad wyborem męża. Jak sądzisz, które z dwojga?

Oparł się o biurko i posłał jej uśmiech.

- Zapewne to drugie. Nie martw się, pomówię z nią o tym.

- Nie, nie ma takiej potrzeby. Załatwimy to między sobą. Jestem pewna, że szybko dojdziemy do porozumienia. Treacle też sprawia wrażenie kompetentnego.

- Kto taki?

Zdaje się, że mój „szanowny małżonek” - pomyślała z przekąsem - nie należy do szczególnie uważnych i wymagających chlebodawców. Gdyby dbał o detale, na meblach w jej pokoju nie zebrałaby się gruba na palec warstwa kurzu.

- Majordomus, Jack. Pamiętasz chyba, że masz majordomusa?

- Ach, tak. Naturalnie... więc Treacle to mój kamerdyner... Wybacz, raczej nie zaprzęgam sobie głowy takimi rzeczami. Zwykle zajmuje się nimi Cluny...

- Cluny? - Zmarszczyła brwi. - Nie przypominam sobie nikogo takiego. To jeden ze służących?

Hm, pomyślała, Cluny to chyba irlandzkie imię. W Becket Village mieszkał kiedyś staruszek o nazwisku Cluny Sullivan.

Eastwood nie zamierzał wspominać o Shannonie dopóki nie rozmówi się z samym zainteresowanym. Nie mieli czasu, żeby

ustalić, kogo stary będzie udawał przed panną Becket.

- Cluny? Cluny to mój osobisty... sekretarz - wymyślił na poczekaniu. - Zaczyna człowiek. Mam do niego pełne zaufanie. - Wyprostował się, sygnalizując koniec rozmowy. - Życzysz sobie czegoś jeszcze?

Eleonor podeszła do biurka i zabrała książkę, którą zdjęła wcześniej z półki.

- Czegoś jeszcze? Nie przypominam sobie, żebym cię o cokolwiek prosiła. - Słyszając swój kwaśny ton, niemal się skrzywiła. - Cluny to irlandzkie imię, prawda?

- Nie mam pojęcia - odparł, podchodząc do drzwi. - Ale mój Cluny z całą pewnością jest Irlandczykiem. Byliśmy razem na wojnie na Półwyspie^[1].

- Na wojnie? - powtórzyła bezmyślnie. - Ciekawe... Nie wiedziałam, że służyłeś w wojsku.

- Ja też wielu rzeczy o pani nie wiem, panno Becket.

- Eleonor - poprawiła odruchowo.

- Naturalnie... Elly. Minie trochę czasu, nim się przyzwyczaję. Ty, jak widzę nie masz z tym najmniejszego problemu. Szybko przywykłaś do tego, żeby zwracać się do mnie po imieniu. Cóż, widać lepiej znasz się na fortelach... Może dlatego łatwiej ci przychodzi udawanie.

Wyprostowała się jak struna. Gdyby się ruszyła, pewnie porozrywałoby ją z trzaskiem na kawałki.

- Nie bardzo rozumiem.

Boże, pomyślała smętnie. Stoję przed nim w samej koszuli i szlafroku, z włosami zaplecionymi w prosty warkocz, a on, mężczyzna z moich snów, nawet nie mrugnie okiem. Jestem aż tak nieatrakcyjna, że w ogóle tego nie zauważył? Nie zorientował się, że postępujemy wbrew konwenansom?

Jack uległ impulsowi i przesunął palcem po jej policzku. Gdyby zastanowił się, co robi, uznalby, że najpewniej postradał zmysły.

- Boisz się, prawda, kruszyno? Robisz dobrą minę do złej gry, próbujesz udawać pewność siebie, ale widzę, że jesteś przerażona. Gdyby nie twoja duma, pewnie drżałabyś ze strachu jak osika. Sama nie wiesz, czy uciec, czy spoliczkować mnie za impertynencję, mam rację?

Odsunęła się i spojrzała mu w twarz. Ścisnęła książkę tak mocno, że zbiały jej knykie.

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi, panie Eastwood.

- Jack. - Uśmiechnął się, bo raptem wydała mu się bardziej ludzka i przystępna.

- Nadal nie pojmuję, o co ci chodzi, Jack - oznajmiła z naciskiem. - Oboje wiemy, po co się tu znaleźliśmy i co mamy robić...

- Czyżby? - Przerwał i położył jej ręce na ramionach. - Też tak sądziłem. Szkopuł w tym, że jesteśmy wyjątkowo mało przekonujący. Podobno dopiero co się pobraliśmy, a przyznasz, że nie sprawiamy wrażenia zapatrzonych w siebie nowożeńców. Jeśli ciągle będziesz przede mną uciekać albo wzdragać się za każdym razem, kiedy podejść zbyt blisko, nikt nie uwierzy w farsę, którą mamy odegrać. Jestem dość próżny, Elly, nie chciałbym, żeby wszyscy dookoła mieli mnie za brutala i sądzili, że źle cię traktuję.

Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. Miała na sobie koszulę nocną i szlafrok, które szczelnie zakrywały jej walory. Wszystkie z wyjątkiem bosych stóp. Chodzi po domu na bosaka? Coś podobnego...

- Istotnie, teraz, kiedy o tym wspomniałaś, widzę, że nie masz

na sobie zbyt wiele...

- Jesteś wyjątkowo irytujący! - syknęła, uwalniając się od jego rąk, które wciąż spoczywały na jej ramionach. - Dobranoc, wracam do łóżka.

Popatrzył za nią, kiedy szła przez korytarz. Choć gołym okiem widać było, że utyka, poruszała się z ogromnym wdziękiem. Może woli chodzić bez butów, bo tak jej wygodniej...

Elly... Będzie musiał pamiętać, żeby zwracać się do niej po imieniu. Zwłaszcza przy innych. A ona będzie musiała przywyknąć do jego obecności. Nie może płoszyć się jak sarna na sam jego widok.

Dziwna dziewczyna. I taka ładna...

Usiadł przy biurku i otworzył szufladę pod blatem. Wyjął z niej notatnik i natychmiast zauważył, że nie ma w nim srebrnej zakładki. Rozejrzał się dookoła i odnalazł zgubę na podłodze. Był pewien, że jej nie upuścił. Lśniaca szpilka z jego inicjałami wygrawerowanymi na rękojeści miała dla niego wartość sentymentalną. Dostał ją w prezencie od matki i zawsze pilnował jej jak oka w głowie.

Czyżby Cluny grzebał w jego rzeczach? Nie, niemożliwie. Po pierwsze nie miał powodu, po drugie gdyby to zrobił, zostawiłby po sobie straszliwy bałagan. A zatem to nie stary Shannon, to... Uniósł głowę i zerknął na sufit. Więc to tak, panno Becket... Zdjęłaś buty, żeby nie było cię słychać, wcale nie dlatego, że ci bez nich wygodniej...

Tymczasem Eleonor odetchnęła z ulgą, opierając się ciężko o drzwi. Serce wciąż biło jej jak na alarm.

Boże drogi, niewiele brakowało, a przyłapałby mnie na gorącym uczynku, pomyślała w popłochu. I po co jej to było?

Nie znalazła niczego ciekawego, ba, nie wiedziała nawet, czego właściwie szuka.

- Musiałam odrobinę pomyszkować - przekonywała samą siebie. - Ostrożności nigdy za wiele. - Usiadła przy toalecie i przyjrzała się swojemu odbiciu w lustrze. Była nienaturalnie blada i miała szeroko otwarte oczy.

Jej podejrzenia okazały się bezpodstawne. Dość szybko uprzytomniła sobie, że irlandzka melodia w mowie Jacka, to najprawdopodobniej efekt znajomości z rodowitym Irlandczykiem. Jakże on miał na imię? Cluny? Byli przyjaciółmi, zapewne spędzali ze sobą mnóstwo czasu, nic więc dziwnego, że Eastwood przejął od niego ową charakterystyczną nutę. Miał prawo do własnych znajomych. Nie było w tym niczego nadzwyczajnego.

Mimo to musi pozostać ostrożna. I nieprzystępna. Choć wolałaby być z nim szczerą, pewnych rzeczy nie wolno jej ujawnić. Od tego może zależeć życie wielu ludzi.

- Nie posłucham głosu serca. Będę kierowała się wyłącznie zdrowym rozsądkiem. - Podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Ulicę rozświetlało mnóstwo latarni. W Becket Hall po zachodzie słońca na dworze bywało ciemno choć oko wykol. Tam, w domu czuła się całkowicie bezpieczna, tutaj była tylko małym punkcikiem na mapie wielkiego miasta.

Cóż, trudna rada, przyzwyczai się. Nie ma innego wyboru. Pytanie tylko, jak przyjmą ją na salonach...

Morgan była pewna, że list od Ethana oraz znajomość z lady Beresford otworzy przed nimi wiele drzwi. W każdym razie na tyle dużo, by Jack mógł bez przeszkód „wkraść się” do grona przyjaciół Phelpsa, Ecclesa i Chelfhama. Wiedziała też, że hrabia ma młodą żonę.

Rozmasowała palcami skronie. Wszystko działo się tak szybko... Zbyt szybko. Nagle znalazła się sama w wielkim mieście. No, może nie do końca sama... A jednak czuła się wyjątkowo osamotniona. Jak nigdy przedtem...

Podsłuchowała raptownie, gdy ni stąd, ni z owąd rozległo się głośnie pukanie do drzwi. Przez chwilę tkwiła w miejscu jakby wmurowała ją w podłogę. Nie miała najmniejszej ochoty się ruszyć. Kto to może być, o tej porze? Nie była pewna, czy chce wiedzieć. Mogłaby udać, że śpi. Niestety w pokoju paliło się co najmniej pół tuzina świec. Służba pomyślałaby, że próbuje puścić z dymem cały dom.

- Elly! - zawołał z korytarza Jack. Jego głos zdradzał wyraźne zniecierpliwienie.

Co on tutaj robi? I czego od niej chce? Zorientował się, że myszkowała w jego rzeczach? Nie, niemożliwe... Była przecież bardzo ostrożna. Przeszukała wszystkie szuflady, przejrzała jakieś papiery, a na koniec znalazła notes z zakładką na stronie z nazwiskami jakichś Francuzów.

Rety! Zakładka! - uprzytomniła sobie naraz i otworzyła szeroko oczy. Cieniutka srebrna szpilka z wygrawerowanymi inicjałami właściciela. Na pewno trzymała ją w ręku. Ale czy odłożyła potem na miejsce?

Zacisnęła powieki i spróbowała sobie przypomnieć, ale bez skutku.

- Chwileczkę! - krzyknęła na jego użytek, zerknęła w lustro i uszczypnęła się w policzki, żeby nabrać kolorów.

- Słucham, o co chodzi? - odezwała się ponownie, uchyliwszy drzwi. - Właśnie miałam się położyć.

Przechylił głowę, żeby na nią spojrzeć, co nie było łatwe, jako że pokazała mu zaledwie jedno oko i kawałek nosa. Oby się nie

okazało, że chowa za plecami naładowany pistolet, którym zamierza odstrzelić mu głowę. Bóg raczy wiedzieć, do czego jest zdolna. W końcu to Becketówna.

- Nie chciałbym ci przeszkadzać, ale znalazłem coś znacznie ciekawszego niż *Historia angielskich koni czystej krwi*. Mogę wejść? Zajmę ci tylko chwilkę.

Zwilżyła wargi i odsunęła się, żeby go wpuścić. Kiedy jednak pokazał jej owo „coś znacznie ciekawszego” oniemiała ze zdumienia. Na szczęście zreflektowała się w porę i przybrała obojętny wyraz twarzy.

W jednej z jego dłoni spoczywał notatnik, ten sam, który przeglądała w gabinecie, w drugiej ta przekłeta srebrna zakładka! A niech to!

Jak mawia Jacko, skoro i tak mają cię powiesić, zadbaj o to, żeby wejść na szafot z podniesionym czołem, pomyślała.

- Prowadzisz wyjątkowo uporządkowane i przejrzyste zapiski. Rzecz godna pochwały, ale sugerowałabym, żebyś trzymał je pod kluczem.

Nawet nie drgnęła jej powieka. Szczwana sztuka. Sądził, że będzie udawać niewiniątko, albo zacznie wypierać się wszystkiego w żywe oczy, a tu proszę taka niespodzianka... Niepozorna panna Becket, filigranowa nimfa o oczach sarny, pokazała nerwy ze stali. Hm... zapewne należało się tego spodziewać.

Włożył zakładkę do notesu i położył go na stole.

- Zapewne masz rację. A twoja szczerłość zasługuje na równie wielkie pochwały, zwłaszcza że niewiele brakowało, a nakryłbym cię na gorącym uczynku. - Popatrzył na nią spod przymrużonych powiek, jakby próbował przejrzeć ją na wylot. Na szczęście nie miał pojęcia, jak bardzo wyprowadza ją to

z równowagi. – Może teraz zechcesz mi łaskawie powiedzieć, czego, u diabła, szukałaś w moich rzeczach?

– Zawsze trzeba wiedzieć, z kim ma się do czynienia – zaczęła ostrożnie. – To niezwykle ważne. A ty żyjesz bardzo dostatnio, by nie powiedzieć, nadspodziewanie dostatnio.

– Ach, więc to tak. Teraz rozumiem. Uznałaś, że okradam twoją rodzinę, tak? Że zatrzymuję dla siebie więcej zysków, niż powinienem... Zatem papa przysłał cię tu wyłącznie po to, żeby mnie sprawdzić, mam rację? Nie, raczej nie... Gdyby Ainsley wątpił w moją uczciwość, to Jacko wziąłby mnie w obroty, nie ty. Zadałby mi kilka pytań i po kłopotcie. Słyszałem, że ma ogromny dar „przekonywania”.

– Zabrzmiało to tak, jakby był potworem z piekła rodem.

– A nie jest? – Uniósł brew i spojrzał na nią wyczekująco.

– Nie zamierzała w tej chwili się rozwodzić nad Jacko i jego dziwactwami

– Nie powinnam była grzebać w twoich rzeczach. Przepraszam.

– I pewnie obiecujesz poprawę? Zgadłem? Przyrzekasz, że to się nie powtórzy... Nie zaczniesz znowu podsłuchiwać pod drzwiami, nie będziesz czytać mojej korespondencji i nigdy, ale to nigdy nawet nie przemknie ci przez myśl, żeby posłać za mną zaufanego człowieka, żeby mnie śledził? Prawda?

Miała ochotę odwrócić wzrok, ale zmusiła się, żeby tego nie robić. Niech sobie nie myśli, że wpędził ją w poczucie winy.

– Nie żartuj sobie. Przecież przeprosiłam.

– Owszem, ale ani słowem nie wspomniałaś, że więcej tego nie zrobisz. – Podszedł bliżej i spojrzał na nią z góry. – Czasem to, czego się nie mówi, znaczy o wiele więcej niż słowa. Dziękuję za ostrzeżenie. Od dziś będę miał się na baczności.

- Nie! Wcale nie to miałam na myśli... Och, idźże już sobie. Postąpiłam głupio i jest mi przykro. Jeszcze raz przepraszam.

- Teraz wypadło to znacznie lepiej. No, może poza tym, że znów przede mną uciekasz. Kiedy zrobię krok w twoją stronę, ty robisz dwa kroki w tył, jakbym zamierzał odgryźć ci głowę. Czy naprawdę wyglądam, jak człowiek, który próbuje wyrządzić ci krzywdę? Zastanawiałem się nad tym, zanim tu przyszedłem. I doszedłem do wniosku, że musimy popracować nad naszym „związkiem”, kruszyno. W przeciwnym razie nikt nam nie uwierzy. Żony raczej nie mają zwyczaju krzywić się na widok uwielbianego męża.

- Przypominam, że wprosiłeś się do mojej sypialni, Jack. Spodziewałeś się po mnie innego zachowania?

Popatrzył na nią z osłupieniem. Jej słowa wyraźnie go zaskoczyły. I dały mu wiele do myślenia. Stała przed nim sztywno wyprostowana i wpatrywała się w niego wielkimi brązowymi oczami. Czego się po niej spodziewał? I po sobie? Dobre pytania. Szkoda tylko, że nie znał na nie odpowiedzi.

Wiedział za to, czego się nie spodziewał. Jeszcze kilka dni temu nie przyszłoby mu do głowy, że nagle tak bardzo zainteresuje się niepozorną dziewczyną. Tymczasem okazała się ona znacznie bardziej intrygująca, niż sądził.

- Możesz zaglądać do mojego biurka, kiedy tylko zechcesz. Jeśli masz do mnie jakieś pytania, po prostu mi je zadaj. Odpowiem na wszystkie najlepiej, jak będę umiał. Jesteś córką Ainsleya, przyjechałaś tu jako jego pełnomocniczka, a to czyni cię także moją współpracowniczką... Przynajmniej w pewnym sensie. - Umilkł i popatrzył na nią wyczekująco.

Miał nadzieję, że odwzajemni się podobnym zaufaniem. Rzecz jasna czekał na próżno.

- Dziękuję - powiedziała zwięźle i skinęła głową w stronę drzwi.

- Elly...

- Eleonor - poprawiła stanowczo. Choć w tej kwestii mogła zdobyć się na szczerłość. - Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wolałabym, żebyś używał pełnego imienia, kiedy się do mnie zwracasz.

Poczuł się tak, jakby wymierzyła mu policzek. Tylko najbliższa rodzina mówiła do niej Elly. A on z pewnością nie był członkiem rodziny.

- Naturalnie... Eleonor. Nie sądziłem, że weźmiesz mi to za złe, ale skoro nie życzysz sobie, żebym zanadto się spoufalał...

- Nie, nie o to idzie... To znaczy... udajemy przecież małżeństwo...

- W dodatku świeżo po ślubie - podchwycił natychmiast rad, że wróciła do tematu, który wyprowadzał ją z równowagi o wiele bardziej niż jego.

- W rzeczy samej. Powinniśmy omówić szczegóły i ustalić wspólną wersję wydarzeń, żebyśmy nie opowiadali ludziom historii, które sobie nawzajem przeczą. Ktoś może nas zapytać, kiedy i w jakich okolicznościach się poznaliśmy... Wolałabym, żebyś nie wspominał przy tym o Becket Hall.

- Słusznie. Jeśli zostanę zdemaskowany, łatwiej ci będzie zniknąć bez śladu, to zrozumiałe. Więc jak się poznaliśmy, droga żono?

Eleonor z każdą chwilą czuła się coraz bardziej nieswojo.

- Nie w tym rzecz, Jack. Nie chodzi mi wyłącznie o moje własne bezpieczeństwo. Po prostu staram się zachować należyta ostrożność. Ze względu na ciebie i całą moją rodzinę. Nie ma powodu, by ktokolwiek wiedział, że jestem Becketówną,

a Morgan to moja siostra. Ethan celowo pominął tę informację w liście do lady Beresford.

- Czytałaś go?

- Oczywiście. Ty nie? Sam widzisz, że warto, byśmy uzgadniali tego rodzaju... niuanse.

Eastwood skonstatował ze zdumieniem, że przy panie Becket jest zwykłym amatorem. Jego doświadczenia jako łącznika i szpiega z czasów wojny zbladły i odeszły w niepamięć. Aż dziw, że nie wpadł wówczas w łapy Francuzów i nie skończył marnie rozstrzelany pod jakimś płotem.

- Rozumiem, że masz już gotową opowieść - odezwał się, gdy oboje umilkli. Nie wiedzieć czemu za każdym razem to on „wypełniał ciszę”.

- Owszem, mam. Twój majątek w Susseksie leży stanowczo zbyt blisko stąd. Bez trudu mogliby sprawdzić naszą wersję wydarzeń. O ile dobrze pamiętam, uraczyłeś pana Phelps'a opowieścią o tym, że jesteś jakoby posiadaczem posiadłości w Indiach Zachodnich. Powiedziałeś mu, że mieszkasz tam na stałe, a do Anglii przyjechałeś tylko z wizytą, mam rację?

Skinął głową.

- Przyjmijmy zatem, że poznaliśmy się właśnie tam, a ściślej na Jamajce, ja zaś jestem córką jednego z tamtejszych zamożnych osadników.

- Znakomicie to wymyśliłaś - ożywił się i zaczął maszerować po pokoju. - Jako córka krezusa wniosłaś pokaźny posag. Idealnie się składa. Phelps i jego kompani będą uszczęśliwieni. Powiem im, że przepuściłem niemal całą swoją fortunę, a teraz chcę przywłaszczyć sobie twoją i rozporządzać nią wedle własnego widzimisię. W odpowiednim momencie wyjawię im w zaufaniu, że mam zamiar zainwestować w coś, co przyniesie

duży i szybki zysk, żeby podreperować budżet mojej podupadłej plantacji na Jamajce. – Przystanął i posłał jej szeroki uśmiech. – Powinnaś zacząć pisać powieści. Masz do tego talent.

– Cóż, może kiedyś tak zrobię. – Splotła przed sobą dłonie. – Moja opowieść rozwiązuje także kwestię naszych wzajemnych relacji. Skoro ożeniłeś się ze mną dla pieniędzy, nie musimy udawać zakochanych...

– Innymi słowy obsadziłaś mnie w roli skończonego łajdaka. Uroczo, rzekłbym, że wręcz precudownie. Całe życie marzyłem, żeby uchodzić za kanalię. I nic nie szkodzi, że kiedy znikniesz z mojego życia, wszyscy pomyślą, że cię ukatrupiłem i zakopałem pod krzakiem, prawda? A może zdążyłaś już także zaplanować własny pogrzeb? Sądząc po twojej minie, jeszcze nie. W takim razie przyjmij do wiadomości, że poślubiłem cię z miłości, nie dla pieniędzy. Przypominam, że w grę wchodzi również reputacja twojego szwagra. W końcu to dzięki jego staraniom wejdem na salony. A ty razem ze mną.

Elly nie zdołała powstrzymać uśmiechu. Doskonale знаła przeszłość męża siostry. Zarówno Ethan, jak i jego niekonwencjonalni rodzice konsekwentnie odrzucali wszelkie konwenanse.

– Nie sądzę, by się nią szczególnie przejmował – stwierdziła z przekonaniem. – Drwi sobie z tego, co ludzie o nim powiedzą.

Jack miał ochotę uderzyć pięścią w stół. Nie pojmował, czemu to dla niego takie ważne. Prawdę mówiąc, wolał tego nie analizować, bo mógłby dojść do zatrważających wniosków.

– Mimo wszystko będę nalegał. Interesuje mnie wyłącznie małżeństwo z miłości, a przynajmniej pozory małżeństwa z miłości. Nie zgodzę się na nic innego.

Eleonor postanowiła się nie upierać. Gra nie była warta

świeczki. Zresztą, co to za różnica, skoro oboje wiedzą, że to tylko idiotyczna farsa?

- Zgoda. Ustępuję, bo widzę, że twoja męska duma nie zniosłaby takiego policzka. Niniejszym obiecuję, że w towarzystwie, a także przy jakichkolwiek świadkach, włączając w to służbę, będę nieustannie robiła do ciebie słodkie oczy, ewentualnie wodziła za tobą cielęcym wzrokiem.

Słodkie oczy? Cielęcy wzrok? - pomyślał ze złością. Nagle zapragnął mocno nią potrząsnąć.

- Dziękuję, o to właśnie mi chodziło - powiedział, zabierając ze stołu notes. - Choć mogłaś darować sobie ten sarkazm. - Gdy się do niej zbliżył, jak zwykle próbowała się odsunąć. - Przestań przede mną uciekać. Nie ugryzę cię. Musimy zdecydowanie więcej ćwiczyć. - Ujął jej dłoń i podniósł ją do ust. - Nie wzdragaj się, Eleonor. Wyjdiesz z tego bez szwanku. Masz moje słowo.

Kiedy jego wargi zetknęły się na moment z jej skórą, poczuła przyjemny dreszczyk.

- Widzisz? - Uniósł głowę, żeby się uśmiechnąć. - Obyło się bez bólu. I zachowałeś wszystkie palce. Będę robił to częściej, jak przystało na kochającego męża.

- Zapewne miałeś na myśli prawdziwego męża, który rzeczywiście kocha swoją żonę - uściśliła cierpko. - Wiadomo, każdy samiec w ten czy inny sposób znaczy swoje terytorium. Tyle że nas to nie dotyczy.

Zmrużył powieki i spojrzał na nią zielonymi oczami, jakby właśnie przemówiła do niego w zupełnie obcym języku.

- Słowo daję, niezłe z ciebie ziółko, panno Eleonor Becket.

- Teraz nazywam się Eleonor Eastwood - odparła gładko, zastanawiając się, kiedy wróci jej zdrowy rozsądek. Powinna jak

najszybciej zamknąć usta, zanim znowu powie coś idiotycznego.

- Tak, racja... Eleonor Eastwood - powtórzył powoli. - Brzmi pięknie. Zawsze lubiłem aliterację. Dobranoc, droga żono... - Zanim zdążyła zareagować, uniósł jej dłoń i znów ją pocałował. Z tą różnicą, że tym razem obrócił ją w palcach i ucałował jej wnętrze.

Wiedziony impulsem Jack wysunął na moment koniuszek języka. Nie zanadto, ale tak żeby wyraźnie poczuła, co robi. Zapewne podkusił go sam diabeł, lecz uznał, że było warto. Nim przywdziała z powrotem maskę wystudiowanego chłodu, jej oczy zrobiły się okrągłe jak spodki. Trwało to zaledwie ułamek sekundy. Tyle wystarczyło, by zobaczył prawdziwą Elly.

Gdy ją puścił, zacisnęła pięść i przyłożyła ją sobie do piersi. Uśmiechnął się z satysfakcją i wyszedł.

Dopiero w zaciszu własnego pokoju zaczął się poważnie zastanawiać, co się właściwie dzieje. I to nie tylko z misją, której się podjął, lecz także z nim samym. Panna Becket, ta wątła, na pozór oziębła i pozbawiona poczucia humoru kobietka w ciągu zaledwie kilku dni wdarła się do jego umysłu i mocno załazła mu za skórę. Nie potrafił się od niej uwolnić. Nie podobało mu się to. Nawet bardzo mu się to nie podobało, zwłaszcza że nie miał pojęcia, jak sobie radzić w tej sytuacji.

- Czyżby sprawy potoczyły się nie po twojej myśli? - zagadnął Cluny, który wygrzewał się w fotelu przy kominku i spoglądał na niego z jawną drwiną. - Wyglądasz, jakbyś najadł się dziegciu.

- Czy mi się zdawało, czy jeszcze do niedawna miałeś własną sypialnię?

- Miałem. I nadal mam. Dotrzymuję ci towarzystwa tylko chwilowo. I widzę, że ci się przyda, boś wyraźnie nie w sosie.

No, mów, co ci leży na wątrobie. Zobaczysz, minie jak ręką odjął. Słyszałem przez ścianę głosy, ale niewiele zdołałem podsłuchać. Już nie te uszy, niestety.

Eastwood pozbył się koszuli i zawiązał z powrotem poły szlafroka. Potem zadziwił samego siebie, wypowiadając na głos myśl, która właśnie zaświtała mu głowie. Choć uprzytomnił to sobie dosłownie przed chwilą, był pewien, że się nie myli.

- Panna Becket jest przerażona na śmierć. I zapewne, żałuje, że się tu znalazła.

- Więc odeślesz ją do domu? Wielka szkoda, bo zaczynało robić się ciekawie...

- Ale gdzie tam, do domu! - Jack opadł na krzesło i sięgnął po brandy, które zostawił na stole. - Po dobroci nigdzie nie pojedzie. Musiałbym chyba wystrzelić ją z armaty.

- Czyli jednak robi się interesująco! - Shannon roześmiał się. - Boi się, lecz zamiast uciekać, twardo stoi w miejscu i przygotowuje się na najgorsze. W moich stronach nazywają to odwagą.

- Tak powiadasz...? - Eastwood zerknął w stronę sypialni Eleonor. - Masz rację. Sądzisz, że to dlatego jestem nią tak... - Zawahał się. - Że to dlatego tak mnie intryguje?

- Wątpię - prychnął Irlandczyk. - Zresztą „intryguje” to chyba nie najlepsze określenie. Ja w każdym razie nazwałbym to inaczej. Przyjrzałem jej się, kiedy Treacle przedstawiał ją służbie. Dziewczyna ma twarz anioła. A i resztę niczego sobie. Figura jak z obrazka, gdzie trzeba odpowiednio zaokrąglona, jeśli wiesz, o co mi idzie, zwłaszcza jak na takie chucherko. Kto zdrowy na umyśle zwraca uwagę na takie szczegóły jak odwaga, kiedy patrzy na pannę jak malowanie?

- Dobrze, że tego nie słyszy. Byłaby wielce rozczarowana.

Rękę dam sobie odjąć, że o wiele bardziej ceni sobie odwagę i hart ducha niż miłą dla oka powierzchowność.

Jack znów zapatrzył się na drzwi łączące jego pokój z sypialnią „żony”. Przewyższał wzrostem większość mężczyzn, a Elly była wyjątkowo drobną kobietą. Kiedy stali naprzeciw siebie, sięgała mu zaledwie do piersi. Prawdę mówiąc, mógłby bez trudu objąć ją dłońmi w talii. Co do jednego nie miał jednak wątpliwości. Cluny się nie mylił, jej kształtom nie można było niczego zarzucić. Wprost przeciwnie. Były idealne. Tak, zdecydowanie... ideał w filigranowym ciele. Tylko jak to się stało, że zauważył to dopiero teraz? Po dwóch latach znajomości i regularnych wizyt w Becket Hall?

A kiedy go wreszcie olśniło, nie mógł przestać o niej myśleć. Nie potrafił wybić jej sobie z głowy ani skupić się na niczym innym, a przecież miał do wykonania pilne i niełatwe zadanie. Powierzono mu ważną misję. Miał zdemaskować herszta bandy Czerwonych. No i pomścić śmierć kuzyna. Właśnie, nie zapominajmy o Dickym. Czemu musi sobie o tym ciągle przypominać?

- Sądzisz, że był w to zamieszany? - zwrócił się do przyjaciela. - Że mógł być jednym z nich?

Cluny w lot pojął, o kim mowa.

- Był pazerną kanalią. Wszystkiego można się po nim spodziewać. Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że rzeczywiście przyłączył się do tych plugawych hien. Swoją drogą, to prawdziwa ironia losu, że akurat my nadstawiamy dla niego karku, nie uważasz? Rzekomo w imię sprawiedliwości, której nigdy od niego zazналиśmy. Tfu, koń by się uśmieł! Wbij sobie do głowy, chłopcze, że nie o Dicky'ego tak naprawdę tu idzie. Wprawdzie od niego się zaczęło, lecz dziś twój nic nie

wart kuzyn - dusigrosz i darmozjad - służy nam już tylko jako wygodny pretekst. Zabrzmi to nie po chrześcijańsku, ale prawda jest taka, że wyświadczył nam wielką przysługę. Dzięki temu, że zaginał, opływamy dziś w dostatki. Powinniśmy co dzień wznosić modły dziękczynne za jego zniknięcie, choć jak mniemam, będziemy się za to smażyć w piekle.

- Panna Becket sądzi, że pomagamy jej rodzinie oraz ludziom z okolic Romney Marsh.

- Tym lepiej. To znaczy, że kiedy już nas złapią, ogołocą i powiodą na szubienicę, jednak pójdziemy wprost do nieba. Znacznie miłsza perspektywa, nieprawdaż?

- O tak, zdecydowanie! - Uśmiechnął się szeroko Jack.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Od trzech dni lało jak z cebra. Po długiej podróży spędzonej u boku Jacka Eleonor powitała pogorszenie pogody z ogromną ulgą. Jego bliskość działała na nią deprymująco. Wyczytała w jakimś poradniku, że w taką aurę wytworne damy z towarzystwa nie wychodzą z domu. Tak też powiedziała swojemu „mężowi”. Nie dodała oczywiście, że potrzebuje czasu, żeby odzyskać spokój i zebrać siły przed ich pierwszym wspólnym wyjściem.

W międzyczasie Eastwood spotkał się z lady Beresford. Złożył jej wizytę sam, nazajutrz po przyjeździe. Nie miała mu tego za złe. Była tak wyczerpana, że spała prawie do południa, co nigdy jej się nie zdarzało. Po spotkaniu w bibliotece i rozmowie w sypialni nie widywała go zbyt często. Wieczorami wychodził z domu do szulerni, żeby „urabiać” dalej Phelpsa i Ecclesa. Potem zmęczony przesypiał całe ranki.

Cluny okazał się prawdziwą zagadką. Po krótkiej i zdawkowej prezentacji, zwyczajnie zniknął. Zupełnie jakby zapadł się pod ziemię. Nie pojawiał się nawet w porach posiłków. Z początku sądziła, że zaniemógł i leczy się w swoich pokojach, lecz Jack wyjaśnił jej, że pan Shannon lubi chadzać własnymi ścieżkami. Nie rzucał się w oczy, bo wolał wejście dla służby i w związku z tym nigdy nie korzystał z frontowych drzwi. Poza tym ponoć częściej niż w domu bywał poza domem.

Miała nadzieję, że wkrótce dowie się czegoś o nowego Chelfhamie. Niestety hrabia nie pokazywał się w lokalach

o szemranej reputacji, czyli dokładnie tam, gdzie przepuszczali pieniądze jego znajomi. Grywał w karty wyłącznie w szanowanym gronie, na oficjalnych przyjęciach i rautach, ewentualnie w domach gry o określonej renomie, czyli u Watiera albo u White'a. Jack był jednak dobrej myśli.

- Kiedy usłyszy o nieporadnym durniu, od którego można wygrać fortunę - stwierdził z przekonaniem - mam tu na myśli swoją skromną osobę, natychmiast wyjdzie z ukrycia i stanie się o wiele bardziej przystępny. To tylko kwestia czasu. Jestem tego więcej niż pewien. Kto wie, może sam nas do siebie zaprosi. Oby zachłanność popchnęła go w naszą stronę jak najprędzej. Kiedy już wpadnie w moje sidła i dosiędzie się do naszego stolika, zamierzam znów zacząć wygrywać.

Eleonor wylegiwała się do późna tylko pierwszego ranka. Potem zrywała się zawsze o świcie, narażając na niewygodę, panią Henderson i pokojówki. Tak jak dzisiaj, kiedy zaskoczyła je w kuchni. Rzecz jasna pojawiła się tam bez zapowiedzi. Usiadała przy wyszorowanym do czysta drewnianym stole i ze stoickim spokojem poprosiła o jajko na miękko oraz filiżankę herbaty. Poprzedniego dnia czekała na śniadanie blisko godzinę, uznała więc, że tak będzie znacznie prościej. I zapewne szybciej.

Oszołomiona gospodyni wytłumaczyła jej, że szanująca się pani domu nigdy, ale to nigdy nie spożywa posiłków w pomieszczeniach przeznaczonych dla służby. To zwyczajnie „nie uchodzi”.

- Powinna pani była użyć dzwonka - zakończyła wykład, na próżno próbując ukryć oburzenie.

- Owszem mogłam zadzwonić po służącą. Tyle że ta musiałaby przybiec do mnie, pokonując przy tym dwa piętra

schodów. Usłyszałaby, czego sobie życzę, a następnie popędziłaby z powrotem po tych samych schodach, żeby poinformować o moich zachciankach kucharkę. Później musiałaby wtaszczyć na górę ciężką tacę, tylko po to, żeby ponownie zejść na dół, zaczekać, aż zjem i znów wezwę ją do sypialni, żeby sprzątnęła.

- Nie inaczej - wtrąciła pani Henderson. - Ale czy nie o to właśnie idzie?

Elly popatrzyła na nią z uniesioną brwią. Nie znosiła, gdy jej przerywano. Miała zwyczaj wygłaszać swoje sądy od początku do końca, nie bacząc na to, czy to się komuś podoba, czy nie. A z panią Henderson jeszcze nie skończyła.

- Twierdzi pani, że tak prosta sprawa jak podanie herbaty i jajka wymaga aż czterech wycieczek z kuchni do sypialni i z powrotem? Tudzież blisko godziny oczekiwania? Jedzenie pewnie byłoby już zimne, kiedy wreszcie by do mnie dotarło. Wybacz pani, ale nie widzę w tym najmniejszego sensu.

- No... ale przecież... nie godzi się, żeby jadała pani z nami w kuchni. - Gospodyni najwyraźniej nie rozumiała jeszcze, z kim na do czynienia. Ani chybi zwiody ją niepozorny wygląd nowej pani Eastwood oraz jej niefortunne utykanie. Elly zamierzała jak najprędzej wyprowadzić ją z błędu.

- Począwszy od jutra - zaczęła tonem nieznoszącym sprzeciwu - proszę podawać mi śniadanie punktualnie o ósmej w saloniku obok gabinetu pana Eastwooda.

- To znaczy... w pokoju... śniadaniowym - uściśliła pani Henderson. Jej policzki przybrały przy tym nieszczęśliwie twarzową barwę szkarłatu.

- Który, jak mniemam, nazywacie pokojem śniadaniowym nie bez przyczyny - zakończyła Becketówna ku uciechu rudowłosej

służącej o imieniu Beatrice. Ta ostatnia została jej przydzielona jako osobista pokojówka.

Nim gospodyni zdążyła otrząsnąć się z szoku, czekała ją kolejna niemiła niespodzianka. Eleonor postanowiła nie zasypiać gruszek w popiele i przywoławszy do siebie resztę służby, wyłuszczyła jej nowe zasady. Podobne do tych, które panowały w Becket Hall. W jej rodzinnym domu wszyscy sobie nawzajem pomagali, bez specjalnego pytania i proszenia, służący zaś mieli sporo swobody i nie musieli wyręczać domowników w prostych czynnościach, które ci mogli wykonywać sami.

Już kilka godzin później „pani Eastwood” przekonała się, jak poważny popełniła błąd. Pojęła to w chwili, gdy „mąż” wparował do jej sypialni na kilka minut przed kolacją, rycząc od progu niczym ranny zwierz.

Elly siedziała z błogą miną przy toalecie, przyglądając się w lustrze Beatrice, która upinała jej włosy.

- Co ty najlepszego wyprawiasz, kobieto?! - usłyszała za plecami wrzask Jacka. - Rozum ci odjęło?!

Pokojówka pisnęła i czym prędzej czmychnęła z pokoju, zabierając ze sobą wszystkie spinki. Eleonor nie pozostało nic innego, jak rozczesać do końca spięte włosy.

Jack, który zmierzał ku niej z mordem w oczach, na ten widok raptem przystanął jak wryty. I całe szczęście, bo już dawno nie widziała u nikogo takiej furii.

- Jakim cudem utrzymujesz na głowie taki ciężar? - spytał nagle, wpatrując się w burzę ciemnych loków, które sięgały jej niemal do pasa. - Nie, nie odpowiadaj. Cofam pytanie. Nie przyszedłem tu dyskutować o twoich włosach. - Nie odrywając od niej wzroku, wskazał dłonią drzwi, za którymi przed chwilą

zniknęła służąca. - Zdajesz sobie sprawę z tego, że zaprowadziłaś w tym domu kompletną anarchię?

Elle wyciągnęła z szuflady niebieską wstążkę i związała nią włosy na karku.

- Wybacz, ale...

- To nie mnie powinnaś prosić o wybaczenie, droga żono - przerwał jej bez ceremonii. - Pani... Pani... jak jej tam...? Do diabła, zapomniałem nazwiska, zresztą dobrze wiesz, o kim mowa. A więc pani jakkolwiek się nazywa siedzi teraz w kuchni i szlocha w fartuch kucharce. - Uniósł brwi i spojrzał na nią wymownie. - Domyślasz się może, dlaczego biedaczka wylewa ocean łez?

- Pani Henderson? - podsunęła usłużnie.

- Co? Kto? - Jack powoli tracił nad sobą panowanie. Miał wrażenie, że za chwilę i eksploduje.

- Twoja gospodyni. Tak właśnie się nazywa. I nie, nie mam pojęcia, dlaczego szlocha w fartuch pani Ryan. Czyżby nagle zaniemogła?

- Ha! Nie wyglądała zbyt dobrze, kiedy ją ostatni raz widziałem, ale z pewnością nie z powodu choroby, choć jak twierdzi, jest u kresu sił. Ponoć to ty ponosisz winę za jej stan, tak w każdym razie twierdzi. Naprawdę powiedziałaś służącym, że mogą robić wyłącznie to, na co mają ochotę, a nie to, co im się każe?

Zmarszczyła brwi i wstała z miejsca.

- Skądże, nic podobnego. To znaczy... być może tak to odebrali... W Becket Hall wszyscy sobie nawzajem pomagamy, co oczywiście nie znaczy, że służba nie wykonuje wyznaczonych jej obowiązków. Jesteśmy jak załoga statku, każdy wie, za co jest odpowiedzialny, tyle że wybieramy sobie zadania wedle

indywidualnych upodobań. Jeśli któraś z posługaczek woli pracować niż zmywać, to pierze, chyba że zbierze się za dużo brudnych naczyń i trzeba pomóc pomywaczce. To bardzo dobry system, idealnie się sprawdza. Jak... jak... demokracja...

- No tak, naturalnie, demokracja. Ustrój idealny. Otóż przyjmij do wiadomości, że na skutek wprowadzenia twoich „demokratycznych” porządków, nasza „załoga” podniosła bunt.

- Chyba odrobinę przesadzasz. Owszem zajmie trochę czasu nim się przyzwyczają do samodzielnego myślenia, do tego, że oczekujemy od nich własnej inicjatywy, ale...

- Samodzielnego myślenia, powiadasz? - Roześmiał się szczerze ubawiony. - Zapewniam cię, że już teraz myślą samodzielnie, czyli wyłącznie o własnej wygodzie. Pani... pani... Chryste, jakże ona się nazywa?

- Henderson?

Posłał jej mordercze spojrzenie.

- Właśnie. Więc, pani Henderson donosi, że co najmniej dwójkę lokajów nasza raptem chęćka na zwiedzanie i wszelki słuch po nich zaginał, zaś kucharka... I nie myśl sobie, że nie znam jej nazwiska, bo je znam! Zatem kucharka, niezastąpiona pani Ryan, wykazała „własną inicjatywę” i postanowiła uraczyć pana domu, czyli mnie, wykwintnym daniem o uroczej nazwie „bulgoczący kociołek”. Przypuszczam, że to eufemizm określający breję pod tytułem „Przegląd tygodnia” i powiadam ci, nie pozwolę karmić się byle czym! W dodatku ta twoja pokojówka!

- Beatrice?! O, co to, to nie! Cały czas była ze mną, więc nie zrobiła nic złego. Wręcz przeciwnie. Przez kilka godzin sprzątała. Także twoją sypialnię. Może ci to umknęło, ale oba nasze pokoje do dziś porastały kurzem!

- Ach, tak? I bardzo dobrze. Twoja pupilka przynajmniej miała co robić. Za to jedna z jej koleżanek lamentuje razem z panią... z panią Hendersen...

- Henderson.

- Henderson, bo nie ma już czego odkurzać i na pewno lada dzień straci posadę i wyląduje na ulicy, a tam, cytuję: „znów zaczną się za nią uganiać szczerbaci łachmyci, żeby sobie na niej bezkarnie poużywać”.

Eleonor zakryła ręką usta i rozejrzała się bezradnie dookoła.

- Rety, chyba rzeczywiście źle mnie zrozumieli... Jak myślisz?

Jack zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju. Nie mógł ustać w miejscu. Miał szczerą ochotę udusić pannę Becket gołymi rękoma. Co za irytująca kobieta, istne kuriozum! W życiu nie spotkał takiej dziwaczki!

- O tak, nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości - stwierdził tonem ociekającym kpina. - Powiem więcej, możesz być pewna, że pani... Henderson już nigdy więcej nie zwróci się do ciebie per „moje ty biedactwo”. Ale przecież o to ci właśnie chodziło, nieprawdaż? A teraz do rzeczy. Co zamierzasz zrobić z tym bałaganem? Ja umyvam ręce. Sama wypijesz piwo, którego nawarzyłaś. I radzę ci uwinąć się z tym jak najprędzej, bo jutro wieczorem podejmujemy gości.

- Gości? Jakich znowu gości?

- Phelpsa i Ecclesa rzecz jasna.

- Zaprosiłeś ich na kolację? Po co?

- Po co? Po co? Nie wiem. Może zwyczajnie znudziło mi się przesiadywanie w lokalach o szemranej reputacji? Że nie wspomnę o nieustannym przepuszczaniu pieniędzy. Kiedy na mieście rozeszły się wieści o idiocie, który nie jest w stanie wygrać choćby jednej partii, a mimo to nie odchodzi od stolika,

zbiegły się do mnie sępy z całego Londynu. Chce ze mną zagrać dosłownie każdy. W ciągu ledwie kilku dni zyskałem rozgłos i stałem się niezwykle popularny. To wyjątkowo męczące. Powiedziałem swoim nowym „przyjaciołom”, żeby przyprowadzili znajomych, bo zatrudniam najlepszą kucharkę w Mayfair, a moja wyjątkowej urody młoda żona nie doszła jeszcze do siebie po naszej podróży poślubnej i na razie nie jest gotowa bywać na salonach.

Elly oblała się ognistym rumieńcem.

- Zabrzmiało to tak, jakbym... jakbyśmy... zresztą nieważne.

Nie wiedzieć czemu Jack nagle się zawstydził, a było to zupełnie obce mu uczucie. Kiedy już je poznał, doszedł do wniosku, że bardzo go nie lubi i poczuł się jeszcze bardziej nieswojo.

- Tak czy inaczej - podjął wątek - raczej nie powinniśmy podejmować Phelpsa, Ecclesa i kogo tam jeszcze ze sobą przywłoką, daj Boże, żeby to był Chelfham, bulgoczącym kociołkiem.

- Cokolwiek to jest - odparła i zaczęła chodzić nerwowo po pokoju. Zaraz jednak zatrzymała się, bowiem uzmysłowiła sobie, jak nedorzecznie muszą wyglądać. Oboje maszerowali miarowo po dywanie tyle że w przeciwnych kierunkach. Gdyby ktoś ich teraz zobaczył, pomyślałby, że mają nie po kolei w głowach.

Jack także przystanął i popatrzył na nią lekko nieprzytomnym wzrokiem. Wpatrywali się w siebie przez dłuższą chwilę, po czym nagle się roześmieli.

Eleonor chichotała tak bardzo, że chwyciła go za ramię, żeby nie stracić równowagi.

- Chyba rzeczywiście powinnam jakoś temu zaradzić -

odezwała się w końcu. – Mam na myśli służbę – dodała, widząc, że Jack dziwnie jej się przygląda.

– Pięknie się śmiejesz – oznajmił ni stąd, ni z owąd. – I oczy błyszczą ci bardziej niż zwykle. Spędziłem w Becket Hall tyle czasu, a nigdy wcześniej tego nie zauważyłem?

Zacisnęła usta, a potem zwilżyła je koniuszkiem języka.

– Nie mam pojęcia. Pójdę na dół. Muszę... muszę... przeprosić panią... panią...

– Henderson. – Uśmiechnął się, ujmując ją za ramiona. – Ładne nazwisko, nie sądzisz? Takie... dostojne...

– O, tak, wyjątkowo dystyngowane – podchwyciła pospiesznie.
– Czy mógłbyś mnie już puścić?

Zastanawiał się nad tym nie dłużej niż ułamek sekundy.

– Raczej nie. Zbyt dobrze się bawię. Wiesz, że w twoich wielkich brązowych źrenicach pojawiają się czasem złote iskierki? Dokładnie tak jak teraz... – Przechylił głowę na bok i niepostrzeżenie przysunął się bliżej. – Widzę je doskonale. Widzę też własne odbicie. Masz niesamowite oczy, Eleonor...

Zastygła z zapartym tchem, jakby ciało zupełnie odmówiło jej posłuszeństwa. Za to serce biło dwakroć mocniej i prędzej niż zwykle.

– Pewnie zamierzasz mnie teraz pocałować? – wypaliła znienacka. Jej nieodłączny towarzysz: zdrowy rozsądek najwyraźniej chwilowo ją opuścił.

Uśmiechnął się.

– A chciałabyś, żebym to zrobił, Eleonor...?

– Ale to będzie tylko eksperyment, prawda...? – Czemu zwyczajnie nie powiesz „tak”, wyrzucała sobie w duchu. Co z tobą? Skoro chce to zrobić, pozwól mu. Nic prostszego.

– Eksperyment? A co niby miałbym dzięki niemu zyskać?

- Cóż... zarzucasz mi, że przed tobą uciekam, że wzdragam się za każdym razem, gdy się do mnie zbliżasz. Doszłam do wniosku, że masz rację. Żona nie powinna podskakiwać ze strachu na widok męża. Zwłaszcza gdy wspólnie podejmują gości. Pomyślałam, że może zechcesz sprawdzić, czy... to znaczy... zapewne chciałbyś się przekonać... pojmujesz, o co mi idzie...

Jack przyjrzał jej się uważnie. Miała wyjątkowo ekspresyjną twarz.

- O tak, właśnie to pojąłem. Idzie o to, że nikt cię dotąd nie całował... Mam rację, Eleonor? Masz dwadzieścia jeden lat, ale nikt nigdy...

- Co to ma wspólnego z... zresztą niczego takiego nie powiedziałam. Puść mnie.

Uniósł dłonie, które spoczywały na jej ramionach.

- Mogłaś się w każdej chwili uwolnić. Widzisz? Wcale cię nie trzymam.

- No tak... naturalnie...

- Ale mogę objąć cię mocniej, jeśli chcesz. - Znów położył na niej ręce, tyle że tym razem zacisnął palce i przysunął ją bliżej siebie. - Nieczęsto zdarza mi się być tym, który zakosztował ust kobiety jako pierwszy. Będę zaszczycony, jeśli pozwolisz mi się pocałować. W ramach eksperymentu, rzecz jasna.

- Drwisz sobie ze mnie - powiedziała z wyrzutem. Była zażenowana, ale nie ruszyła się z miejsca. Nie zrobiła nic, żeby się od niego odsunąć.

Zrobiło mu się wstyd. Miała rację. Przynajmniej częściowo. Westchnął i pociągnął ją w stronę kominka.

- Chodź, usiądziemy. Musimy poważnie porozmawiać.

Kolana trzęsły się pod nią, więc opadła na krzesło z wyraźną

ulgą. Albo raczej przycupnęła na samym brzegu siedziska z plecami wyprostowanymi jak struna. Nie mogła usiąść głębiej, bo nie sięgałyby nogami do podłogi. Nie cierpiała, gdy stopy dyndały jej nad ziemią jak dziecku. Czy naprawdę musiała urodzić się taka niska? Była pewna, że wygląda jak pensjonarka, która właśnie zakończyła pobieranie nauk i ubiega się o pierwszą posadę.

Jack rozsiadł się w niedbałej pozie naprzeciw niej i uparcie milczał. Postanowiła jak zwykle zaczekać, aż cisza zacznie mu ciążyć i się odezwie. Niestety przyszło jej czekać bardzo długo.

Tymczasem Jack spokojnie odliczał w myślach do dwudziestu: dwanaście, trzynaście, czternaście, nie wyręczę cię tym razem, piętnaście, szesnaście, no dalej, kruszyno, twoja kolej...

- Mówiłeś... - zaczęła w końcu. - Wspomniałeś o swoich częstych wizytach w Becket Hall... Przypuszczam, że jak większość mężczyzn, nie przywiązujesz większej wagi do szczegółów. Być może nie zauważyłeś, że prowadzimy dom nieco inaczej, a nasze zwyczaje odbiegają od ogólnie przyjętych norm. Powinnam nieco ci je przybliżyć i... - Urwała gwałtownie. Uświadomiła sobie, że wykorzystał jej w własną sztuczkę przeciwko niej. - Jesteś wyjątkowo irytujący - stwierdziła z rozdrażnieniem. - Mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę.

- Naturalnie, słyszę to dość często. Poza tym, owszem zauważyłem, że Becketowie tworzą dość „nietypową” rodzinę. Nie jestem aż tak głuchy, głupi i ślepy, żeby tego nie dostrzec. Wasza, nazwijmy to, nietuzinkowość z miejsca rzuca się w oczy.

- Dla mnie owa nietuzinkowość to nic nadzwyczajnego. Zwykle nie czuję, że jesteśmy inni. Zapewne dlatego, że właściwie nie pamiętam niczego ze swojego „poprzedniego”

życia.

- Podobno przyjechałaś do Becket Hall jako sześciolatka, tuż po tym, gdy znalazł cię Ainsley?

- Tak ci powiedziałam? Masz bardzo dobrą pamięć, Jack.

- Mam też sporo pytań. Pozwól, że zacznę od najważniejszego. Zastanawiam się, ile tak naprawdę zechcesz mi wyjawić...

Popatrzyła na niego spod rzęs i wzruszyła ramionami.

- W gruncie rzeczy niewiele tego jest. Po śmierci Isabelli, matki Cassandry, ojciec nie chciał zostać na Karaibach. Wspólnie z resztą swoich ludzi, to jest z załogą statków, uznali zgodnie, że pora wracać do domu, do Anglii.

- Do domu? Z tego, co widziałem, co najmniej połowa waszej służby to cudzoziemcy.

Uniosła dumnie podbródek.

- Skoczyliby za ojcem w ogień. Ich dom jest tam, gdzie on.

- Oczywiście, rozumiem. Jeśli wszyscy są wobec niego równie lojalni jak ty, prawdopodobnie poszliby za nim do samego piekła, nie tylko skoczyli w ogień.

O tak, poznali piekło aż za dobrze. Po tym, co ich spotkało na Haiti, nie byli już tymi samymi ludźmi, stwierdziła w duchu.

- Nie mieszkałam z nimi na Karaibach. Jeszcze ich wtedy nie znałam. Opowiedzieli mi o tym, co się wydarzyło podczas podróży do Anglii dużo później. Po drodze zerwał się potężny sztorm. Ja także płynęłam wówczas statkiem. Miałam dużo szczęścia. Kiedy wywrócił go wiatr, żaglowce ojca znajdowały się akurat w pobliżu. Uratowali mnie Jacko i Chance.

- Tylko ciebie? Nikt więcej nie ocalał?

- Nie. Tylko ja - powiedziała, spoglądając mu w twarz. - Pozostałam przy życiu jako jedyna. Długo nie mogłam dojść do

siebie, a kiedy w końcu wydobrzałam, nie pamiętałam nawet swojego imienia, więc papa wybrał dla mnie nowe. Od tamtej pory nazywam się Eleonor Becket. Nie wiedziałam też, ile mam lat. Odette, która mnie wówczas pielęgnowała, doszła do wniosku, że nie więcej niż sześć.

Kłamała. Łgała jak z nut, w dodatku patrząc mu prosto w oczy. Nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. W jej opowieści było zbyt wiele luk i nieścisłości, by można ją było uznać za prawdziwą. Nie naciskał jednak i nie żądał szczegółów. Gdyby się zorientowała, że przejrzał jej grę, przestałaby mu ufać. Z drugiej strony, pewnie spodziewała się jakichś pytań. Jeśli ich nie zada, tym bardziej wzbudzi jej podejrzenia.

- Ów statek, na którym płynęłaś, był pod angielską banderą? Może nie jesteś rodowitą Angielką?

- Jestem - oznajmiła zwięźle.

Wiedział już o niej to i owo. Nauczył się na przykład, że nigdy nie odpowiadała na wszystkie pytania, udzielała jedynie połowicznych odpowiedzi, ewentualnie raczyła go półprawdami.

- Ojciec nie próbował odnaleźć twojej prawdziwej rodziny? Możesz mieć tu jakichś krewnych...

- Owszem, czynił pewne starania, ale sprzed wypadku nie pamiętałam nikogo i niczego, a u Becketów było mi dobrze. Szybko się do nich przywiązałam. Są dla mnie dobrzy, a w Becket Hall niczego nie brakuje mi do szczęścia.

Przyjrzał jej się uważnie. Znów nie mówiła całej prawdy.

- Niczego ci nie brakuje, a mimo to bez wahania wyjechałaś ze mną do Londynu, ba, sama zgłosiłaś się na ochotnika.

- Nie porzuciłam domu i rodziny, Jack. Niebawem wrócę do

nich na dobre.

- Cóż, zapewne masz rację. Ale nie chcesz mi chyba wmówić, że nie jesteś ani trochę ciekawa?

- Ciekawa? - powtórzyła, splatając dłonie na ramionach. - Czego?

Wzruszył ramionami.

- Bo ja wiem? Świata? I ludzi? Czegoś więcej niż tylko Becket Hall i Romney Marsh? Rodzonych krewnych? Nie zastanawiałaś się nigdy, czy żyją? Jacy są? Ja na twoim miejscu na pewno próbowałbym się o nich czegoś dowiedzieć.

Kusiło ją, by zrzucić z piersi przytłaczający ciężar i wszystko mu opowiedzieć. Niczego nie ukrywać. Nawet młodsze rodzeństwo nie znało całej prawdy o jej przeszłości. Tylko ojcu zdradziła większość szczegółów. Chance był wtedy z Jacko, więc także sporo widział. To właśnie on zabrał ją stamtąd, kiedy już było po wszystkim. Nigdy dotąd nie odczuwała potrzeby, żeby komukolwiek się zwierzać. Po części ze względu na Jacko, którego wszyscy bardzo cenili i szanowali. Kiedy udawała zadowoloną z życia, nikt z rodziny nie domagał się od niej przesadnie szczerych wyznań.

Ale Jack wyczuwał instynktownie, że coś przed nim ukrywa... Rzecz jasna nie domyślał się całej reszty. Nikt się nie domyślał. Takie rzeczy nie przytrafiają się ludziom nawet w najgorszych koszmarach.

- Nie, nie jestem ciekawa - odparła zdecydowanie, podnosząc się z miejsca. - W tej chwili interesuje mnie wyłącznie jedno. Chcę, żebyśmy jak najprędzej zakończyli śledztwo i nakłonili ludzi, którzy nam szkodzą, żeby porzucili swoje plany i wygórowane ambicje. Właśnie po to przyjechałam z tobą do Londynu.

Wstał z krzesła i zatrzymał się tuż obok niej.

- Więc pragniesz ich nakłonić żeby porzucili swoje plany i ambicje... - powtórzył, wpatrując się jak urzeczony w jej niesamowite włosy. Zakrywały jej plecy niczym gruba, ciemna kurtyna. - Pięknie to ujęłaś. Zwłaszcza że prawdopodobnie będę musiał skrócić ich ziemskie męki i wysłać ich na tamten świat.

Odwróciła się i spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Zamierzasz ich zabić? Nie mówisz poważnie.

Roześmiał się, jakby usłyszał coś zabawnego.

- Masz lepszy pomysł? Może powinienem ich grzecznie poprosić, żeby łaskawie przestali mieszać się w nasze sprawy i nie próbowali wygryźć nas z interesu?

- Nie drwij. Nie jestem w nastroju do żartów. - Zdenerwowana znów zaczęła chodzić tam i z powrotem po pokoju.

Przyglądał jej się przez chwilę z niemałym rozbawieniem.

- Wydawało mi się, że znasz nasze plany. Od samego początku sprawa była dla nas jasna, trzeba odnaleźć łotrów, którzy uprzykrzają nam życie i niezwłocznie ich wyeliminować. Podśluchiwałaś nas przecież pod drzwiami. Nie słyszałaś, co mówi ojciec? Pamiętam, że użył tego właśnie słowa: „wyeliminować”.

Zatrzymała się wpół kroku.

- Tak, ale sądziłam, że... - zawahała się i ciężko westchnęła. - Naprawdę nie ma innego sposobu? Może... moglibyśmy zrujnować im reputację, uniemożliwić wstęp na salony albo znacząco uszczuplić ich zasoby? Gdyby stali się pariasami...

- Na bezwzględnych przywódcach Czerwonych towarzyska banicja raczej nie zrobi większego wrażenia.

Zmarszczyła brwi.

- Masz rację. Co więcej, zrujnowani staną się dla swoich mocodawców zupełnie bezużyteczni... I potencjalnie niebezpieczni, więc ci będą zmuszeni...

- Pozbyć się kłopotu. Tak czy inaczej, skończą martwi.

Popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

- Ale przynajmniej nie będziesz musiał... wyeliminować ich osobiście.

Nagle zrozumiał w czym rzecz. Nie chciała, żeby splamić sobie ręce krwią. Sama też pewnie wolała nie mieć nikogo na sumieniu.

- Jeśli dobrze rozumiem, chciałabyś, żebym zniszczył ich finansowo lub towarzysko i pozwolił, żeby to Czerwoni zadbali o resztę, czyli wykonali za mnie mokrą robotę. Mam rację?

- Tak. Nie. Nie wiem. - Usiadła na krześle przy toalecie. - Chyba... nie jestem na to gotowa. Nie przemyślałam wszystkiego dokładnie. Powinnam była przewidzieć, że nasza misja okaże się nieco bardziej skomplikowana, niż się wydaje na pierwszy rzut oka. Czy sir Gilbert ma rodzinę? Żonę? Dzieci? Mówiłeś, że hrabia Chelfham i Phelps są żonaci, prawda? O mój Boże, Jack... Przecież ja mam się z tymi kobietami zaprzyjaźnić. Jak mam to zrobić, wiedząc, że planujemy zabić ich mężów?

- Gilly? Nie, nie wydaje mi się, żeby był żonaty. A Phelps ma chyba tylko żonę. - Umilkł na moment, gdy pojał, co się święci.

- Do diaska, kobieto, nie mogę się teraz przejmować takimi rzeczami! Ty zresztą też nie, słyszysz? Nie możemy sobie pozwolić na sentymenty.

- Wiem - odparła, ściskając nerwowo rękę na lusterku, które podniosła z toaletki. - I wiem też, że musimy skupić się na rodzinach, którym pomagamy, na mieszkańcach Becket Hall

i całego Romney Marsh. Przepraszam, zareagowałam zbyt emocjonalnie, nie myślałam trzeźwo. – Spuściła głowę, wyraźnie unikając jego wzroku.

Wyjął jej z ręki lusterko i przyklęknął obok niej.

– Zrobię co w mojej mocy, Eleonor. Masz na to moje słowo. Niewykluczone, że uda się doprowadzić sprawę do satysfakcjonującego końca bez konieczności zabijania. Albo postaram się działać tak, żeby w najgorszym razie wyręczyli nas Czerwoni. Nie mogę ci jednak niczego obiecać. Mam nadzieję, że to rozumiesz.

Wierzyła mu. Miał taką poważną minę. I był tak blisko...

– Powinnam wracać do domu, prawda? Sądziłam, że zdołam pomóc, ale raczej na nic ci się nie przydam. Zachowuję się jak przewrażliwiona panienka, która nie ma pojęcia o prawdziwym świecie. To nie gra w wista czy w szachy. Nie rozegramy partyjki w przyjacielskiej atmosferze, nie uściśniemy dłoni pokonanym przeciwnikom i nie rozejdziemy się każdy w swoją stronę. To walka na śmierć i życie. Doskonale zdaję sobie z tego sprawę. Wiedziałam to od samego początku, tylko że... chyba nie chciałam przyjąć tego do wiadomości.

W jej czekoladowych oczach lśniły łzy. Przypatrywał się z zafascynowaniem jak próbuje je powstrzymać i zapanować nad uczuciami.

– Nie, wyjeżdżaj. Nie wracaj jeszcze do Becket Hall. Zostań ze mną trochę dłużej.

– Jesteś pewien, że tego chcesz? Odkąd przyjechaliśmy, sprawiam same kłopoty. Zakłóciłam porządek w twoim domu, skłóciłam ze sobą służbę, a teraz jeszcze usiłuję cię namówić, żebyś zmienił plany. – Uśmiechnęła się blado. – Kiedyś byłam dumna ze swojego spokoju i opanowania. Nic nie było w stanie

wyprowadzić mnie z równowagi. Cóż, najwyraźniej oszukiwałam samą siebie.

- Nic podobnego - zaprotestował bez namysłu. Z niejakim zdumieniem uzmysłowił sobie, że wierzy w każde słowo, które za chwilę wypowie. - Ainsley nie pozwoliłby ci ze mną wyjechać, gdyby nie miał do ciebie zaufania, gdyby nie wierzył w twój zdrowy rozsądek i jasny ogląd sytuacji. Masz na mnie dobry wpływ. Uświadomiłaś mi, że być może są inne sposoby...

Wiedziona impulsem ujęła go za policzek.

- Nie, Jack. Nie ma innego sposobu. Oboje o tym wiemy. Jeśli nasza misja się powiedzie, ludzie, na których zastawiłeś sidła, doprowadzą nas wprost do swoich mocodawców, a ci niezwłocznie ich zlikwidują. Czerwoni nie znają litości. W gruncie rzeczy już teraz są martwi. Kiedy poznam ich żony, tak naprawdę będę rozmawiała z wdowami. - Opuściła rękę i zwiesiła głowę. - Rozsądek każe mi się z tym pogodzić.

Teraz on dotknął jej twarzy. Odwzajemnił intymny gest, jakby chciał przypieczętować porozumienie, które udało im się osiągnąć.

- A co ci podpowiada serce? Będziesz potrafiła żyć z konsekwencjami tego, co zamierzamy zrobić?

- Wszyscy zbieramy żniwo swoich decyzji. Ojciec od małego uczył nas odpowiedzialności za własne czyny. Więc tak, będę umiała z tym żyć.

Gdy zamrugała, po jej policzku spłynęła samotna łza. Jack otarł ją delikatnie kciukiem.

- Zrobię, co w mojej mocy, Eleonor. Obiecuję. Razem coś wymyślimy i może uda nam się uniknąć najgorszego.

- Dziękuję. - Przechyliła głowę i wtuliła twarz w jego dłoń. Przymknąwszy na moment oczy, odetchnęła z niekłamana ulgą.

Była mu wdzięczna za to, że rozumie jej wątpliwości, i odrobinę zawstydzona swoją typowo kobiecą reakcją. Jej siostra, Morgan, nie mrugnęłaby nawet okiem. Przyjęłaby jego plan z entuzjazmem i bez skrupułów. Wystarczyłaby jej pewność, że to, co robią, jest słuszne. Elly nie była taka jak ona.

Jack przybliżył się i pocałował ją w policzek, zaskakując tym samego siebie.

- Nie, Eleonor. To ja ci dziękuję - rzekł, po czym podniósł się i podszedł do drzwi.

Wychodząc na korytarz, zastanawiał się, jak to jest wkroczyć na właściwą ścieżkę i stać się lepszym człowiekiem. Gdyby tylko wiedział, jak tego dokonać...

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Załatwić sprawę bez przemocy? Czyś ty do reszty zdurniał, młokosie?

Eastwood wręczył Cluny'emu kieliszek i usiadł za biurkiem. Unikał przyjaciela przez cały dzień, ale w końcu dał za wygraną i opowiedział mu o obietnicy złożonej Eleonor.

- A co niby miałem zrobić twoim zdaniem? Spuściła głowę i wpatrywała się we własne ręce, jakby już widziała na nich krew.

- No tak, to wiele wyjaśnia. Teraz wszystko rozumiem. „Precz, przeklęta plamo! Precz! mówię.”^[2]

- Bardzo zabawne, słowo daję. To poważna rzecz, a ty drwiny sobie robisz.

- Ja? Drwiny? Przedni dowcip. To tobie dyrdymały w głowie. Gotujemy się na wojnę. Pamiętasz jeszcze, co to wojna, smarkaczu? Albo my katrupimy ich albo oni katrupią nas. Bez skrupułów, wyrzutów sumienia i tym podobnych banialuk. Idzie wyłącznie o przetrwanie, ot co. Więc nie róbmy z tego szekspirowskiej tragedii, tylko dlatego że panna ma... moralne dylematy.

- Już się z tym pogodziła. Rozumie, że trzeba się posunąć do ostateczności. Sęk w tym, że nie chce, żebym to ja ich zabił.

Shannon rozłożył szeroko ramiona.

- Skaranie boskie z tymi babami. A co to za różnica, kto ich pośle do diabła? Możemy wyciągnąć od nich nazwiska grubych ryb i puścić ich wolno, tyle że wtedy owe grube ryby zadbają

o to, żeby przedwcześnie zakończyli żywot. Możemy też po cichutku „posprzątać” sami. Tak czy owak, panowie są już martwi. Bo chyba nie chcesz ich oddać w ręce władz? Owszem, osądzą ich i powieszą. A nas razem z nimi. Czy twoja pani jeszcze tego nie pojęła?

- Moja pani? Też wymyśliłeś. Eleonor nie jest „moją panią”.

- Tylko tyle masz mi do powiedzenia w tej kwestii? Ja tu sobie język strzępię po próżnicy, a ty mi mówisz, że Eleonor nie jest twoją panią? Jak Boga kocham, zrobiła ci z mózgu papkę. Żeby się tylko nie okazało, że to wiedźma, która zaraz weźmie cię pod pantofel. Z dwojga złego już lepiej, żeby była twoją panią. Niby taka malutka, taka milutka i niepozorna, że do rany przyłóż, a jak przyjdzie co do czego, doskonale wie, co zrobić, żeby postawić na swoim. Ciekaw jestem, jak cię podeszła... Zaczęła szlochać ci w mankiet?

Jack poprawił się na krześle, jakby nagle coś go ugryzło.

- Nie, Cluny. Obyło się bez łez i damskich sztuczek. Ona po prostu nie zna życia, jakkolwiek nedorzecznie to brzmi. Czasami sprawia wrażenie, jakby nie wiedziała, jak świat jest urządzony, albo wie, tylko trudno jej się z tym pogodzić.

- Chryste panie... Ciągłe wychwalasz mi jej rodzinę i całe to Becket Hall pod niebiosa, a teraz nagle twierdzisz, że dziewczyna jest życiowo nierozgarnięta? Co oni jej tam zrobili? Trzymają ją pod kluczem, czy co? Zamykają na dzień w szafie?

- Nie, nie aż tak, ale... coś w tym rodzaju - przyznał z namysłem Eastwood. - Becketowie są bardzo żywiołowi, hałaśliwi i porywczy. Wszyscy z wyjątkiem Elly. Dotarło to do mnie dopiero teraz, ale jestem niemal pewien, że chodzą wokół niej na palcach. Tak... istotnie, robią wszystko, żeby ją chronić i broń Boże nie wyprowadzić jej z równowagi. Jakby Eleonor nie

wolno było się martwić. Jednym słowem są odrobinę nadopiekuńczy. Może ma to coś wspólnego z jej nogą, z tym, że kuleje... Nie wiem.

- Powiadasz, że robią wszystko, żeby ją chronić... hmm... ciekawe. Być może trochę cię zamroczyło i jeszcze tego nie zauważyłeś, ale panna Becket postawiła ci dom na głowie. W kilka godzin. Machnęła rączką i raptem zapanował kompletny chaos. Po mojemu, to ich należałoby przed nią chronić. Nie na odwrót. Z daleka widać, że panna jest charakterna i ma, delikatnie mówiąc, osobliwe pomysły.

- Cóż, nie zaprzeczę. Podejrzewam, że dużo czyta. Nawet bardzo dużo. Bóg raczy wiedzieć co. W każdym razie coś albo ktoś nakładł jej do głowy dziwacznych i nierzeczywistych wyobrażeń o życiu i świecie. To naprawdę niesamowite, jak się nad tym głębiej zastanowić. Mieszka pod jednym dachem z bandą przemytników, a sama jest prawdziwą damą. Damą, która zawsze postępuje bez zarzutu, ale w głębi duszy tęskni za przygodą.

- Może i tęskniła za przygodą - stwierdził cierpko Cluny - dopóki się nie okazało, że sytuacja ździebko ją przerasta. Odeślij ją jak najprędzej do domu, powiadam ci, bo będą z tego kłopoty.

- Nie mogę jej odesłać. Sama to nawet zaproponowała, ale nie mogę.

- Chyba raczej nie chcesz. Tylko mi nie mów, że raptem naszło cię na amory.

Jack był autentycznie zaskoczony.

- Na amory? Broń Boże. Jeszcze mi życie miłe. Mówimy o córce Ainsleya Becketa. Gdybym ją tknął, wypatroszyłoby mnie żywcem. Jacko obiecał mi to osobiście, a nie rzuca słów na

wiatr. Zapowiedział, że zrobi mi z moich własnych trzewi nowy szalik.

Irlandczyk skwitował jego mowę wzruszeniem ramion.

- Żeby potem nie było, że cię nie uprzedzałem, chłopcze. Pierwszy ci przypomnę, że próbowałem przywołać cię do rozsądku. Zakładam, że masz jakiś pomysł.

- Nie. Jeszcze nie. Ale skłaniam się ku temu, żeby zwyczajnie przyłożyć Chelfhamowi pistolet do głowy i zażądać informacji. Sądzisz, że może się udać?

- Wątpię, choć to znakomity plan. Idealny w swojej prostocie. Szkoda tylko, że zawodny. Jeśli hrabia nie poda ci nazwisk, rad nie rad, będziesz musiał go zastrzelić. Choćby po to, żeby dowieść, że twoje groźby są prawdziwe. I co na tym zyskamy? Nic, zwłaszcza że jak twierdzisz, pozostali dwaj to płotki. Raczej nie wiedzą zbyt wiele.

Eastwood słuchał przyjaciela tylko jednym uchem. Właśnie przyszło mu coś do głowy, więc niemal zupełnie się wyłączył.

- Chelfham - szepnął ni stąd, ni zowąd. - Kiedy o nim rozmawiamy, Eleonor robi się jakaś taka... dziwna. Oczy jej błyszczą inaczej niż zwykle i zmienia jej się głos... A niech to! Sądzisz, że Becket coś przede mną ukrywa?

- Niby co?

- Bo ja wiem? Może słyszał o hrabim już wcześniej, zanim wymieniałem na głos jego nazwisko. Przystał na moją propozycję niemal natychmiast, w dodatku bez większych zastrzeżeń. I zgodził się wysłać ze mną Eleonor. zaproponowała, że ze mną pojedzie... hmm... raczej zażądała, żeby pozwolił jej ze mną jechać, a on prawie nie oponował. Ainsley to bardzo inteligentny i rozważny człowiek. Niczego nie robi impulsywnie. Jak myślisz, Cluny, podejrzewał Chelfhama już wcześniej?

- Mnie pytasz? W życiu człowieka na oczy nie widziałem. Skąd mam wiedzieć, co mu się gnieździ pod czaszką? Jasnowiedzem nie jestem. A tobie jak się zdaje?

Jack roześmiał się niewesoło.

- Mam kompletny mętlik w głowie. Niewykluczone, że chce mnie wykorzystać. Nawet to rozumiem, ale żeby mieszać w to wszystko własną córkę? Tego już nie rozumiem. Nie widzę w tym najmniejszego sensu. Powinieneś zabezpieczać mi tyły.

- Całe życie nic innego nie robię, szczeniaku. Taki to już mój parszywy los...

- W sensie dosłownym, ty stary zrędo. Chcę sprawdzić, czy mnie ktoś nie śledzi.

- Niby kto? Becket posłał kogoś, żeby za tobą łaził?

- Nie inaczej. Pracuję dla niego, ale może „zgarnął” mnie do kolekcji tak jak niegdyś gromadził swoje tak zwane dzieci. Nie mam pojęcia, kto komu ufa w tym układzie. I czy w ogóle ktoś komuś ufa. Nie zdziwiłbym się, gdyby Becketowie nie dowierzali nikomu poza własną rodziną. Nie jestem nawet pewien co do Eleonor. Wydaje mi się, że jest ze mną w miarę szczerą, ale kto to może wiedzieć?

Shannon zadumał się na chwilę i rzekł:

- Weź ją do łóżka, wtedy będziesz wiedział. Jak dobrze pójdzie.

- Że co proszę?!

- Spokojnie, chłopcze, coś ty taki wrywny? Zanim przefasonujesz mi gębę, rozważ na chłodno, co mówię. Ludzie zwierzają się sobie w pościeli z rzeczy, o których normalnie milczą. Kobiety robią tak ponoć od zarania dziejów. Od czasów Adama i Ewy, jak słyszę. Tylko pamiętaj, żebyś przypadkiem sam się z czymś nie wygadał. Z taką niepozorną dzierlatką jak

ona pójdzie ci jak z płotka. Raczej nie będzie protestować. Ba! Przyjmie twoje umizgi, że się tak wyrażę, z otwartymi ramionami. Pamiętaj, że żyje na odludziu z nosem w książkach. A w dodatku jest kaleką. Wpadnie ci w ręce, jak przejrzała śliwka spada z drzewa, wspomnisz moje słowo. I ani się obejrzyś, a będziesz wiedział wszystko. Wyciągniesz z niej, co tylko będziesz chciał.

Jack obrócił w dłoniach kieliszek.

- Pięknie to sobie wykoncypowałeś, Cluny, tylko co potem, ha? Co pocznę z nią potem, kiedy już wyśpiewa mi to i owo „w pościeli”?

Irlandczyk ryknął śmiechem. Tak donośnie, że aż zatrzęsł się jego potężny brzuch.

- A skąd niby mam wiedzieć? Odkąd to znam się na babach?

Eastwood wstał i obszedł dookoła biurko.

- Właśnie. Nic nie wiesz, nie znasz się, a mimo to masz dla mnie mnóstwo dobrych rad. Kiedy cię ostatni raz posłuchałem, wyszedłem na tym jak Zabłocki na mydle. Musiałem tłumaczyć dowódcy, jakim cudem cudze kury znalazły się na ruszcie nad naszym ogniskiem.

- Ha! Gdyby nie ja i mój szybki pomysłunek, powiesiliby cię za kradzież, niewdzięczniku. A tak, dałem mu tłustego kuraka i zaraz przeszła mu ochota na śledztwo. Do dziś zachodzę w głowę, jak to się stało, że podnieśli cię do rangi porucznika, gdy tymczasem ja pozostałem szeregowym piechurem. Gołym okiem widać, który z nas dwóch jest bystrzejszy.

Jack uśmiechnął się i podał mu rękę, żeby dźwignąć go z fotela. Sam by się raczej nie podniósł.

- Już prawie siódma. Chodź, Cluny, nakryliśmy także dla ciebie. Phelps dał mi znać, że oprócz Ecclesa przyprowdzi

jeszcze trójkę innych gości. Mam nadzieję, że miał na myśli swoją żonę, siostrę i szwagra, czyli Chelfhama we własnej osobie. Powiesz mi potem, co o nich sądzisz.

- Już teraz mogę ci powiedzieć, co o nich sądzę. Dwóch służalczych półgłówków oraz ich pan i władca, ot co. Dobrze wiesz, którego z nich masz obserwować. Nie wiesz tylko, kto obserwuje ciebie.

Eastwood nie znalazł na to odpowiedzi, więc odwrócił się i wyszedł na korytarz. W drodze do salonu przystanął na moment przed lustrem i uśmiechnął się do swojego odbicia. Surdut, który kazał uszyć sobie na miarę u Westona prezentował się nad wyraz szykownie. Wyglądał w nim jak prawdziwy dżentelmen, którym zresztą był z urodzenia. Sęk w tym, że przez bardzo długi czas nie czuł się jak dżentelmen, zwłaszcza pod względem zasobności portfela. Jeszcze do niedawna wiódł nader skromny, by nie powiedzieć ubogi żywot.

Mijając w holu pokojówki, zauważył, że obie uwijają się jak w ukropie. W całym domu od rana wrzało jak w ulu. Przygotowania do kolacji szły pełną parą i trwały niemal od świtu, a każde okno i każdy mebel lśniły czystością jak nigdy dotąd. Elly najwyraźniej rozmówiła się ponownie ze służbą. I tym razem zakomunikowała jej dokładnie to, co trzeba. Komenderowała teraz wszystkim niczym generał. Nic dziwnego. Cichej, lecz stanowczej pannie Becket trudno było czegokolwiek odmówić. Przekonał się o tym na własnej skórze.

Znalazł ją w bawialni. Siedziała sztywno wyprostowana na krześle i sprawiała wrażenie spiętej.

- Dobry wieczór, żono - odezwał się, pochylając się nad jej dłonią.

Elly spodziewała się, że przytrzyma ją dłużej, jak to robił

wcześniej, ale jego wargi ledwie musnęły jej skórę.

- Dochodzi siódma - powiedziała, kiedy podszedł do barku i uniósł zachęcająco karafkę. - Nie, dziękuję, jestem zbyt zdenerwowana, żeby pić wino. I chcę zachować jasność umysłu.

- Tym bardziej powinnaś się napić - stwierdził, podając jej kieliszek. - Dla kurażu. Wyglądasz urzekająco. Do twarzy ci w czerwonym.

- Dziękuję - odparła z uśmiechem. W jej oczach pojawił się błysk. - Uznałam, że będzie zabawnie, jeśli dopasuję się kolorem do szkarłatnej kamizelki pana Phelps'a.

Roześmiał się ubawiony i odrobinę zaskoczony.

- Brawo, tak trzymać, jak mawia Cluny. Czeka nas niełatwe zadanie. Kto powiedział, że nie wolno nam przy okazji dobrze się bawić?

Eastwood rozejrzał się po wypolerowanym do czysta pokoju.

- Rzadko bywam w domu. Nie zdawałem sobie sprawy, że pod moją nieobecność służba tak bardzo się rozleniwiła. Jeśli posiłek okaże się choć w połowie tak okazały jak to wnętrze, nasi goście oniemiają z wrażenia.

- Dopiero co wróciłam z kuchni. Rozmawiałam z panią Henderson i panią Ryan. Nie były zachwycone moim widokiem, ale zapewniły mnie, że wszystko idzie, jak należy. Miejmy nadzieję, że twoi znajomi się nie spóźnią. Pani Ryan byłaby niepokieszona. Nie lubi, gdy jej idealne, łososiowe suflety opadają.

- Czy to znaczy, że zwykle pływają po wierzchu? - zażartował, żeby ją rozbawić, bo była przeraźliwie blada. - Nie zamartwiaj się, Eleonor. Będziesz doskonałą panią domu. Taką jak w Becket Hall. Gdyby nie twoje wizyty w kuchni, to miejsce pewnie całkiem zesłoby na psy, a ja niczego bym nie zauważył,

dopóki dach nie zawaliłby mi się na głowę.

- Przypisujesz mi zbyt wiele zasług. - Uśmiechnęła się niepewnie. - Nie zrobiłam niczego nadzwyczajnego, ale dziękuję. Boże drogi, ależ jestem zdenerwowana...

Przysunął sobie krzesło i usiadł obok niej.

- Zauważyłem. - Ścisnął ją lekko za rękę. - Uwierz mi, żaden z tych antypatycznych typów nie jest wart twoich nerwów. Nie ma się czym przejmować. Kiedy przyjdą, podam im drinki i zaczniemy nudną pogawędkę o niczym. Potem Treacle zawoła nas do jadalni na kolację. Widzisz, wreszcie zapamiętałem, jak się nazywa nasz kamerdyner. Jeśli pani Ryan - ją też zapamiętałem i jestem z tego piekielnie dumny - więc jeśli pani Ryan poda groszek, rozerwiemy się, patrząc, jak Eccles próbuje nałożyć sobie na widelec dwa tuziny sztuk na raz, a Phelps będzie robił zakłady, że nie zdoła donieść ich wszystkich do ust, bo co najmniej połowa spadnie mu na obrus.

Zachichotała jak mała dziewczynka.

- Zmyślasz. Nikt przy zdrowych zmysłach nie wyprawia takich rzeczy przy stole.

- Doprawdy? Nie wiesz jeszcze, do czego zdolny jest Eccles. Widziałem jego wyczyny na własne oczy. Sama się przekonasz. Po kolacji ty dotrzymasz towarzystwa damom, a ja siądę z mężczyznami do kart i doszczętnie ich oskubię, jak kuraka na rosół.

Uśmiechnęła się szerzej.

- Naprawdę chcesz ich oskubać?

- Naturalnie. Chelfham również dziś przyjdzie, bo uważa mnie za łatwy cel. Phelps powiedział mi, że na okrągło przegrywam. Kiedy dla odmiany nagle wygram, już na samym wstępie zasieję między nimi ziarenko niezgody. Poza tym muszę

powetować sobie straty. Przegrałem do nich ponad trzy tysiące funtów.

- Próbujesz ich ze sobą skłócić?

- Tylko odrobinę. Chcę sprawić, żeby mieli do siebie wzajemne żale. W myśl zasady *divide et impera*. Pojmujesz, o co mi idzie...

- Naturalnie, dziel i rządź - przetłumaczyła bez namysłu. Czytała wiele, ale zdaje się, nie odkryła jeszcze rozlicznych poradników dla młodych dam, które twierdziły jednogłośnie, że w towarzystwie mężczyzn kobiety powinny udawać idiotki. A najlepiej idiotki bez wykształcenia.

Popatrzył na nią z podziwem.

- Znasz łacinę?

Wzruszyła ramionami.

- Nie, skądże. Ale... mamy w bibliotece księgę łacińskich przysłów. Pamiętam, że to konkretne powiedzenie upodobał sobie Machiavelli. Ojciec zawsze się z nim zgadzał, chociaż osobiście woli: *actus non facit reum, nisi mens sit rea*.

Lekcje łaciny miał dawno za sobą, więc musiał się chwilę zastanowić, nim pojął sens sentencji, którą go uraczyła.

- Zbrodniczy akt nie jest zbrodnią, bez zbrodniczego zamiaru?

- Właśnie. To stara prawnicza maksyma. Jeśli łamie się prawo ze szlachetną intencją, w imię wyższego dobra, czy też nieświadomie, nie popełnia się przestępstwa. Papa powtarza to często, kiedy opadają go wątpliwości. Lżej mu się robi na sercu, jak sądzę.

- Tłumaczy sobie, że para się przemytem, żeby pomagać ludziom z Romney Marsh? I nie zarabia na tym ani pensa...

Skinęła głową. Zerknąwszy na kieliszek, stwierdziła ze

zdziwieniem, że opróżniła go niemal w całości.

- Jacko także żyje według tego powiedzenia - oznajmiła nieoczekiwanie dla samej siebie. - I, o dziwo, nic nie spędza mu snu z powiek.

- Nie lubisz go, prawda? - zapytał zaciekawiony. Najbliższy przyjaciel Ainsleya zawsze go intrygował.

- Cóż, powiedzmy, że nie pałam do niego szczególnie wielkim uczuciem. Ale... dobrze się rozumiemy. - Upiła kolejny łyk wina, żeby nie wypaplać czegoś więcej. - Słyszałeś? - odezwała się, spojrzawszy w stronę drzwi. - Kołatka. Zdaje się, że to twoi goście.

Jack postanowił przeanalizować słowa i zachowanie Eleonor później.

- Treacle się nimi zajmie. Poczekamy, aż odbierze od nich nakrycia, a potem ich zaanonsuje. - Ścisnął mocniej jej dłoń i uśmiechnął się, żeby dodać jej otuchy. - Pamiętaj, Eleonor, jesteś u siebie. To twój dom i ty tu dowodzisz.

- Nawet ich nie znam - odparła, odwzajemniając uścisk. - A jestem przerażona. Nie przypuszczałam, że tak trudno mi będzie stanąć z tymi ludźmi twarzą w twarz.

Ujął ją za podbródek i zajrzał jej w oczy.

- Postaraj się o tym nie myśleć. Najlepiej skup się na tym. - Z tymi słowy przycisnął usta do jej ust. Lekko, ale stanowczo. Wycofawszy się na moment, pocałował ją ponownie, tym razem przesuając językiem po mięciutkiej dolnej wardze. W końcu odsunął się, żeby na nią spojrzeć. Niech diabli porwą Cluny'ego i jego durne pomysły, zaklął w duchu.

Jej powieki były przymknięte, a wargi nieznacznie rozchylone, jakby w oczekiwaniu na ciąg dalszy.

Uśmiechnął się szeroko, kiedy otworzyła oczy, zamrugła

i przyłożyła sobie palce do ust.

- Teraz, gdy ci powiem, że za moment wprowadzą gości, powinnaś zapytać: „Jakich gości? Nie pamiętam nic o żadnych gościach...” Taki w każdym razie miałem plan. Ciekaw jestem, czy skuteczny. Hm... co ty na to? Zadziałało?

- Och, zadziałało, i owszem - odparła z rozbrajającą szczerością. - Dopóki nie wyłuszczyłeś otwarcie swojej przebiegłej strategii. - Była wyraźnie rozczarowana. - Rozumiem, że starałeś się tylko odwrócić moją uwagę. Równie dobrze mogłeś mnie spoliczkować. Osiągnąłbyś zapewne ten sam skutek. Dziękuję.

- Drobiazg. Zawsze do usług.

Uwielbiała dołeczki w jego policzkach, kiedy się uśmiechał. I te błyszczące figlarnie źrenice... Na ich widok ścisnęła ją w żołądku. Nie wiedzieć czemu Jack wydał jej się raptem o wiele mniej niebezpieczny niż zwykle, lecz kiedy wstał, jego rozbawione przed chwilą oczy znów przybrały nieprzenikniony wyraz. Poczowała wtedy, że ma do czynienia z niezwykle silnym i inteligentnym mężczyzną.

Uzmysłowiła sobie, bodaj po raz pierwszy, że pod wieloma względami Jack bardzo przypomina Ainsleya. Nic dziwnego, że papa mu ufał. Zapewne widział w nim młodszą wersję samego siebie.

Wolałaby zostać teraz sama z własnymi myślami. Potrzebowała czasu, żeby poukładać sobie wszystko w głowie, zastanowić się między innymi nad tym, dlaczego żywi do Jacka tak silne uczucia. Niestety Treacle stanął właśnie w progu, żeby zapowiedzieć gości.

Jako pierwsi wkroczyli do bawialni Rawley Maddox, hrabia Chelfham, oraz jego żona.

I, o dziwo, nic się nie stało. Ziemia z nie zadrżała w posadach, a świat nie zawałił się Elly na głowę. Właściwie... niczego nie poczuła. Nie dostrzegła też rodzinnego podobieństwa. Nie rozpoznałaby Maddoksa, gdyby nie wiedziała, z kim ma do czynienia. Nie spodziewała się, że będzie wyglądał jak nastroszony paw. Miał na sobie niebieski surdut z mieniącą się tkaniny, koronkowe mankiety i koronkowy fular, a do tego kamizelkę w grochy obwieszoną co najmniej trzema złotymi łańcuszkami. W jego dłoni spoczywała biała wyszywana chusteczka, którą zasłaniał nos, jakby oczekiwał, że lada moment jego nozdrza skąka jakaś ohydna woń. W dodatku był niski i przysadzisty, by nie powiedzieć pulchny. Jego łysa czaszka świeciła w blasku świec niczym naoliwiona dynia, okolona rzadką przydługą grzywką. Wszystko to czyniło z niego dość komiczną postać. Karykaturę z popularnych obrazków podobną do tych, które widywała na rysunkach przywożonych przez Morgan z Londynu.

Za to kobieta, która trzymała go pod ramię była olśniewająco piękna. Wyższa od męża o więcej niż pół głowy i o nie mniej niż cztery dekady młodsza, przywodziła na myśl jasnowłosego cherubina z wielkimi niebieskimi oczami. Spowita w jedwabny błękit prezentowała się jak anioł. Z tą różnicą, że na twarzach aniołów zwykle malował się wyraz łagodności i pogody ducha, a nie pogardy i bezdennej nudy.

Eleonor siedziała na krześle z rękoma splecionymi na kolanach i przyglądała się Jackowi, który witał przybyłych.

Tuż po hrabiostwie Chelfhamach pojawił się wysoki i chudy jak tyczka mężczyzna, który zdawał się nie mieć zarysowanego podbródka. Nietrudno było sobie wyobrazić jak pan Gilbert Eccles stara się utrzymać na widelcu dwa tuziny sztuk groszku.

Jako następny przekroczył próg Harris Phelps. Był niezwykle podobny do siostry. Tak jak hrabina miał jasne włosy i niebieskie oczy, a delikatne niemal kobiece rysy czyniły go odrobinę zniewieściałym. Nie był przystojny. Nazwałaby go raczej wymoczkiem, choć to nieszczególnie pochlebne słowo. Pod granatowym, przedniej jakości surdudem nosił szkarłatną kamizelkę z jedwabiu. Wyglądał trochę jak zadający szyku policjant z Bow Street.

Podszedł wprost do Jacka, zostawiając za sobą niską, tęgawą żonę, która sprawiała wrażenie nieco zagubionej.

Elly czekała cierpliwie, aż Eastwood przyprowadzi gości bliżej i oficjalnie przedstawi ją jako swoją żonę. Podała każdemu z mężczyzn rękę, a ci pochylili się nad nią kolejno, zgodnie z etykietą. Kiedy jej palce zetknęły się z dłonią Chelfhama zrobiło jej się niedobrze, ale zapanowała nad sobą siłą woli. Hrabia łypnął na nią cokolwiek lubieżnie, lecz po chwili zmrużył oczy i przyjrzawszy się jej dokładnie, bez słowa odwrócił się na pięcie, żeby odejść. Na szczęście nie był nią zainteresowany.

Lady Chelfham zasiadła na kanapie po lewej stronie Eleonor i rozłożyła spódnice, nie zostawiając ani odrobiny miejsca dla pani Phelps. Ta ostatnia musiała więc zająć sofę naprzeciwko. Eleonor wciąż tkwiła na niewygodnej ławce pomiędzy kanapami.

Wiedziała, że jako pani domu to ona musi zagaić rozmowę. Tak jej się przynajmniej wydawało, lecz nim zdążyła otworzyć usta, uprzedziła ją Miranda Phelps.

- Wygodnie ci Helen? - zwróciła się lękliwie do hrabiny. - Może zbyt chłodno? Albo za gorąco? Tak, z pewnością za gorąco. Twój wachlarz, zdaje się, został w powozie, ale to żaden

kłopot, zaraz po niego pójdę.

- Opanujże się, Mirando - odparła zblazowanym tonem lady Chelfham. - Jeśli będzie mi potrzebny wachlarz, przyniesie go służąca. - Zatrzymała wzrok na Eleonor i dodała wyniośle: - Mamy dziś jeszcze dwie zaplanowane wizyty, pani Eastwood. Rozumiem, że każe pani natychmiast podać do stołu?

Elly z miejsca zapomniała o nerwach. Nie podobał jej się sposób, w jaki hrabina traktowała bratową. Jeszcze mniej podobała jej się zdruzgotana mina sympatycznej pani Phelps.

- Jeśli nie odpowiada pani nasze towarzystwo, milady, nie będziemy pani zatrzymywać. Chętnie przywołam męża i wyjaśnię mu, że spieszno pani do innych zobowiązań.

- Och nie, Helen! - zaprotestowała Miranda, spoglądając płochliwie na szwagierkę. - Nie możemy tak od razu wyjść... Harris mówi, że przyszliśmy tu, bo jego lordowska mość chciał koniecznie sprawdzić, czy... to znaczy... - Rozejrzała się dookoła, by w końcu zerknąć na Eleonor. - Zdaje się, że panowie zamierzają po kolacji zagrać w karty... - wyjaśniła pośpiesznie.

- Och, doprawdy? - rzuciła z satysfakcją hrabina. Jej piskliwy głos ociekał jadem. - Przykro mi to mówić, pani Eastwood, ale to znaczy, że poślubiła pani skończonego idiotę. Trzeba pani wiedzieć, że mój mąż uchodzi za najlepszego gracza w Londynie.

- Ach tak... - odpowiedziała bez mrugnięcia okiem Elly. - Cóż, to się jeszcze okaże. Zapewniam, że mój mąż od kołyski celuje w rozmaitych... grach salonowych.

- Pani także grywa, pani Eastwood? - zainteresowała się Miranda.

- O nie, pani Phelps. Zwykle gustuję w nieco bardziej...

przyjemnych przyjemnościach. Wyszywam, maluję albo śpiewam. A pani? Lubi pani śpiewać? Idę o zakład, że ma pani piękny głos.

Na szczęście pani Phelps nie trzeba było zachęcać do rozmowy. Wystarczyło zadać jej jedno pytanie i zaczekać, aż otworzy usta. Jej naszpikowany szczegółami monolog o rodzinie z Lincolnshire okazał się długi i nużący.

Hrabina ostentacyjnie co chwila ziewała w rękaw.

- Ja także czasem maluję - zwierzała się w najlepsze Miranda.

- Na razie niezbyt dobrze mi to idzie, ale teraz kiedy niemal połowę roku spędzamy w Chelfham Hall, mam więcej czasu, więc staram się doskonalić swoje umiejętności.

- Daremny trud, moja droga - wtrąciła złośliwie lady Chalfham - Uwierz mi, widziałam rezultaty twoich „starań”. - Z tymi słowy uniosła ramię i pstryknęła palcami. Niemal natychmiast pojawił się u jej boku Chelfham, który przybiegł na wezwanie niczym tresowany piesek. - Rawley, nie podano mi jeszcze nic do picia - poskarżyła się mężowi.

- Och, wybacz, moja słodka. Pochłonęła mnie rozmowa.

- W dodatku Miranda bez przerwy trajkocze. Zrób coś z tym. Wiesz przecież, jak bardzo męczy mnie jej durna paplanina...

Wieczór ciągnął się w nieskończoność i upłynął w całości w podobnej atmosferze. Minął co najmniej kwadrans, nim Treacle zadzwonił na kolację, która składała się z aż pięciu długo celebrowanych dań. Potem panie udały się do bawialni, zostawiwszy mężczyzn, by mogli zagrać w karty.

Helen Maddox przez cały ten czas zachowywała się okropnie. Okazała się najbardziej nieznośną kobietą, z jaką Becketówna kiedykolwiek miała styczność. Pomiała bratową, nękała męża

niedorzecznymi prośbami i kompletnie ignorowała panią domu. Tylko raz wlepiała w nią wzrok, jakby przyglądała się dziwaczному wybrykowi natury. Później interesowała się już wyłącznie sobą.

Eleonor nie posiadała się z radości. Nie miała najmniejszej ochoty rozmawiać z lady Chalfham. Zwłaszcza po tym, gdy hrabina raczyła do niej przemówić tuż po dokładnych „ogłędzinach” jej osoby.

- Och, widzę, że jest pani kaleką. Jaka szkoda, że Rawley o tym nie wspomniał. Gdybym wiedziała, stanowczo zostałamby w domu. Nie cierpię niedołęgów. Wszelka ułomność przyprawia mnie o mdłości. Położę się na chwilę... Mirando! Wezwij prędko moją pokojówkę!

Gdy lady Helen wylegiwała się na kanapie wachlowana przez służącą, Elly i pani Phelps wymknęły się do pokoju muzycznego. Zasiadłszy przy fortepianie, zajęły się przeglądaniem nut.

- Nie jest aż tak podła, jak się wydaje - zagadnęła Miranda. - To znaczy, owszem zwykle postępuje podle, ale to dlatego że jest nieszczęśliwa. Z pewnością cieszy ją tytuł hrabiny. Kto by się nie cieszył z tego, że został hrabiną, prawda? Tyle że wraz z tytułem dostał jej się także mąż, którego najwyraźniej nie znosi.

- Coś podobnego... A wydawało mi się, że owinęła go sobie wokół palca... - Becketówna starała się za wszelką cenę podtrzymać rozmowę. Szczęśliwym Miranda uwielbiała dużo mówić. W dodatku otwarcie i bez ogródek.

- O tak, bez wątpienia. Dyryguje nim jak orkiestrą. Harris twierdzi, że to z powodu dziedzica, którego ma mu niebawem urodzić.

- To znaczy, że hrabina jest przy nadziei? - Elly nagle zrobiło

się słabo. Przez nią i Jacka jej nienarodzony syn lub córka mieli stracić ojca.

Pani Phelps przysunęła się nieco bliżej i zniżyła głos do konspiracyjnego szeptu.

- Harris nie jest pewien, czyje to właściwie dziecko. Ponoć jego siostra prowadziła się dość... jakby to powiedzieć... hmm... „swobodnie”, kiedy była debutantką. Wiem, wiem, nie powinnam rozpowiadać takich rzeczy, ale doprawdy trudno mi ją lubić. Co gorsza, mieszkamy teraz w ich domu i muszę nieustannie znosić jej uprzykrzone towarzystwo. Ani na chwilę nie mogę się od niej uwolnić. Od dawna błagam męża, żebyśmy wyjechali z Londynu i wrócili do Surrey, ale Harris upiera się, że musi zostać w mieście, bo ma tu interesy i jest bardzo zajęty. Nie pojmuję, co to za interesy i co go niby tak zajmuje. Wieczorami zostawia mnie samą i odwiedza szulernie, a potem śpi do drugiej po południu. To jedyne, co robi. Boże drogi, znów mi się buzia nie zamyka! Pewnie panią zanudzam? Proszę mi wybaczyć. Czasem zupełnie nad sobą nie panuję, zwłaszcza gdy się napiję wina, a pozwoliłam sobie na dwa kieliszki!

- Może każe podać herbatę? Jest jeszcze wcześnie, ale gorący napar i ciasteczka dobrze pani zrobią. Z miejsca poczuje się pani lepiej. - Po prawdzie, Eleonor wolałaby jej wręczyć kolejną porcję alkoholu, ale postanowiła zachować rozsądek. Jeszcze zwietrzy podstęp i pomyśli, że celowo chce ją upić...

- Och, nie dziękuję. Żadnych ciastek. Pani rozumie, odmawiam sobie słodyczy... Helen oddaje mi czasem stroje, których już nie nosi. Próbuję zrzucić trochę wagi, żeby zmieścić się przed Gwiazdką w pewną cudną suknię z zielonego aksamitu. Hrabina jest ode mnie dużo wyższa, więc kiedy skrócę spódnicę, będę mogła uszyć sobie z pozostałego

materiału piękny szal. Ciastka nie są zatem wskazane, ale... okrutnie chce mi się pić. Jeśli to nie kłopot, napiłabym się jeszcze odrobinę wina. Jak pani myśli, malutka ociupinka chyba mi nie zaszkodzi, prawda?

Becketówna wzniosła w duchu okrzyk triumfu, po czym zadzwoniła po służącego. Po chwili Miranda pochłonęła pełniusieńki kieliszek w nie więcej niż dwie minuty, zupełnie jakby to była woda, a nie mocny trunek.

Oby tak dalej, pomyślała Elly i zaryzykowała kolejne pytanie.

- Pan Phelps i lady Chelfham są rodzeństwem. Czy pani mąż znał hrabiego, zanim jego siostra wyszła za mąż?

Jej rozmówczyni zmarszczyła brwi, jakby usiłowała sobie coś przypomnieć. Albo zebrać myśli.

- Czy Harris i hrabia znali się wcześniej? Nie, skądże. - Przysunęła się, jak zwykle gdy miała do powiedzenia coś istotnego. - Przedtem byliśmy biedni jak mysz kościelna. Nie mówię, że teraz jesteśmy krezusami, ale powodzi nam się znacznie lepiej, odkąd Helen wydała się za Maddoksa. Niestety ma to i swoje złe strony. Od tego czasu obrosła w piórka i zrobiła się jeszcze bardziej nadęta, a trzeba pani wiedzieć, że zawsze była zadufana w sobie. Tak czy owak, od czasu zamążpójścia, uważa się za lepszą od innych i spogląda na wszystkich z wyższością.

- Cóż, jakby nie było, jest hrabiną... Choć istotnie trzeba przyznać, że nie traktuje pani zbyt dobrze...

- Ha! Niezbyt dobrze! Kochanieńka, gdyby pani tylko wiedziała, co ta jędza potrafi wyprawiać... Dobrze wiem, dlaczego Harris się ze mną ożenił. Rzecz jasna dla pieniędzy mojego papy, bo z pewnością nie dlatego że mnie... Ale, co robić, taki los. Jako córka młynarza nie mogłam wybrzydnąć.

A czekanie na księcia z bajki raczej na niewiele by mi się zdało... Zwłaszcza z moim wyglądem...

- Och jestem pewna, że mąż darzy panią głębokim uczuciem.

- Eleonor miała nadzieję, że jej zapewnienia zabrzmiały w miarę wiarygodnie.

- Nic podobnego. Zależało mu wyłącznie na moim skromnym posagu. Tylko dzięki niemu sfinansował w zeszłym roku debiut Helen. Postanowił wydać ją bogato za mąż i tym sposobem zapewnić sobie lepszy byt. Gdyby nie wyszła za Rawleya, nadal uciekalibyśmy przed wierzycielami. Naturalnie bez przerwy nam przypomina, jak bardzo poświęciła się dla rodziny. Zupełnie tak, jakby ów mariaż nie przyniósł jej żadnych osobistych korzyści. Na przykład tytułu. Powiadam pani, odkąd została hrabiną, wywyższa się i traktuje nas jak służących, szczególnie mnie. A przecież gdyby nie moje pieniądze, wciąż byłaby nikim, podła ropucha. - Chwyciwszy nietknięty kieliszek Becketówny, pani Phelps uniosła go, żeby wznieść toast. - Oby czekał ją ciężki poród pośladowy. I niech cierpi w połogu przez długie godziny. Wypiję za to do dna. - Jak powiedziała, tak też zrobiła. Potem zamruwała i usiłując powstrzymać atak czkawki, próbowała chwycić w locie nuty, które zsunęły jej się z kolan na podłogę. - Rety! Co ja narobiłam!

- Nic się nie stało, pani Phelps - zapewniła Eleonor, przyklękając na dywanie. - Proszę spocząć i uspokoić nerwy, a ja tu wszystko pozbieram.

- Dziękuję, bardzo pani miła... - Miranda podeszła chwiejnym krokiem do stolika, na którym Treacle zostawił karafkę pełną wina, i natychmiast zrobiła z niej użytek.

Elly przysiadła na piętach i zmarszczyła brwi, przyglądając się ze zdumieniem rozmówczynie. Pani Phelps ledwie trzymała

się na nogach, mimo to z pełnym kieliszkiem w ręku brnęła z wolna przez pokój, dotykając dosłownie wszystkiego, co stało jej na drodze. Na koniec schyliła się, żeby podnieść teczkę, w której Eleonor przechowywała swoje akwarele.

Panna Becket podniosła się pospiesznie, upuszczając ponownie kartki z nutami.

- Proszę mi to oddać, pani Phelps - zażądała stanowczo, wyciągnąwszy dłoń w stronę swego gościa.

- To pani własne prace? - zignorowała ją Miranda. - Wspominała pani, że lubi malować, prawda? A może to ja mówiłam coś o malowaniu? Och, wyleciało mi z głowy... A tak, to chyba ja. Lubię akwarele, ale mam raczej ciężką rękę. Nie radzę sobie dobrze z pędzlem. Zobaczmy, jak z tym jest u pani...

Elly zapragnęła raptem wyrwać jej portfolio i za pomocą pięści posłać ją na przymusową drzemkę, żeby nieco otrzeźwiała. Niestety rozwiązania siłowe nie wchodziły w rachubę.

Z drugiej strony.... Cóż, miała zbyt wiele do ukrycia, postanowiła więc włożyć dobre obyczaje między bajki i nie silić się na uprzejmość. Pani Phelps za godzinę prawdopodobnie i tak nie będzie pamiętała tej rozmowy.

Westchnąwszy ciężko, chwyciła oburącz teczkę. Miranda trzymała ją tylko jedną ręką. W drugiej wciąż ścisnęła wino, którego zapewne nie oddałyby, nawet gdyby przystawiono jej do głowy pistolet.

- Daruje pani, ale będę nalegać. Nie mam zwyczaju pokazywać swoich rysunków. Obawiam się, że nie są zbyt dobre. Nie chcę, żeby ktokolwiek oglądał mizerne efekty moich wysiłków...

Miranda poddała się bez walki.

- Naturalnie, skoro pani sobie nie życzy... Proszę tylko spojrzeć na ten bałagan na podłodze. Ależ ze mnie niezdara! - Skrzywiła się i uderzyła w płacz. - Niczego nie potrafię zrobić, jak należy - chlipała rozpaczliwie. - Harris w kółko powtarza, że ożenił się z oferłą. Boże święty, co ja mu takiego zrobiłam?

Eleonor była już mocno rozsierzona. Co za beznadziejna kobieta! Smętna, słaba, bojaźliwa i zupełnie bezwolna. A na dodatek pijana!

- Gruba przesada - wycedziła przez zaciśnięte zęby. - To z pewnością nieprawda.

Pani Phelps pociągnęła głośno nosem, po czym nagle się ożywiła.

- Może więc pozwoli mi pani obejrzyć swoje prace? - Uśmiechnęła się bezczelnie i wyciągnęła dłoń w stronę portfolio.

Becketówna otworzyła usta ze zdumienia. Okazała się ona niewiele lepsza niż hrabina. Tyle że aby dostać to, czego chciała, próbowała wzbudzać litość.

- Przykro mi, ale nie...

- Och, droga żono... Na Boga, co tu się wyprawia? - przerwał im od progu Jack. Wszedł do pokoju, lecz zatrzymał się na środku, natknąwszy się na porozrzucone po podłodze papiery. - Co tu tak biało? Chyba nie padał śnieg?

- Jack! - zawołała uradowana Elly. - To tylko mały wypadek. Nic wielkiego.

- Ha! Mam! Udało mi się! - Korzystając z chwilowej nieuwagi Eleonor, Miradna niemal wyrwała jej z ręki teczkę. - Jest pani przesadnie skromna, pani Eastwood. A mnie zżera ciekawość. Po prostu muszę je zobaczyć. Koniecznie!

„Pani Eastwood” powstrzymała się resztkami sił, żeby nie

trzepnąć jej mocno po palcach. Do tej pory widywała wyłącznie podpitych mężczyzn. Pierwszy raz miała do czynienia z upojoną alkoholem kobietą. I choć nie bardzo wiedziała, jak sobie z nią poradzić, instynkt podpowiadał jej, że kilka klapsów mogło zdziałać cuda. W dodatku sama miałaby z tego niemałą satysfakcję.

- Pani Phelps, nie... - zaczęła tonem, którego używała zwykle, przemawiając do rozsądku rodzeństwu. - Nie dosłyszała pani?

Miranda rzecz jasna niewiele sobie robiła z jej niezadowolenia. W końcu nie była jedną z jej sióstr.

- Pozwolą panie, że rozstrzygnę spór - wtrącił Jack, stanowczym gestem odbierając im obu portfolio. - Eleonor, Treacle podał właśnie herbatę. Hrabina postanowiła jednak darować sobie „zbyteczne grzeczności” i zaczęła zbierać się do wyjścia.

- Ach, tak? - Elly doszła nagle do wniosku, że lady Chelfham także przydałoby się porządne manto. Była w tak bojowym nastroju, że chętnie spoliczkowałyby ją osobiście. - W takim razie nie będziemy jej zatrzymywać. Niech idzie i nie pokazuje nam się więcej na oczy.

- Ja z pewnością nie będę nalegał, żeby została. - Jack puścił do niej oko i wręczywszy jej teczkę z rysunkami, wyprowadził z pokoju panią Phelps.

Eleonor odłożyła na miejsce akwarele i zebrawszy się w sobie, ruszyła do salonu, żeby pożegnać gości. Jeszcze nigdy uprzejmość nie przychodziła jej z tak wielkim trudem. Musiała zaciskać zęby, żeby nie wykrzyczeć na głos, co o nich myśli.

Na szczęście całe towarzystwo ulotniło się w rekordowym tempie. Harris Phelps spojrział z niesmakiem na żonę, po czym złapał ją za łokieć i pociągnął na schody. Poczzerwieniały na

twarży hrabia i zadowolona z siebie hrabina czym prędzej ruszyli w ich ślady.

Jedynie sir Gilbert Eccles został chwilę dłużej i zadał sobie trud, żeby pochylić się nad dłonią pani domu. Potem popatrzył z niemym podziwem na Jacka, skinął głową i zniknął.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Elly usiadła na kanapie, którą kilka minut wcześniej zwolniła lady Chelfham. Nie bacząc na to, co sobie pomyśli Jack, zrzuciła buty i podkuliwszy nogi, oparła stopy o siedzisko.

- Co za okropni ludzie... - poskarżyła się, marszcząc nos. - Dzięki Bogu, już sobie poszli.

Eastwood uśmiechnął się i rozwiązawszy fular, rozpiął sobie pod szyją kołnierzyk.

- Co robiłyście, kiedy znalazłem was w pokoju muzycznym? - zapytał, rozparłszy się na sofie naprzeciwko niej.

Przechyliła się w bok i zaczęła ugniatać sobie lewą łydkę.

- Pani Phelps... Jakby to powiedzieć... pofolgowała sobie ociupinkę z trunkami. W życiu nie widziałam, żeby ktoś wypił naraz tyle wina. Słowo daję, przez chwilę myślałam, że daruje sobie kieliszek i zacznie pociągać prosto z karafki. Biedaczka sprawia wrażenie bardzo nieszczęśliwej, ale na nasze szczęście, uwielbia dźwięk własnego głosu.

- Mam rozumieć, że nie pozwoliła, żeby choć na moment zapadła między wami niezręczna cisza?

- Nie inaczej. Oszczędzę ci szczegółów i powiem krótko: Harris Phelps ożenił się z nią dla pieniędzy i wydał jej posag na sfinansowanie debiutu siostry. Zrobił to w nadziei, że Helen wyda się bogato za mąż i cała rodzina zacznie żyć w dostatku. Pewności nie mam, ale wydaje mi się, że już na samym początku „zasadzili” się na Chelfhama. Gdy ten wykazał zainteresowanie, natychmiast zarzucili wędkę z tłuściutką

przynętą...

- A ryba połknęła haczyk - dokończył za nią. - Zauważyłaś, jak przed kolacją pstryknęła na niego palcami, a on przybiegł do niej w te pędy?

- Niczym tresowany piesek. Ponoć skacze na każde jej zawołanie, ale tylko dlatego że hrabina spodziewa się dziecka. Tak w każdym razie twierdzi jej bratowa. I pewnie ma rację. Sam mówiłeś, że Chelfham bardzo pragnie dziedzica.

Znalazłby się co najmniej jeden inny powód, pomyślał cierpko Jack. Stary Maddox spełnia zachcianki urodziwej młodej żony, bo ta regularnie wpuszcza go do łóżka. Ot co.

- Pewnie cię nie zdziwi, że hrabia traktuje szwagra równie haniebnie, jak jego żona traktuje bratową. Co do Ecclesa, zaczynam myśleć, że ten niedojda nie ma pojęcia, co się dookoła niego dzieje, choć bez wątpienia korzysta finansowo na swojej „przyjaźni” z Chelfhamem i Phelpsem. Moim zdaniem Harris trzyma go przy sobie wyłącznie po to, żeby nim pomiatać. Rozumiesz, co mam na myśli? Hrabia na każdym kroku upokarza Phelpsa, a ten z kolei poniewiera Ecclesem. Zapewne poprawia sobie w ten sposób samopoczucie.

- Ale po co mu do tego Eccles? Nie wystarczy, że poniża własną żonę? Gołym okiem widać, że nią gardzi.

Eleonor nadal ścisnęła sobie nogę. Jack przyglądał jej się od dłuższego czasu, aż w końcu uznał, że pora interweniować. Nie mógł patrzeć, jak się męczy.

- Co robisz? - zapytała ze zdumieniem, gdy przeniósł się na jej kanapę.

- Nic zdrożnego, nie obawiaj się. - Posłał jej rozbijający uśmiech i jak gdyby nic wsunął dłoń pod spódnicę, którą zakryła sobie stopy.

- Nie, Jack! Nie trzeba. Nic mi nie jest...

- Wiem, ale widzę, że cię boli - uciszył jej protesty i zabrał się do masowania łydki. - Boże świąty, masz mięśnie napięte jak postronki. Połóż się, postaram się trochę ci ulżyć.

Zamierzała się sprzeciwić, ale właśnie wtedy złapał ją jeszcze większy skurcz. Zacisnęła powieki i oparła plecy o kanapę.

- Chyba trochę się dziś przeforsowałam... Co najmniej dziesięć razy chodziłam tam i z powrotem do kuchni. - Skrzywiła się, gdy natrafił na źródło bólu.

- Odpreż się - powiedział, zaciskając drugą rękę na jej drobniutkiej pięcie. - Często miewasz takie skurcze?

- Nie aż tak silne... - Potrząsnęła głową i przygryzła wargę. Nie była pewna, co gorsze: ból czy świadomość, że Jack trzyma obie ręce pod jej spódnicą i głaszcze ją po nodze.

Eastwood nie odrywał oczu od twarzy Eleonor. Jej łydka była twarda i dobrze umięśniona, ale jakby odrobinę krzywa. Gdy spróbował unieść nieco stopę, zrozumiał, że jej kostka się nie ugina. Kości w stawie były zupełnie nieruchome, jakby przyrosły jedna do drugiej.

- Jak to się stało, Eleonor? Co ci się przytrafiło? Zraniłaś się, kiedy zatonął twój statek?

Chciała się podnieść, ale skurcz jeszcze nie ustąpił.

- Tak ci powiedziałam? Nie przypominam sobie...

- Może sam się domyśliłem. Nie wiem. - Patrzył na nią z coraz większym podziwem. Leżała, spokojnie znosząc ból, choć ten mocno jej dokuczał. Przesunął dłonie nieco wyżej. Robił, co w jego mocy, żeby rozmasować napięty mięsień. - Miałem rację?

Skinęła głową i zaczerpnęła głęboko tchu.

- Kiedy zaczęliśmy iść na dno, schowałam się pod pokładem.

Tak mnie znalazł Jacko.

Zaaferowana nie zauważyła, że jego palce powędrowały wyżej i spoczęły w zagłębieniu za kolanem. Jack wiedział, że powinien się wstydić. I zapewne będzie się wstydził. Ale później.

- Jacko się na ciebie natknął i cię uratował, ale byłaś ranna, tak?

Zaprzagnęła opowiedzieć mu, jak było naprawdę. Jemu albo komukolwiek innemu. Tylko czemu miałyby to służyć? Nie, nie wolno jej tego zrobić. Z pewnością nie wyniknęłyby z tego nic dobrego.

- Jacko oddał mnie Chance'owi. Nie poznałeś go jeszcze, bo mieszka teraz z żoną w Londynie. Chance wziął mnie na ręce i ruszył schodami na górę. Ale... dookoła się paliło, ludzie wrzeszczeli i... spadały jakieś belki...

- Paliło się? Mówiłaś przecież, że statek tonął... - Na widok paniki w jej oczach, natychmiast pożałował, że się odezwał.

- Byłam... byłam bardzo mała. Nie pamiętam dokładnie. Może stłukła się jakaś lampa i coś zajęło się ogniem. Nie wiem. Powiedzieli mi potem, że Chance postawił mnie na chwilę na ziemi, a ja mu uciekłam. Prawdopodobnie chciałam znaleźć... rodziców. Właśnie wtedy... coś mnie przygniotło i... zmiażdżyło mi nogę. Jedyne, co zapamiętałam to Jacko. Wystraszył mnie jego uśmiech. Kiedy zobaczyłam, jak się szczerzy, zaczęłam wrzeszczeć w niebogłosy, a potem zemdlałam. Ocknęłam się tylko na chwilę już na pokładzie.

- Byłaś dzieckiem. Ja jestem dorosłym mężczyzną, a też miałem ochotę krzyczeć, kiedy po raz pierwszy się do mnie uśmiechnął.

- Ojciec ceni go za lojalność - stwierdziła, jakby to była

jedyna rzecz, jaką należało wiedzieć o Jacko. – Skurcz powoli ustępuje – dodała, unosząc się na poduszkach. Powiedziała stanowczo za dużo. Nie potrafiła jasno myśleć, gdy czuła na sobie jego dłonie.

Jack zabrał z ociąganiem ręce i obiecał sobie w duchu, że pożyczycy od Cluny'ego różaniec, żeby odmówić pokutę za nieczyste myśli.

– Powoli, nie spiesz się. – Kiedy siadała, schylił się po jej buty.
– Pomogę ci je włożyć.

Wyglądziła spódnicę i podniosła na niego oczy. Siedzieli tak blisko siebie, że stykali się ramionami.

– Dziękuję, ale wolę ich nie wkładać. Wygodniej mi się chodzi boso.

– Bolało cię pierwszego wieczoru? Po naszym przyjeździe?

Pamiętała, że kiedy przyłapał ją w nocy w gabinecie, nie miała na sobie kapci.

– Powinnam skłamać i powiedzieć, że tak?

Ujął ją za podbródek i zwrócił ku sobie jej twarz.

– Jest pani pełna sprzeczności, panno Becket. Wciąż mnie pani zaskakuje. W jednej chwili wydaje mi się, że jest pani boleśnie szczerą, a pięć minut później spoglądam w pani wielkie sarnie oczy i widzę, że kłamie pani jak z nut. Mam nadzieję, że nauczę się odróżniać prawdę od kłamstwa, zanim mi pani wreszcie zaufa.

To przez tę wzmiankę o pożarze, pomyślała. Dlaczego się nie pilnowałam? Jak mogłam być tak nieostrożna?

– Ufam ci, Jack. Przecież wiesz. Nie przyjechałabym z tobą do Londynu, gdybym ci nie ufała, a już na pewno nie siedziałabym z tobą sam na sam w tym pokoju.

– Więc nie będziesz protestować, jeśli cię teraz pocałuję? –

Nie czekał na odpowiedź. Upuściwszy na ziemię jej pantofle, przysunął się i przyciągnął ją bliżej. Chwilę później przywarł wargami do jej ust.

Elly zamarła, ale tylko na moment. Kiedy uzmysłowiła sobie, że jest dokładnie tam, gdzie od dawna pragnie być, natychmiast się rozluźniła. Przez ostatnie dwa lata marzyła o tym, żeby znaleźć się w ramionach Jacka. Teraz jej marzenia wreszcie się spełniły. Bez namysłu rozchyliła wargi i objęła go ramionami. Zachęcony pogłębił pocałunek. Nie oponowała, gdy popchnął ją na poduszki i przesunął dłonią po jej biodrze i udzie.

Leżeli obok siebie, oboje na boku.

Wiedział, że to szaleństwo, ale nie potrafił się zmusić, że powinien zostawić ją w spokoju. Był pewien, że będzie się za to smażył w piekle.

- Eleonor - szepnął jej do ucha, gdy przerwał pocałunek, żeby ją mocniej przytulić. - Nie ściskam cię za mocno? Nie chcę zrobić ci krzywdy.

Elly poczuła na szyi jego ciepły oddech i zadrżała.

- Zawsze wiedziałam, że nigdy byś mnie nie skrzywdził, Jack - wyrwało jej się bezwiednie. Niemal w tej samej sekundzie zrozumiała, do czego się przyznała, i przerażona otworzyła szeroko oczy.

Jack poczuł, że nagle znieruchomiała, usztywniła się, a potem spróbowała wyrwać się z jego objęć. Na próżno. Nie mogła, dopóki on się nie podniósł. Chryste, pomyślał smętnie. Łajdak ze mnie. Eleonor durzyła się w nim od dawna, a on nic o tym nie wiedział.

Nie miał pojęcia, jak się teraz zachować, ale jednego był pewien - musi pozwolić jej wybrnąć z tego z twarzą.

Usiadł, pociągając ją za sobą i zaczekał, aż poprawi ubranie.

- Wybacz. Masz rację. Nie skrzywdziłbym cię celowo, ale, zdaje się, że właśnie sprawiłem ci przykrość. - Podniósł znowu jej pantofle i położył je sobie na kolanach. - Złożmy to na karb chwilowej słabości. Nie mam zwyczaju nastawać na córki przyjaciół. Uległem twojemu nieodpartemu urokowi, więc to po części także twoja wina.

- Oczywiście, to nic wielkiego... - odparła ze stoickim spokojem, choć w środku kipiała z emocji. Lata praktyki nauczyły ją, jak trzymać nerwy na wodzy. - To był długi i trudny wieczór. Dla nas obojga. Nie ma sensu, byśmy robili sobie wyrzuty. Wystarczy, że sobie obiecamy, że nic takiego się więcej nie powtórzy. Pójdę już się położyć, dobranoc.

Nim zdążył zareagować, poderwała się na nogi i popędziła boso do wyjścia. Na tyle szybko, na ile pozwalała jej niesprawną kostką. O dziwo, prawie nie było widać, że utyka.

- W ogóle nie powinna ich nosić - wymamrotał, spoglądając na trzewiki, które wciąż trzymał na kolanach. Przyjrząwszy im się z bliska, zauważył, że się od siebie różnią. Lewy but był specjalnie wymodelowany i miał wyższy obcas niż prawy. Sęk w tym, że wcale nie był pewien, czy jej to pomaga.

- Odetchnę pełną piersią, kiedy to wszystko się skończy i odeślę ją do rodziny - mruknął pod nosem, wstając z kanapy. Potem nieopatrznie pomyślał o tym, że nocami dzielą go od niej zaledwie jedne drzwi, które łączą ich sypialnie. - Odetchnę z ulgą? Wolne żarty... Wystarczy, że ona kłamie jak najęta. To nie powód, żebym teraz zaczął oszukiwać samego siebie. Wcale nie będę uszczęśliwiony, gdy zniknie z mojego domu. Wręcz przeciwnie... - Zamierzał pójść do gabinetu, ale się rozmyślił i wszedł do pokoju muzycznego.

Świece nie były zgaszone, a na podłodze wały się

porozrzucane papiery.

- Niech to będzie moja pokuta. Co prawda, marna, ale zawsze to lepsze niż nic. - Eleonor byłaby niepokieszona, gdyby przysporzyli dodatkowej pracy służbie.

Kiedy przykłęknął na ziemi, żeby pozbierać kartki, kątem oka dostrzegł w kącie jej portfolio. Ciekawe, dlaczego nie chciała pokazać swoich rysunków wścibskiej pani Phelps. Niewiele myśląc, odłożył na stół nuty i sięgnął po teczkę z akwarelami.

Kilka minut później położył ją na biurku w gabinecie i usiadł. Prace miały różne rozmiary. Ta, która leżała na wierzchu, nie była nawet akwarelą, lecz zwykłym rysunkiem. Przedstawiała Cluny'ego drzemiącego w bujanym fotelu na werandzie. Widać było, że Elly malowała go w pośpiechu. Pewnie chciała zdążyć, zanim się obudzi i ją przepędzi. Wszystkie szkice, a było ich całkiem sporo, doskonale oddawały podobieństwo modeli. Pani Henderson popijająca herbatę przy drewnianym stole w kuchni. Pani Ryan mieszająca coś w ogromnym garnku. Pokojówka odkurzająca meble. Treacle ze swoją nieodłączną poważną miną doskonałego kamerdynera. Jack znalazł też swoją własną podobiznę. Nie mógł się nie uśmiechnąć.

Szkicowała go z pamięci i to w chwili, kiedy nie była z niego szczególnie zadowolona. Miał otwarte usta, jakby coś krzyczał, i zmarszczone brwi, a w rękę trzymał dziennik, którym kilka dni wcześniej wymachiwał jej przed nosem.

- Więc jednak nie jest we mnie zapatrzona jak w obraz - mruknął na widok rogów, które dorysowała mu na głowie. - Chyba zanadto sobie schlebiałem.

- Schlebiałeś sobie, powiadasz? - odezwał się od progu Cluny.
- Wiedziałem, że lubisz gadać sam ze sobą, ale żeby zaraz sobie schlebiać? Czy to aby na pewno zdrowe?

- Wcześniej wróciłeś - stwierdził Eastwood, podnosząc kolejną akwarelę. Tym razem był to widok z okna pokoju Eleonor.

- Podkusiło mnie, żeby oglądać walki kogutów, tyle że koguty zachowywały się jak zające. Tchórzliwe bestie. Uznałem, że szkoda czasu i przywlokłem się do domu. Co tam oglądasz?

- Pejzaże z Becket Hall. Sam zobacz. Narzekałeś, że nigdy tam nie byłeś. Widzisz? Tak wyglądał dom, kiedy odwiedziłem ich pierwszy raz. Wieczorem w środku deszczowej zimy.

- Brr... ja na twoim miejscu pojechałbym dalej. Wygląda jak nawiedzony dwór. Jesteś pewien, że tam nie straszy?

- Też wymyśliłeś... Oczywiście, że nie. Spójrz tylko. To taras, który wychodzi na plażę. W słoneczne dni jest tam naprawdę pięknie. Eleonor ma ogromny talent.

- To Eleonor je malowała? - zdziwił się Cluny. - Hmm...

- Tak. Ciebie też narysowała. Chcesz zobaczyć?

- Boże uchroni. Doskonale wiem, jak wyglądam. I nie powiem, żebym był z tego dumny. Gdyby namalowała mnie bez tego ogromnego brzuszyska to, co innego.

- Niestety. Obawiam się, że zachowała wierność.

- A moje podwójne podbródki? Też je zostawiła? Na co tak zawzięcie patrzysz, chłopcze, co?

Jack raptem przestał się uśmiechać.

- Do diabła ciężkiego... - szepnął, przerzucając kolejne kartki w teczkę.

Shannon przysunął się i zerknął mu przez ramię.

- Czy mi się zdawało, czy mówiłeś, że nasza dziewczyneczka nigdy nie wyjeżdżała z Romney Marsh? Wiesz, co to za miejsce, prawda?

- Tak, Cluny. Wiem. Ty też wiesz, bo obaj niedawno przeprowadzaliśmy tam rekonesans. - Jack nie był pewien, czy

jest bardziej wściekły, czy rozczarowany. – To Chelfham Hall. Nie ma co do tego wątpliwości.

– Aha. Czyli ci twoi Becketowie, na których cześć bez przerwy wyśpiewujesz peany, posłali cię na wycieczkę, tylko zapomnieli ci powiedzieć, dokąd się naprawdę wybierasz.

Eastwood zacisnął zęby ze złości i zapatrzył się w sufit, żeby nie zrobić czegoś głupiego.

– Sekrety, z których ludzie zwierzają się sobie w pościeli... Pamiętasz ten swój genialny pomysł?

– Pamiętam. Zresztą miewam wyłącznie genialne pomysły. A co?

– Jeszcze pytasz? – Jack usiadł i uniósł do ust szklaneczkę brandy, którą podał mu Irlandczyk. Wiedział, że Eleonor nie mówi mu wszystkiego, a nawet go okłamuje, ale nie sądził, że poczuje się aż tak zdradzony. – Najwyraźniej nie ty jeden na to wpadłeś. Zdaje się, że to ja miałem wyśpiewać jej to i owo w chwilach miłosnych uniesień.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Cztery dni po katastrofie, jaką okazała się proszona kolacja z „przyjaciółmi” Jacka, Becketówna wybrała się do Hyde Parku w towarzystwie Beatrice. Dotarły na miejsce punktualnie o jedenastej przed południem. Miranda Phelps wspomniała podczas rozmowy, że bywa tam codziennie o tej właśnie porze. Rzekomo brakowało jej wsi i rześkiego powietrza. Lady Chelfham rzecz jasna wydrwiła ją bezlitośnie, twierdząc, że żaden szanujący się arystokrata nie pokazuje się publicznie przed siedemnastą.

Tym lepiej dla Eloenor. Przynajmniej nie musiała się obwiać, że przypadkowo się na nią natknie.

Nie wyjawiała Jackowi swoich planów. Głównie dlatego że unikał jej jak morowej zarazy. Podobnie zresztą jak ona unikała jego. Omijali się szerokim łukiem, co w tak dużym domu nie było trudne. W marzeniach i snach, które nawiedzały ją w Becket Hall, była bliżej niego niż teraz. A przecież dzieliły ich od siebie tylko jedne drzwi...

Wczoraj wieczorem postanowiła zamknąć je na klucz. Niech sobie nie myśli, że wyczekuje z niecierpliwością, aż znów zacznie na nią „nastawać”.

Przyjechała do Londynu, żeby mu pomóc. Uznała, że najwyższa pora do czegoś się przydać. A jedyne, co mogła zrobić, to pogłębić znajomość z Mirandą Phelps.

- O mój Boże, nie sądziłam, że to miejsce jest tak wielkie. Czytałam, że park ma trzy akry, ale nie przypuszczałam, że to

aż tak dużo...

Beatrice pomachała komuś na powitanie.

- O tak, pani Eastwood. Łatwo się tu zgubić.

- To twój znajomy? - zainteresowała się Elly.

Pokojówka zarumieniła się jak wiśnia.

- Cóż, można tak powiedzieć... Spotkałam go trzy dni temu przed domem, kiedy pani Ryan wysłała mnie po mleko. Powiedział, że jego pan zapomniał czegoś, kiedy gościł u państwa na kolacji, a on przyszedł to odebrać.

- Coś takiego... Jego pan, powiadasz... A kto jest jego panem?

- No jak to kto? Nie pamięta pani? Ten wielce wielmożny pan hrabia. Ma rezydencję przy Grosvenor Square, a Gerald jest u niego lokajem. Odkąd się poznaliśmy, chodzimy wieczorami na spacer. Nie po parku oczywiście, bo po zmroku robi się tu niebezpiecznie.

Becketówna rozejrzała się dookoła, ale nie zauważyła nikogo w liberii.

- Pokarzesz mi, który to ten twój Gerald? Nie widzę go.

Służąca przyłożyła rękę do czoła i omiotła wzrokiem plac.

- Pod ziemię się zapadł, czy co? Nie powinnam była do niego machać. Pewnie się spłoszył, bo jestem z panią. Woli kiedy jesteśmy sami...

Elly zmarszczyła czoło. Słowa pokojówki dały jej do myślenia.

- Skoro spotykacie się wieczorami, czemu pojawił się w pobliżu o tej przeze? I to akurat tutaj?

Beatrice otworzyła usta, lecz niemal natychmiast je zamknęła.

- Nie mam pojęcia. Nie przypuszczałam, że go tu zobaczę.

- Powiedział ci, czego zapomniał wówczas hrabia?

- Właściwie to nie zapomniał tylko zgubił. Szukaliśmy oboje

z Gerladem, ale nigdzie nie mogliśmy jej znaleźć.

Eleonor z trudem opanowała narastającą złość. W dodatku ogarnęły ją raptem złe przeczucia.

- Wpuściłaś go do domu, żeby pomógł ci szukać?

- No tak... - przyznała bojaźliwie służąca. - Sama pani mówiła, że mamy wykazywać tę... no... ini-ini...

- Inicjatywę. Cóż, istotnie. Nie da się ukryć... W którym pokoju szukaliście zguby?

- W bawialni. I w jadalni. A potem w gabinecie pana Eastwooda...

- W gabinecie pana Eastwooda? Przecież hrabia w ogóle tam nie wchodził. Po kolacji panowie grali w karty w bawialni. Czego właściwie szukaliście?

- Brylantowej szpilki do krawata, ale jej nie znaleźliśmy.

- Hmm, szkoda. Ale szukaliście razem, tak?

- Oczywiście, że tak. Miałabym pozwolić obcemu wałęsać się po domu? Nigdy w życiu. Nie jestem aż taka głupia. Zostawiłam go tylko na chwilę, kiedy wezwała mnie pani na górę. Ale to trwało dosłownie moment. Zapinałam pani suknię. Tę niebieską, pamięta pani?

Elly doskonale pamiętała ten poranek. Zatrzymała ją na górze na co najmniej kwadrans. Beatrice nie tylko pomogła jej się ubrać. Upięła jej także włosy.

- Gdzie zostawiłaś Geralda, kiedy szłaś na górę? - zapytała, chwyciwszy służącą za ramiona.

- Niczego by nie zwędził, słowo daję. Gerald to zacny człowiek.

- Nie wątpię. A ty na pewno świetnie znasz się na ludziach. Gdzie był, kiedy po ciebie zadzwoniłam?

Pokojówka zaczęła głośno pochlipywać.

- W gabinecie pana Eastwooda.

Panna Becket zacisnęła mocno powieki.

- A kiedy wróciłaś? Gdzie go zastałaś, kiedy zeszłaś z powrotem na dół?

- Czekał na mnie przy schodach dla służby. Chciał, żebym mu pokazała łydki, zuchwalec. A potem zaprosił mnie na spacer.

Eleonor zamyśliła się i ruszyła dalej ścieżką. Gabinet Jacka mieścił się na parterze, a schody dla służby prowadziły do sypialni oraz do kuchni. Być może Gerald istotnie szukał zguby. A może zgubiona szpilka była jedynie pretekstem do tego, żeby dostać się do środka. Cała sytuacja wydawała się mocno podejrzana, a dręczył ją coraz większy niepokój. Miała ochotę sprawdzić, czy ktoś za nimi nie idzie.

- Pani Eastwood?

- Tak? - odwróciła się w stronę stropionej pokojówki.

- Nie powinnam była go wpuszczać, prawda? Pewnie odprawi mnie pani bez referencji...?

- Nie, Beatrice - zapewniła, ruszając w kierunku powozu, który czekał na nie na skraju parku. Postanowiła wracać czym prędzej do domu. - Nie martw się, nie stracisz posady. Ale mam do ciebie prośbę. Chciałabym, żebyś postarała się zapamiętać, jeśli Gerald zacznie zadawać ci jakieś pytania. I spróbuj sobie przypomnieć, o czym rozmawialiście do tej pory, dobrze?

- Tak jest, proszę pani. Co pani każe.

- Znakomicie. Masz się z nim spotkać dziś wieczorem?

Beatrice nadal pociągała nosem i ocierała łzy.

- Tak, proszę pani. O jedenastej. Chyba że mi pani zabroni. - Pokojówka otworzyła drzwi powozu i opuściła schodki, zanim lokaj zdążył zeskoczyć z kozła i zrobić co do niego należało. Najwyraźniej znów postanowiła wykazać inicjatywę.

Eleonor westchnęła i poklepała ją po ramieniu.

- Rób, jak uważasz. Jestem ostatnią osobą, która powinna udzielać rad w sprawach sercowych. Chodź, opowiesz mi o nim coś więcej.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Jack od rana próbował pozbyć się rozdzierającego bólu głowy, a raczej uporczywego kaca. Kiedy około drugiej po południu wszedł do gabinetu, zastał w nim Eleonor. Siedziała za biurkiem, czekając na niego.

Gdy stanął w progu, popatrzyła mu prosto w oczy. Jej opanowanie i beznamiętna rezerwa działały mu na nerwy. Sprawiała wrażenie, jakby nic nie było w stanie jej poruszyć. Tymczasem on od kilku dni miotał się bez ładu i wyklócał sam ze sobą. W rezultacie był jeszcze bardziej skołowany niż przedtem.

- Dzień dobry, żono - przywitał się chłodno i podszedł do barku, żeby nalać sobie brandy. Po namyśle doszedł do wniosku, że klin to nie najlepszy pomysł. Niemal przez całą noc wlewał w siebie trunki, grając w karty z Chelfhamem i spółką. A wróciwszy do domu, jak ostatni dureń, wpatrywał się do świtu w drzwi, za którymi spała panna Becket.

- Widzę, że nie wzięłaś sobie mojej rady do serca - zaczęła bez wstępów, usiłując nie zwracać uwagi na to, jak marnie wyglądał.

- Którą to ze swoich cennych rad masz na myśli? - spytał, rozpierając się na kanapie na drugim końcu pokoju.

- Nie zamknęłaś na klucz swojego dziennika - odparła, położywszy rzeczony dziennik na blacie. - Obawiam się, że hrabia mógł poznać jego zawartość. A to oznacza, że powinniśmy zmienić nasze plany.

Chyba jednak nie obędzie się bez klina, pomyślał, podnosząc się na nogi. Nie spuszczał wzroku z Elly, podszedł do karafki i nalał sobie drinka.

- Zechcesz wyjaśnić, co masz na myśli?

Splotła dłonie na kolanach i opowiedziała mu o tym, co się wydarzyło w parku. Na koniec zrelacjonowała przebieg rozmów Geralda z pokojówką, które ta streściła jej w drodze do domu. Przez cały ten czas wpatrywała się w przestrzeń i ani razu nie zaszczyciła go spojrzeniem.

- Nie będę zanudzać cię szczegółami. Powiem tylko, że wypytywał ją o ciebie. I o mnie. Był wyjątkowo dociekliwy. Zaniepokoiło mnie zwłaszcza to, że chciał koniecznie wiedzieć, skąd pochodzę. Na szczęście Beatrice nie jest wtajemniczona, więc nie mogła mu niczego zdradzić, nawet gdyby chciała. Wyjawiała za to całkiem sporo, kiedy zapytał o twoje zwyczaje i wyjścia z domu. Poinformowała go bez oporów, że wychodzisz i wracasz o najróżniejszych, trudnych do przewidzenia porach, a czasami znikasz na całe tygodnie.

- Chryste panie... - mruknął, odstawiając na stół nietkniętą brandy. Nagle odechciało mu się pić. - To wszystko? Czy może kazał jej też policzyć nasze srebra?

- Obawiam się, że to jeszcze nie koniec. - Westchnęła i wreszcie podniosła na niego wzrok. - Moja pokojówka jest niestety wyjątkowo gadatliwa. Kiedy ją odrobinę przycisnęłam, dotarło do niej wreszcie, jak źle postąpiła. Przyparta do muru wyznała, że ów Gerald wie także o nieustannych utyskiwaniach twojego osobistego pokojowego, który ponoć wciąż lamentuje nad opłakanym stanem garderoby swego pana. Podobno w ciągu ostatnich sześciu miesięcy zniszczyłeś do szczętu dwie pary nowiusieńkich butów, które wyglądają jakbyś ustawicznie

brodził w nich w morzu. Wścibski Gerald interesował się również panem Shannonem. Jego temat powracał co najmniej kilka razy, ale Beatrice wie o Clunym mniej więcej tyle co ja, czyli że regularnie pojawia się i znika, niczym zjawą, no i że nikomu, pod żadnym pozorem nie wolno wchodzić do jego pokoju.

Eastwood spojrział odruchowo w stronę otwartych drzwi na korytarz. W głębi ducha cieszył się, że jego marudny przyjaciel chwilowo wybył z domu.

- Innymi słowy wypaplała mu wszystko, co wiedziała. Czy ta dziewczucha nie ma ani krztyny rozumu? Z dwojga złego wolałbym, żeby oddała mu nasze rodowe srebra. Niech pomyśle... Skoro przysłali nam tu tego typka na przeszpiegi, to znaczy, że musiałem popełnić błąd. Zdradziłem się z czymś, a Chelfham natychmiast się połapał, że coś jest na rzeczy. Tylko, co to mogło być...? Zupełnie nie mam pojęcia... A niech to diabli!

Zrobiło jej się go żal. Miała ochotę go pocieszyć, ale nic nie przychodziło jej do głowy.

- Sądzymy, że hrabia należy do Gangu Czerwonych, prawda? - zaczęła ostrożnie. - Niewykluczone, że jest po prostu przesadnie ostrożny. Może sprawdza każdego nowego znajomego, nim dopuści go do swoich łask?

- I w związku z tym kazał zaufanemu sługusowi nas szpiegować? To nie był zwyczajny lokaj, Eleonor. Przypuszczam, że obserwował dom, a spostrzegłszy Beatrice, postanowił skorzystać ze sposobności i ją zagadnąć. Intuicja, jak widać, go nie zawiodła.

- Nawet, jeśli istotnie było tak, jak mówisz, możliwe, że Chelfhamem powodowała zwykła ciekawość. Zapewne zachodzi

w głowę, z jakiego powodu postanowiłeś zaprzyjaźnić się z jego szwagrem. Oboje wiemy, że uważa go za kompletnego nieudacznika. Przyznasz, że nikt przy zdrowych zmysłach nie chciałby wchodzić w bliższe stosunki z takim niesympatycznym typem. Hrabiemu mogło się to wydać podejrzane. Moim zdaniem zanadto się pośpieszyliśmy. Działaliśmy zbyt szybko i dlatego się czegoś domyślił.

- Pytanie tylko czego... - bąknął w zamyśleniu. - W zasadzie mógł pomyśleć cokolwiek. Możliwości jest bez liku. Możemy snuć domysły do białego rana, a i tak do niczego nie dojdziemy. - Spojrzał na nią zdecydowanie. - A zatem to koniec. Wracasz do domu.

Spodziewała się takiego obrotu spraw i zdążyła się odpowiednio przygotować.

- Nie - zaproponowała bez namysłu. - Nie teraz. Zachowajmy spokój i nie postępujmy pochopnie. Nie wolno nam dać mu powodu do jakichkolwiek podejrzeń, aby się nie domyślił, że coś wiemy... Jakkolwiek idiotycznie to brzmi. Poza tym, nie dalej niż godzinę temu przyjąłem zaproszenie na bal od jego żony. Przysłała mi nad wyraz uprzejmy list, w którym wylewnie przeprasza za niestosowne zachowanie podczas kolacji. Naturalnie usprawiedliwia je swoim odmiennym stanem.

- Lady Chelfham? Przeprosiła cię? Coś podobnego... Uszom własnym nie wierzę... Cóż, zdaje się, że stary Maddox jednak wie, jak tupnąć nogą i postawić na swoim. A jeszcze do niedawna rękę dałbym sobie odjąć, że hrabina robi w życiu wyłącznie to, na co ma ochotę i nikt nie jest w stanie do niczego jej zmusić...

- Pewnie masz rację. Ów list wcale tego nie wyklucza. Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej dziwny wydaje mi

się nasz wspólny wieczór. Po kolacji lady Chelfham niemal siłą wypędziła nas z bawialni, twierdząc, że źle się czuje i musi w spokoju odpocząć. Owszem, położyła się na kanapie, ale Bóg jeden wie, co robiła, kiedy wyszliśmy... Z kolei jej bratowa ubzdryngoliła się w ciągu zaledwie kwadransa i zaczęła szeptać mi do ucha najprzeróżniejsze okropieństwa na temat szwagierki. W dodatku usta jej się nie zamykały. Bardzo dogodna okoliczność, nie uważasz? Z początku ucieszyłam się, że wszystko poszło jak z płatka, ale zaczynam sądzić, że zostaliśmy wystrychnięci na dudka. Chelfham i spółka domyślali się, że mamy wobec nich jakieś plany... Że będziemy się starli czegoś wywiedzieć... No i... nakarmili nas dokładnie tym, czym chcieli nas nakarmić. Przechytrzyli nas, niestety. Wyjątkowo irytująca sytuacja... Nie powiedziałaś mi, co się stało, kiedy graliście w karty, ale sądząc po rozsierdzonej minie hrabiego, sporo od niego wygrałeś.

Skinał głową, zastanawiając się nad tym, co przed chwilą powiedziała. Jej domysły były prawdopodobnie słuszne. Nie można było wykluczyć, że w działalność gangu zamieszana jest cała rodzina Maddoksa, z kobietami włącznie. U Becketów było podobnie.

- Owszem trochę stracił, ale nieszczególnie dużo - odpowiedział na jej pytanie. - Rozzłościł się, bo Phelps cały czas wygrywał i zaczął stroić sobie z niego żarty.

- Pozwoliłeś Harrisowi wygrywać, a jednocześnie ogrywałeś Chelfhama? Jak udało ci się tego dokonać?

- To nic trudnego, uwierz mi. Żaden wyczyn. Po kiepskim rozdaniu Phelps zawsze wierci się, jakby miał owsiki. Za to kiedy dostanie dobrą kartę, siedzi nieruchomo jak kukła i udaje, że się głupio nie uśmiecha. Przyjrzałem mu się dokładnie

i w odpowiednim momencie podnosiłem stawkę. Hrabia wkrótce zaczął robić to samo i tym sposobem przegrywał do nas obu. Przez ostatnie kilka dni grałem cały czas tak samo. Sądziłem, że Chelfham wciąż siada ze mną do stołu, bo chce się odegrać. Możliwie, że się myliłem. Jeśli twoje domysły są prawdziwe...

- Mówiłeś, że zamierzasz na okrągło przegrywać, żeby ich do siebie zwabić...

- Owszem, z początku miałem taki zamiar, ale szybko mnie to zmęczyło... Teraz wygrywam i nieustannie mówię, o tym, że chciałbym zainwestować w coś wygraną. Idzie o to, żeby dopuścili mnie do interesu. Nie ważne jak.

- Nie będę udawać, że rozumiem twoją strategię. Mam nadzieję, że wiesz, co robisz, ale intryguje mnie sir Gilbert Eccles. Jaka jest w tym wszystkim jego rola?

- Gilly? Cóż, Gilly nie przepada za hazardem. Prawdę mówiąc, nigdy z nami nie gra. W zasadzie to... nie robi nic szczególnego... Jest jak tło na obrazie... Nic nie robi, ale zawsze jest obecny.

- Hmm... tak myślałam. Prawdopodobnie nie jest ważnym graczem i możemy go na razie zignorować. Nie powinniśmy za to lekceważyć dalej hrabiny i pani Phelps, tak jak to zrobiliśmy za pierwszym razem. A raczej jak ja to zrobiłam...

- Czynisz sobie z tego powodu wyrzuty?

- Cóż, nie jestem z siebie zadowolona, ale nie to jest w tej chwili najważniejsze. Musimy założyć, że Gerald zajrzał do dziennika. A to oznacza, że Chelfham wie o twoich powiązaniach z przemytnikami. Kolejny ruch należy zatem do niego. Albo zaproponuje ci, żebyś się do niego przyłączył, albo uzna, że stanowisz zagrożenie i spróbuje cię... wyeliminować.

Rozumiem, że pan Shannon czuwa nad twoim bezpieczeństwem?

Wytrzeszczył oczy i wlepił w nią zdumiony wzrok. Potem odchylił głowę i się roześmiał.

- Zdaje się, że na moment zapomniałem, z kim mam do czynienia. Cóż, jesteś nieodrodną córką Ainsleya. Nie da się ukryć. A co do twojego pytania, to owszem Cluny cały czas mnie pilnuje.

- Świetnie - odparła, modląc się w duchu, żeby Irlandczyk okazał się skuteczny. Miała nadzieję, że jej niby-mąż zaufała właściwemu człowiekowi. - Co pocniemy z Beatrice?

- Raczej nic. Skoro mamy się z niczym nie zdradzać, nie możemy jej zwolnić. Jeśli to zrobimy, domyślą się, że zwietryliśmy pismo nosem.

- Nie możemy też pozwolić, żeby nadal spotykała się z owym Geraldem. Jestem więcej niż pewna, że natychmiast wszystko mu wyśpiewa. Nie powinien wiedzieć, że ją o niego wypytywałam. A jest z nim umówiona dziś wieczorem.

- Hmm... Mógłbym zepchnąć ją ze schodów w nadziei, że połamię nogi - zaproponował żartem. Planowanie strategii z Eleonor było czystą przyjemnością. Na co dzień dystygowana dama, ale kiedy trzeba, potrafiła dowodzić ludźmi niczym urodzony generał.

Posłała mu szeroki uśmiech.

- Też o tym pomyślałam, ale zamiast nóg mogłaby złamać sobie kark i mielibyśmy jeszcze większy ambaras.

Jack nabrał nagle ochoty, żeby porwać ją w ramiona i porządnie wycalować.

- O tak, to by było bardzo niefortunne. Zwłaszcza dla Beatrice. Cóż, nie ma innej rady, trzeba jej po prostu zabronić

się z nim widywać. Będę musiał poważnie się z nią rozmówić i odegrać rolę surowego rodzica. Nie powiem, żebym się do tego palił. Cały czas się zastanawiam, dlaczego Chelfham zaczął mnie podejrzewać... Nie mam pojęcia, co mnie zdradziło, i nie daje mi to spokoju...

- Mnie też podejrzewa - oznajmiła, siadając obok niego na kanapie.

- Tak, ale tylko dlatego że jesteś moją żoną. To ja popełniłem gdzieś błąd. Tak czy owak, hrabia nadal nie wie, dlaczego się nim interesuję. Nie jest pewien, czy chcę się do niego przyłączyć, czy raczej spróbuję go zniszczyć i przejąć jego interes.

Eleonor, która od rana zamartwiała się o Jacka i o powodzenie całej misji, nieco się rozchmurzyła. Prawdę mówiąc, bała się o niego tak bardzo, że wszelkie myśli o Gangu Czerwonych, a nawet o własnej rodzinie wyleciały jej z głowy. Ale teraz jego słowa wlały w jej serce odrobinę otuchy.

- Masz rację! Maddox nie może wiedzieć o twoich powiązaniach z Romney Marsh i z Czarnym Duchem. Ani nawet o tym, że jesteś zamieszany w przemyt. Bo i skąd? W twoim notesie są wprawdzie daty dostaw i transportów, ale to niekoniecznie inkryminujące informacje. Mógł pomyśleć, że jesteś zwykłym oportunistą.

- Gdyby to nie była prawda, chyba bym się obraził - stwierdził z uśmiechem. - Ale nie pomyliłaś się, istotnie jestem oportunistą. Szczycę się tym od lat. To znaczy, szczyciłem się, aż do dziś. Gdybym tylko wiedział, w jaki sposób Chelfham mnie przejrzał... Wydawało mi się, że jestem taki ostrożny...

Chwyciła go za rękę. Z podekscytowania trudno jej było usiedzieć w miejscu.

- Źle do tego podchodzimy. Spójrzmy na sprawę z innej strony i zacznijmy od nowa. Hrabia nie ma pojęcia, po co tu przyjechaliśmy i jakie mamy zamiary. Wiemy to tylko my dwoje. Owszem, pewnie przeczytał twoje zapiski, ale mógł z nich wywnioskować jedynie to, że, podobnie jak on, usiłujesz się wzbogacić i robisz jakieś mniej lub bardziej szemrane interesy z przemytnikami. Zgadza się?

- Tak, zgadza się... - rzekł z namysłem. - Nie wie, ani o Czarnym Duchu, ani o twojej rodzinie. Dzięki Bogu. Co więcej, zaprosił nas na bal... - Przyciągnął ją za ramiona i znowu pocałował w usta. - Może niepotrzebnie się tak martwimy, żono. Może zaprosi mnie także do grona swoich zaufanych przyjaciół...

Popatrzyła na niego w milczeniu, odrobinę oszołomiona pocałunkiem. W końcu dotarło do niej, co powiedział. Niepokoiła się bez powodu. Nic mu nie groziło.

- Dostaniemy dokładnie to, czego chcieliśmy, choć nie do końca tak, jak to planowaliśmy. Chelfham wciągnie cię do Gangu Czerwonych. Ciebie i twoje pieniądze...

Ścisnął ją mocniej za rękę. Miał ochotę znów ją pocałować, ale nie był pewien, czy się ośmieli.

- Jest też inna możliwość, Eleonor. Niestety musimy wziąć ją pod uwagę.

- Inna możliwość? Jaka?

- Taka, że zamiast dopuścić mnie do interesu, mogą mnie wysłać na tamten świat. Ani się obejrzysz i zostaniesz wdową.

Przerażenie w jej oczach podziałało na jego duszę jak balsam. Czyżby bardziej martwiła się o niego niż o powodzenie ich misji? Czy to w ogóle możliwe? Chciał wierzyć, że tak.

- To nie jest zabawne, Jack. - Poderwała się i podeszła do

okna, jakby nie chciała, żeby na nią patrzył. – Prowadzimy bardzo niebezpieczną grę. Nie stać nas na to, żeby popełniać błędy. Albo lekceważyć przeciwnika.

Stanął tuż za nią i obrócił ku sobie.

– Czy to znaczy, że trochę się pani o mnie martwi, pani Eastwood?

Zamknęła oczy i westchnęła.

– Nie żartuj z tego, Jack...

– A może raczej martwisz się o siebie i o swoją rodzinę, co? – Nie powinien, ale musiał zadać to pytanie. Nie zdołał się powstrzymać. Dręczyło go to nieustannie od kilku dni. – Naprawdę jesteś tu po to, żeby mi pomóc, czy przysłali cię, żebyś mnie pilnowała?

Podskoczyła jak oparzona i się odwróciła, żeby na niego spojrzeć. Była tak wstrząśnięta, że na chwilę odjęło jej mowę. Jak mógł to powiedzieć? Jak mógł w ogóle tak pomyśleć?

– Co... Co ty mówisz, Jack? Nie ufasz nam? Nie ufasz mi?

– Myślisz, że twój niewinny wygląd i sarnie oczy wystarczą, żeby mnie przekonać? Nie wystarczą. – Przeklinał się w duchu za to, że nie jest w stanie zamilknąć. Uległ jednak złości i żalowi, który gromadził się w nim od tamtego wieczoru, i zupełnie stracił nad sobą panowanie. – Ależ ja byłem głupi... Niewiele brakowało, a zaczęłoby mi na tobie zależeć. Prawie uwierzyłem, że od dawna coś do mnie czujesz. Nie wiedziałem, jaka jesteś naprawdę.

– Nie rozumiem, skąd nagle te wątpliwości... Nie wiem, o czym mówisz...

Uśmiechnął się gorzko i potrząsnął głową.

– Czyżby? Nie udawaj. Jest dokładnie tak, jak mówiłaś, dla ciebie to tylko gra. Bierze w niej udział kilku graczy, ty, Ainsley,

Chelfham, Jacko, ale mnie, zdaje się, przypadła rola zwykłego pionka. Teraz mam już jasność. Nie należę do rodziny. Nie jestem Becketem, jednym z was. Potraktowaliście mnie jak zwykłego najemnika, któremu powierza się konkretne zadanie. Powinienem był o tym pamiętać i nie wyobrażać sobie zbyt wiele. Tolerujecie mnie, ale nie ufacie mi. Pogodziłbym się z tym, gdyby nie ty. Gdybyś trzymała się ode mnie z daleka, nie wbiłbym sobie do głowy rzeczy niemożliwych.

Eleonor wciąż nie mogła uwierzyć w to, co się działo. Na widok rozdzierającego bólu w oczach Jacka serce zaczęło tłuc jej się w piersi, jakby za moment miało wyskoczyć.

- Mylisz się, Jack. To nieprawda. Ojciec ma do ciebie pełne zaufanie. Wszyscy ci ufamy. Nie uknuliśmy żadnego nikczemnego spisku, w który postanowiliśmy cię nie wtajemniczać. Uwierz, mi. Jesteśmy już tak blisko finału. Hrabia niebawem zdradzi nam to, na czym nam zależy.

Ogarnął go raptem nieutulony smutek. Spoglądał w jej wielkie brązowe oczy, wiedząc, że go okłamuje. A tak łatwo byłoby powiedzieć, że jej wierzy, pocałować ją i zabrać do łóżka. Otworzyć ostatnie drzwi, które ich dzieliły...

- Widziałem twoje rysunki.

Spróbowała się odsunąć, ale ścisnął ją za ramiona i przytrzymał.

- Nie miałaś prawa do niego zaglądać!

- Od jak dawna twoja rodzina wie, że naszym przeciwnikiem jest Chelfham? Powiedzielibyście mi o nim, gdybym sam się nie połapał? Zamierzaliście to w ogóle zrobić? Byłaś w jego domu, do diabła! Wmawiałaś mi, że niemal całe życie spędziłaś w Becket Hall, że nigdy nigdzie nie wyjeżdżałaś. A ja głupi we wszystko ci uwierzyłem... Biedna, samotna panna Becket, żyje

jak pustelniczka. Chryste, ależ ze mnie dureń!

Elly poczuła, że zamyka się w sobie. Tylko tak umiała stawić czoło bolesnym wspomnieniom.

- Powinnam była ci powiedzieć. Chciałam, ale to dla mnie bardzo trudne...

- Co takiego? Mówiłaś coś, moja słodka, niewinna Eleonor? Chyba niedosłyszałem. Powinnaś była mi powiedzieć? Owszem, powinnaś. Cóż, jakimś cudem domyśliłem się bez twojej pomocy. Możesz odetchnąć z ulgą. Przynajmniej nie będziesz zmuszona mnie uwieść, żebym nadal tkwił w nieświadomości. Zawsze to jakaś pociecha. W końcu wszystko ma swoje granice. Nawet gdy człowiek poświęca się dla rodziny.

Elly zareagowała instynktownie i bodaj pierwszy raz w życiu postąpiła impulsywnie. Bez namysłu. Prawdę mówiąc, dotarło do niej, co robi, dopiero kiedy jej dłoń z głośnym plaskiem obiała się o jego policzek. Zamachnęła się tak mocno, że głowa odskoczyła mu na bok.

Uderzyła jedyne go mężczyznę, któremu nie bałaby się powierzyć własnego serca.

Z ciężkim westchnieniem odwróciła się powoli i stąpając powoli, wyszła z pokoju.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Jedno jest pewne, smarkaczu - stwierdził filozoficznie Cluny.
- Zawsze potrafisz wszystko spartaczyć. Jesteś w tym niezawodny.

Eastwood posłał mu mordercze spojrzenie, które zwykle czyniło cuda. Niestety stary Irlandczyk był na nie uodporniony. Zbyt wiele razem przeszli.

- Okłamała mnie. Sam widziałeś jej rysunki. Miałem to zwyczajnie zignorować? Przejść nad tym do porządku dziennego?

Shannon skrzywił się i wydał usta.

- Okłamała cię, powiadasz? Ty za to, mój dzielny panie poruczniku, nie masz sobie nic do zarzucenia. Jesteś czyściutki jak łza, bielutki jak pierwsze śniegi, a z twoich niewinnych, karminowych ust nie padło nigdy ani jedno nieprawdzie słowo. I z pewnością niczego przed nią nie zataiłeś. A nie dalej niż tydzień temu zarzekałeś się, że nie zamierzasz trafić do Nieba i zostać świętym. Całe szczęście, że nie masz tak wysokich aspiracji, bo raczej będziesz smażył się w ogniu piekielnym. Już wyczuwam swąd siarki. Mocno ci przyłożyła?

Jack uśmiechnął się półgębkiem. Przemowa przyjaciela poprawiła mu nieco nastrój.

- Wystarczająco mocno. W każdym razie zabolalo. Nie przypuszczałem, że kryje się niej taka siła. Sama była zaskoczona.

- Słowo daję, podoba mi się ta dziewczucha! - Wyszczrzył się

Cluny. - A takie to niby maleńkie, takie niepozorne... Teraz przynajmniej wiesz, że musisz mieć się na baczności.

- Bardzo śmieszne. Tyle że się obraziła i najwyraźniej postanowiła mnie unikać. Nie zeszła nawet na kolację. To niedorzeczne. Muszę do niej pójść i ją przeprosić.

- Kiepski pomysł. Już ja cię znam. Przeprosisz za to, że wściubiłeś nos, gdzie nie trzeba i obejrzałeś jej malunki. A w następnym zdaniu, znów zapytasz, jakim cudem znalazł się wśród nich rysunek rezydencji Chelfhama. Ona odpowie ci to samo, co parę minut temu. Innymi słowy, przewałkujecie ponownie niezbyt przyjemną rozmowę i wrócicie do punktu wyjścia. Nie staniesz się od tego ani odrobinę mądrzejszy, jeśli nie liczyć tego, że jeszcze raz dostaniesz w tę swoją pustą makówkę. I na tyle się zdadzą twoje wysiłki.

- Cóż, nie zaprzeczę - przyznał Jack. - Pewnie tak by się to odbyło. Na szczęście wymyśliłem już, jak sprawę rozegrać.

Cluny złapał go za ramię, gdy zrobił krok w stronę drzwi.

- Hola, hola, dokąd to? Nie tak prędko. Powiedz mi lepiej, co takiego wymyśliłeś. Nie wiedzieć czemu mam złe przeczucia. Nie zamierzasz chyba zacząć wymieniać się z nią sekretami? - Jack przytaknął nieznacznym skinieniem. - No nie, nie wierzę. Nie rób tego, bo pożałujesz.

- A niby czemu nie? To proste. Okażę jej zaufanie, a ona odwzajemni się tym samym.

- Chryste w Niebiesiech... - Shannon westchnął i pokręcił smętnie głową. - Nasza kruszyna najwyraźniej wybiła ci cały rozum z głowy. Pomyśl tylko, co ty pleciesz, młokosie. W końcu wkupiłeś się w ich łaski. Jeśli twoja pani wypaple rodzinie choć połowę z tego, co zamierzasz jej wyśpiewać, Becketowie potną cię na kawałki i użyją twojego truchła jako przynęty podczas

wiosennych połowów. Z twoim wiernym przyjacielem z Irlandii postąpią dokładnie tak samo. Na wszelki wypadek. A trzeba ci wiedzieć, że ów przyjaciel ma swoje marzenia i swoje plany. Chciałby na przykład umrzeć ze starości.

Eastwood zdawał sobie sprawę z ryzyka. Bił się z myślami dobrych kilka godzin. Rozpatrywał problem ze wszystkich stron, rozważał wszystkie za i przeciw aż w końcu postanowił pójść za głosem serca, to jest intuicji...

- Niczego im nie powtórz, Cluny, jestem tego prawie pewien. Nie była dziś na mnie zła, dlatego że odkryłem coś, o czym miałem się nie dowiedzieć. Była mną zwyczajnie rozczarowana. Miała mi za złe, że zacząłem ją przepytować, że zakwestionowałem jej lojalność. Zabolalo ją to. Nie zdradzi mnie, jeśli jej pokażę, że nigdy w nią nie wątpiłem, że ufam jej na tyle, żeby złożyć w jej ręce własne życie.

Cluny podniósł się na nogi.

- Zemdliło mnie - rzekł, kładąc dłoń na okazałym brzuchu. - Jak żyję, nie słyszałem większych bredni. Stek sentymentalnych bzdur. Zadurzyłeś się w niej, czy jak? Owszem niczego dziewczynie nie brakuje, ale żeby zaraz...

- Szanuję ją. To bardzo silna i dzielna kobieta. Kobieta, nie dziewczyna.

- Szanujesz ją, tak? A którą to jej część szanujesz najbardziej, co? Jej piękne brązowe oczęta? A może drobne stóпки lub zgrabny tyłeczek...

- Wystarczy, Cluny - przerwał mu ostro Jack. - Dość już powiedziałeś. Jesteśmy przyjaciółmi, ale radzę ci więcej tak o niej nie mówić, bo nie ręczę za siebie. Rozumiesz?

- Aha! Więc jednak miałem rację. A wydawało mi się, że nie dożyję dnia, w którym porucznik Jack Eastwood straci głowę

dla dzierlatki, o pardonsik, dla kobiety.

- Nie przesadzaj. Robisz z igły widły. Oboje mamy do wypełnienia konkretną misję. Oraz jasno określony cel: Wkupić się w łaski hrabiego i postarać się, żeby doprowadził nas do przywódców Gangu Czerwonych. A wszystko po to, żeby zaprzestali rozgrabiania naszych zysków. Po to tu jesteśmy. Po to jest tu Eleonor.

- I nie ma najmniejszego znaczenia, że ona i jej papcio od dawna wiedzą, że w sprawę zamieszany jest Chelfham? Tylko zapomnieli cię o tym powiadomić? Nic sobie z tego nie robisz?

- Nie. W zasadzie nie ma to większego znaczenia. Owszem, Ainsely jest o krok czy dwa kroki przede mną, ale niewiele z tego wynika. Maddox nigdy o nim nie słyszał. Wie tylko tyle, że to ja w ten czy inny sposób param się przemytem.

- Czyli zupełnie ci nie przeszkadza, że szanowny pan Becket zrobił z ciebie przynętę. Pojmuję. Tfu, koń by się uśmieł! - Cluny sięgnął po kieliszek i wychylił jego zawartość jednym tchem. - Śmiało, idź i wyznaj jej wszystko jak na spowiedzi. Będzie zachwycona. Rozumiem, że ja mam tymczasem pilnować, żeby nikt nie posłał cię za wcześnie na łono Abrahama?

- Cóż, jeśli nie masz nic przeciwko temu, byłbym wdzięczny. - Eastwood wiedział, że przyjaciel jest na niego wściekły, więc postanowił go udobruchać. - Nie muszę spowiadać jej się dzisiaj. Nie dąsaj się już. Nie do twarzy ci z tym. Chodź, wybierzemy się razem do jakiejś gospody i... Słyszałeś? Co to było, do licha?

Popędził na górę, ile sił w nogach, jeszcze zanim rozległ się pierwszy wrzask i brzęk tłuczonego szkła. Przeskakiwał po kilka stopni naraz, zostawiając Irlandczyka daleko w tyle. Na

półpiętrze uderzył go w nozdrza silny swąd dymu. – Eleonor! – krzyknął, zmierzając wprost ku jej drzwiom. – Pali się! Cluny! Prędko, dzwoń na alarm!

Gdy wpadł z impetem do pokoju, Elly klęczała na podłodze, zawijając rozhisteryzowaną Beatrice w chodniczek spod łóżka. Kotary w oknie stały w ogniu. Tuż za ich plecami.

– Eleonor!

– Jack? – zerknęła na niego, nie przestając tłuc dłońmi o dywanik. – Ktoś wrzucił coś do środka przez okno. Nie wiem, co to było. Beatrice próbowała ugasić płomienie i zajęła jej się spódnica. Rety! Zasłony! Gaś je! Prędko!

Eastwood zdarł z posłania narzutę i zaczął dusić nią płomienie.

– Elly! Wyjdź na korytarz. Natychmiast! Pokojówce nic już nie grozi. Ktoś zaraz się nią zajmie.

Zignorowała go i upewniwszy się, że służącej istotnie nic nie jest, ściągnęła szlafrok i podeszła z drugiej strony do okna, żeby gasić nim ogień.

– Eleonor, do diabła! Mówię ci, wyjdź stąd! – Nie miał czasu osobiście wynieść jej na zewnątrz. Nie było chwili do stracenia. Wiedział, że jeśli pożar się rozprzestrzeni, spłonie cały dom. Każda minuta była na wagę złota.

– Odsuń się! – zawołał i pociągnął mocno za kotarę, zrywając ją z okna razem z karniszem.

Becketówna chwyciła taboret i wybiła nim resztki potłuczonej szyby.

Z pomocą Treacle’a, który wbiegł właśnie do sypialni, Jack wypchnął jako tako ugazzone zasłony w krzaki na tyłach posesji.

– Tlą się jeszcze – rzekł, spoglądając w dół przez pustą

framugę. – Każ służbie dogasić je wodą.

Gdy chwilę później odciągnął na bok Eleonor, pojawili się kolejni służący z wiadrami. Oblali wodą okno i kawałek nadpalonej podłogi. Znaleźli też cegłę obwiązaną osmolonymi gałganami.

Panie Henderson i Ryan odwinęły z dywanu szlochającą Beatrice i wyprowadziły ją na korytarz. Miała niemal doszczętnie spaloną spódnicę i zaczerwienione od gorąca nogi. Poza tym nic jej się nie stało.

Jack spojrzał z podziwem na Elly.

– Gdyby nie ty i twoja przytomność umysłu, spłonęłaby jak żywa pochodnia. – Miał w głowie okropny mętlik, ale czuł, że powinien ją pochwalić. – Skąd wiedziałaś, co robić?

– Ojciec nas nauczył – odparła, wzruszając ramionami. Dopiero teraz uzmysłowiła sobie, że zareagowała instynktownie. To był odruch. – Papa często organizuje nam w domu ćwiczenia. Mawia, że pożar to największy wróg marynarza.

– Na łądzie też boimy się ognia. – Ujął ją za ramiona i odwrócił twarzą ku sobie. Chciał się jej dokładnie przyjrzeć i sprawdzić, czy nie ucierpiała. Miała usmoloną buzię i... – Chryste, Eleonor, twoje włosy...

Gdy uniosła dłoń, żeby ich dotknąć, znalazła puste miejsce. W każdym razie brakowało sporej kępy, a reszta była zbita w łamliwy kołtun.

– Boże, jak to się stało? Nawet nic nie poczułam...

Właśnie. Nic nie poczuła, bo była tak zajęta ratowaniem pokojówki, że zupełnie zapomniała o sobie. Bez wahania naraziła się na ogromne niebezpieczeństwo.

– Nie martw się – próbował ją pocieszyć. – Może nie jest aż

tak źle, jak to wygląda...

- Nie jest aż tak źle? - powtórzyła smętnie. - Nie mam połowy włosów. Były takie długie... A teraz będę musiała je obciąć... - Uniosła głowę i zajrzała mu w twarz. - Jak ty wyglądasz? Jesteś okropnie umorusany.

- Przyganiał kocioł garnkowi - odparł, usiłując się uśmiechnąć. - Chodź, nie możesz tu dziś zostać.

- Jedną chwileczkę - odezwał się zza jego pleców Cluny. - Widziałeś to? To nie był wypadek... Ani niezdmuchnięta świeca...

Eastwood zerknął ponownie na cegłę i skinął głową.

- Tak, wiem. Widziałem. Nie teraz, Cluny. Porozmawiamy jutro. Dość mamy wrażeń na jeden dzień. Dopilnuj, żeby-

- Już to zrobiłem. Postawiłem po dwóch lokajów na warcie przed głównym wejściem i pod drzwiami dla służby. Dałem im wszystkim pistolety. Pozostaje mieć nadzieję, że nie powystrzelają się nawzajem. Nadal ci się zdaje, że hrabia Chelfham zalicza cię do grona bliskich przyjaciół?

- Powiedziałem jutro - warknął Jack, prowadząc Eleonor do drzwi, które łączyły ich sypialnie. Sięgnąwszy do klamki, stwierdził ze zdumieniem, że są zamknięte.

- Przepraszam, nie pamiętam, gdzie położyłam klucz - wyjaśniła szeptem. Nagle zrobiło jej się ciemno przed oczami. Co się ze mną dzieje? - zastanawiała się, czując, że coraz bardziej kręci jej się w głowie.

Dotknęła palcami skroni i zachwiała się na nogach. Jack porwał ją na ręce i wyniósł na korytarz, klnąc pod niebiosa i pokrzykując do pokojówek, żeby przygotowały kąpiel.

- Możesz mnie już puścić - oznajmiła, kiedy znaleźli się w jego pokoju. - Nic mi nie będzie. Sytuacja odrobinę mnie

przerosła i na moment opadłam z sił.

Posłał jej szeroki uśmiech.

- Jak dobrze wiedzieć, że jesteś zwykłym śmiertelnikiem i jak my wszyscy miewasz chwile słabości. - Nie postawił jej na ziemi, dopóki nie podszedł do fotela przy kominku. - Oprę ci nogi o stolik. Połóż się wygodnie i odpoczywaj. Musiałaś się nielecho wystraszyć.

- Cóż, nie było to szczególnie przyjemne przeżycie. - Przyglądała mu się z zakłopotaniem, gdy krzątał się po całym pokoju, starając się jej dogodzić. Ściągnął jej kapcie i podłożył pod stopy jasiek, a na koniec przykrył ją wełnianą narzutą i podał jej szklaneczkę brandy.

- Sącz powoli. Od razu zrobi ci się lepiej.

- Jack, usiądź wreszcie - powiedziała, zażenowana jego troską. - Spójrz na swoje dłonie...

- Moje dłonie? - zdziwił się, lecz wyciągnął ręce, żeby im się przyjrzeć. Były mocno zaczerwienione i zaczynały go boleć, a raczej dopiero teraz zauważył, że go bolą. - Rzeczywiście trochę się przypiekły, ale to nic wielkiego. Przeżyję. A ty? Nie poparzyłaś się nigdzie? To znaczy... oprócz włosów?

- Nie, ale włosy to i tak za dużo. Lubiłam je. - Kiedy uniosła do ust szklankę, drżały jej palce. Dotarła do niej powaga sytuacji.

Jack wpatrywał się w Eleonor, gdy zaczęła pić koniak. Już po pierwszym łyku, wzdrygnęła się i wykrzywiła usta. Pewnie nigdy wcześniej nie próbowała mocnych trunków.

Boże drogi, kiedy zobaczył ją na tle buchających płomieni, zamarł z przerażenia. Sparaliżował go taki strach, że przez dobrych kilka sekund tkwił w miejscu jak zamurowany i nie był w stanie się ruszyć.

- Domyślasz się, czemu to zrobił? - spytała ni stąd, ni zowąd.

- Chelfham? - odparł wyrwany z zadumy. - Ty też uważasz, że to on? I pomyśleć, że jeszcze niedawno byłem pewien, że jest mi przychylny. Wydawało mi się, że zapalał do mnie wielką sympatią i gotów jest przyjąć mnie na wspólnika. A tu proszę, taka przykra niespodzianka...

Becketówna poczuła, że robi jej się przyjemnie ciepło i nie wiedzieć czemu miała ochotę się roześmiać.

- Przynajmniej nie muszę się już martwić, że nie mam co na siebie włożyć na bal - odpowiedziała żartem.

Posłał jej życzliwy uśmiech. Cieszył się, że nie opuściło jej poczucie humoru.

- Nie wiem, jak ty, ale ja nie widzę w tym wszystkim najmniejszego sensu. Strategia Maddoksa zupełnie nie trzyma się kupy. Po cóż miałyby nastawać na moje życie? Gdyby spróbował mnie zamordować później, to, co innego... Ale teraz? Nic o mnie nie wiem... Nie odkrył, kim naprawdę jestem i co robię? Przecież nie ma nawet pewności, czy mu w jakikolwiek sposób zagrażam. Gdyby potrzymał mnie jeszcze trochę przy życiu, mógłby sporo na tym zyskać, wyciągnąć ze mnie informacje na temat moich kontaktów, bezpiecznych kryjówek kontrabandy, sprawdzonych szlaków do Francji... Martwy niczego mu nie powiem.

- Może zamierzał cię tylko nastraszyć... - stwierdziła, oblizując usta. O dziwo, brandy przypadło jej do gustu. Z początku smakowało jak jeden z paskudnych eliksirów Odette. - Gdyby istotnie chciał cię zabić, lepiej by to zaplanował. Płonąca cegła to niezbyt skuteczne narzędzie zbrodni, nie daje żadnej gwarancji powodzenia. - Nagle zrodziło jej się w głowie niepokojące podejrzenie, którym nie

mogła niestety podzielić się z Jackiem. Niewykluczone, że to nie on był celem dzisiejszego ataku... Czyżby się czymś zdradziła? Czyżby papa miał rację?

- Co ci jest? - spytał zaniepokojony. - Raptem okropnie pobladłaś. Widzę to, choć masz całą buzię w sadzy. Coś ci dolega? Może dokucza ci noga?

- Nie, nie. To nic... - odpowiedziała nieswoim głosem, poprawiając się w fotelu. - Nie martw się, nic mi nie będzie, ale... zdecydowanie powinnam się wykąpać. Czy mógłbyś poprosić panią Henderson, żeby znalazła dla mnie jakiś pokój i...

- Nawet o tym nie myśl. - Powstrzymał ją gdy próbowała się podnieść. - Zostaniesz tutaj. Kazałem już zagrzać wodę. Zaraz ją przyniosą. Poproszę też, żeby gospodyni znalazła dla ciebie jakąś czystą koszulę. Cała twoja garderoba musiała przesiąknąć dymem.

- Nie żartuj, Jack. To twoja sypialnia. Nie wyproszę cię przecież z własnego pokoju. Dom jest duży, na pewno znajdzie się dla mnie jakiś kąt. Poza tym chcę sprawdzić, jak się czuje Beatrice. Odette nauczyła mnie, jak przyrządzać maści na oparzenia. Trzeba koniecznie dopilnować, żeby nikt nie okładał jej ran masłem albo słoniną. Nie wolno tego robić, choć nijak nie mogę sobie przypomnieć dlaczego... Tak czy owak, pójdę i powiem o tym pani Hen...

- Mowy nie ma - powstrzymał ją tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Nie ruszysz się stąd na krok, i basta. O, to pewnie twoja woda. - Rozległo się pukanie, więc wstał, żeby otworzyć drzwi. - Jest i pani Henderson. Zajmie się pani wszystkim, prawda? - zwrócił się do przełożonej służących. - Liczę na panią. I proszę nie zwracać najmniejszej uwagi na protesty

mojej żony. Z nadmiaru wrażeń biedactwo bredzi jak w gorączce. Kąpiel powinna postawić ją na nogi. Będzie też potrzebowała świeżej koszuli. Za godzinę, chcę ją widzieć w łóżku. I każcie napełnić drugą wannę dla mnie. W garderobie.

- Bredzę jak w gorączce?! - zirytowała się Becketówna. - Z nadmiaru wrażeń?! Co ty sobie myślisz, Jack? - Usiłowała poderwać się z fotela, ale nogi zaplątały jej się w koc. - Nie jestem dzieckiem! Nie pozwolę się tak traktować! Jack! Jack, mówię do ciebie!

Zignorował ją i zniknął w gotowalni.

- Mąż musi panią bardzo kochać - stwierdziła z uśmiechem gospodyni, odsunawszy na bok parawan, za którym stała wanna. - Skoro tak się o panią troszczy... Proszę się o nic nie martwić. Zaraz doprowadzimy panią z powrotem do porządku. Święci pańscy! - załamała ręce na widok spalonych loków Elly. - Co się stało z pani włosami? I co my teraz z nimi zrobimy?

- Nie mam pojęcia. - Eleonor westchnęła ciężko. - Ale chyba będziemy musiały użyć nożyczek... - Niewiele myśląc, sięgnęła po szklanę i wypila duszkiem resztkę brandy. Nic lepszego nie przychodziło jej do głowy.

Nadeszła pora, żeby wyznać Jackowi prawdę. Nie mogła i nie chciała dłużej niczego przed nim ukrywać. Tym bardziej że jej podejrzenia prawdopodobnie okażą się słuszne. Była niemal stuprocentowo pewna, że to nie jego próbował dziś zgładzić Chelfham. To ona miała paść ofiarą pożaru.

Jutro jej „mąż” dowie się o wszystkim. Oby zdołał wybaczyć jej kłamstwo.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Jack odświeżył się i wrócił do gabinetu, żeby naradzić się z Clunym. Ten jednak przez dobrych kilka minut milczał jak zaklęty. O tyle dziwne, że Irlandczyk zwykle ochoczo wygłaszał swoje sądy. Twierdził, że jego oryginalne opinie zasługują na to, by dzielić się nimi ze światem. A dziś nagle uznał za stosowne pogrążyć się w zadumie. Na szczęście przeszło mu dość szybko.

- Nie mam wyboru - stwierdził Eastwood, kiedy omówili kwestię pożaru oraz cegły, która zaproszyła ogień. - Muszę zaalarmować Ainsleya.

- Nic prostszego - zgodził się Shannon. - Zawieś pannie Becket na szyi tabliczkę ze stosowną wiadomością, zapakuj ją do powozu i poślij do domu.

- A ty dalej swoje. Coś się tego tak uczepił?

- Baba z wozu koniom lżej. Nie słyszałeś nigdy tej starej ludowej mądrości?

- Pleciesz androny. Eleonor nigdzie nie pojedzie. Nie mogę puścić jej w drogę samej. Musielibyśmy ją eskortować, a nie mamy na to czasu.

- Twoim zdaniem Maddox mógłby ją porwać? I użyć jej przeciwko nam? To znaczy uwięzić ją, żeby coś na tobie wymóc? Dalibóg, chłopcze, ty to masz łeb na karku. Tylko powinszować. W życiu nie wymyśliłbym tak zagmatwanej intrygi. Więc co z nią zrobimy? Błagam, tylko mi nie mów, że nie zrezygnowałeś ze swojego durnego pomysłu i nadal zamierzasz jej się zwierzyć. Czas nas jednak nagli. Szkoda go

na sentymenty i ckliwe dyrdymały. Chelfham za bardzo się do nas zbliżył. I to bynajmniej nie dlatego że pragnie cię usynowić.

- Pożar niczego istotnego nie zmienił. Już wcześniej doszliśmy z Eleonor do wniosku, że hrabia, czegoś się domyśla i albo dopuści mnie do interesu, albo uzna za konkurencję i spróbuje... hm... pozbyć się kłopotu. Co prawda, wybrał dość dziwny sposób...

- Naturalnie, rób, co uważasz za stosowne, chłopcze. - Cluny najwyraźniej postanowił dać za wygraną. - Twoje życie, twoja wola. To ty nadstawisz karku. A co do mnie, cóż, i tak nigdy nie wierzyłem, że dożyję sędziwego wieku. - Podeszedł do barku i nalał sobie potężną porcję whisky. - Wracaj do swojej pani. Ja zajmę się swoją wierną towarzyszką - dodał, unosząc w dłoni butelkę. - Zamierzam spędzić z nią upojną noc, bo jutro z samego rana będę zmuszony rozpocząć życie w trzeźwości. Przynajmniej do czasu, aż wypłaczymy się z tej kabały.

- Życie w trzeźwości? Dobre sobie. Nigdy nie wytrzymałeś dłużej niż kilka dni. O ile pamiętam równiutki tydzień.

- W rzeczy samej. Radzę ci się zatem pospieszyć, bo daję ci tylko siedem dni. I ani minuty więcej.

Jack zostawił go sam na sam z flaszką i wszedł po schodach na piętro. W drodze do sypialni wstąpił na chwilę do pokoju Eleonor. W całym wnętrzu unosił się nieprzyjemny zapach palonego atłasu.

W miejscu stłuczonej szyby w oknie pojawiła się ogromna deska. Treacle wbijał w nią właśnie ostatnie gwoździe.

- Co się stało z cegłą, która leżała tu na ziemi? - zapytał Eastwood.

- Schowałem ją, zanim reszta służby zaczęła zadawać pytania. Życzy pan sobie, żebym przyniósł ją z powrotem?

- Nie, nie trzeba. Podpalacz raczej nie wygrawerował na niej swojego nazwiska. Oszacowaliście już straty?

- Myślę, że uda się uratować większość garderoby pani Eastwood. Jutro wszystko pójdzie do prania, teraz się wietrzy. - Majordomus zerknął na krzątające się po izbie pokojówki i skinął w stronę drzwi. - Czy moglibyśmy zamienić słówko na osobności?

- Naturalnie - zgodził się Jack, wychodząc za nim na korytarz. - Pewnie masz do mnie mnóstwo pytań?

- Nie, skądże znowu, sir... - zapewnił kamerdyner. - Nie mnie zadawać pytania... Nie taka moja rola...

Eastwood nagle dostrzegł w jego twarzy coś, czego nie zauważył nigdy wcześniej. Nie wiedzieć czemu pomyślał, że Treacle nie jest zwykłym służącym. Jego oczy widziały zbyt wiele.

- Chwała Bogu, bo raczej nie udzieliłbym ci żadnych odpowiedzi. Nie mam pojęcia, co tu się stało, poza tym, że ktoś celowo zaproszył ogień.

- A propos ognia, powinien pan wiedzieć, że pani Ryan wieczorami lubi sobie popalać fajkę. Zmyje mi głowę, jeśli się dowie, że panu doniosłem...

- Coś podobnego... - Uśmiechnął się Jack. - A niech sobie popala. Na zdrowie.

- Nie jestem pewien, czy to takie zdrowe, proszę pana. Za dużo cuchnącego dymu, jak na mój gust. I właśnie z powodu dymu wychodzi zawsze przed dom i przechadza się po ulicy w pobliżu stajen. Dziś natknęła się tam na jakiegoś podejrzanego jegomościa. Był odziany na czarno i wyraźnie się skradał, więc schowała się za węglem. Sądziła, że to włamywacz, ale on nagle spojrział w górę, a zaraz potem

spostrzegła wiązkę płomieni rzuconych prosto w okno.

- Wszystko widziała?

- Na własne oczy. Natychmiast rzuciła fajkę i popędziła co siłą do kuchni. Akurat byłem w pobliżu, więc zadzwoniłem na alarm. To dzięki niej tak szybko przybiegliśmy na górę z wodą. Biedaczka była przerażona, a kiedy wróciła po fajkę, okazało się, że ta leży roztrzaskana na trotuarze. Któryś z lokajów pewnie ją zdeptał, gdy dogaszaliśmy w krzakach zasłony.

- Albo to podpalacz... Zniszczył ją celowo, żeby wystraszyć panią Ryan i zmusić ją w ten sposób do milczenia. Przyjrzała mu się dobrze? Rozpoznałaby go?

- I jedno, i drugie, sir. Nie tylko mu się przyjrzała... - Treacle rozejrzał się po korytarzu, żeby sprawdzić, czy na pewno są sami. - Wie, kto to był.

- A niech mnie... Mów prędko. Znamy go?

- I owszem. To nowy absztyfikant naszej Beatrice. Pani Ryan widziała dokładnie jego twarz, gdy robił pochodnię. Przez przypadek zajął mu się rękaw. Ponoć kłął w żywy kamień, ale szybko cisnął płonąca cegłą przez okno i uciekł. Biedna Beatrice... Będzie niepokieszona, kiedy się dowie, do czego posunął się jej amant.

- Lepiej jej o tym nie mówmy. Mocno się poparzyła. Niech najpierw dojdzie do siebie. Chyba możemy liczyć na dyskrecję pani Ryan?

- Oczywiście - służący zniżył głos do konspiracyjnego szeptu.
- Zwłaszcza jeśli znajdzie się dla niej nowa fajka.

- Załatwione. Coś jeszcze, Treacle? Zapytałbym, czy ty także masz jakieś życzenia, ale nie chcę cię urazić. Wiem, że jako oddany służbie żołnierz, nie oczekujesz nagrody.

- Tak jest, sir! - wyprężył się z uśmiechem kamerdyner. -

Niczego mi nie trzeba, sir! Aha, byłbym zapomniał... Beatrice prosiła, żebym przekazał pani Eastwood, że dziś po raz ostatni „wykazała inicjatywę”. Twierdzi, że jej to nie służy i postanowiła raz na zawsze z tym skończyć.

Jack śmiał się jeszcze, gdy pukał do drzwi. Odpowiedziała mu cisza, więc wszedł do sypialni bez zaproszenia. Wnętrze było niemal całkowicie pogrążone w ciemnościach. Paliła się tylko jedna świeca.

Stąpając ostrożnie, podszedł do łóżka. Eleonor leżała pośrodku pogrążona we śnie. Spod pierzyny i sterty poduszek prawie nie było jej widać. Wyobrażał ją sobie w tym miejscu wiele razy. Tyle że w jego marzeniach nigdy nie była sama. I nigdy nie spała.

Nie miał pojęcia, jak długo stał u wezgłowia. Mógłby tak tkwić i przyglądać jej się całą noc. Nic jej już nie groziło. Była bezpieczna. I tylko to się liczyło. Wszystko inne przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie. Choć do tej pory nie zdawał sobie z tego sprawy, właśnie odkrył, że czuje coś, czego nie czuł nigdy wcześniej. Nie sądził, że w ogóle można coś takiego czuć.

Ta mała niesamowita kobietka wywróciła jego życie do góry nogami. Stała się nagle całym jego światem. Na nikim i niczym nie zależało mu przedtem tak bardzo jak na niej.

Mruknęła coś i poruszyła głowę. Zauważył, że nie ma prawie połowy włosów. Ktoś obciął je nierówno tępymi nożyczkami. Sięgały teraz zaledwie do ramion i były mocno poskręcane.

Nie zastanawiając się nad tym, co robi, przyklęknął na posłaniu i przesunął palcami po wilgotnych lokach. Potem położył się ostrożnie obok niej. Nie chciał zmącić jej snu. Gdyby się obudziła, mogłaby kazać mu wyjść. Nie zniósłby, gdyby go wyprosiła. Wsparłszy się na łokciu, wpatrywał się w nią do woli,

głaszcząc ją po włosach.

Więc tak się czuje mężczyzna, kiedy jego „serce wzbiera uczuciem”, pomyślał z uśmiechem. Wcześniej były to dla niego tylko puste słowa. Zrozumiał, co znaczą dopiero kiedy „doświadczył” ich na własnej skórze.

Eleonor nagle otworzyła oczy i zwróciła ku niemu twarz.

- Przez chwilę myślałam, że... że mi się przyśniłeś... - dodała w myślach: „Znowu”.

- Przyszedłem sprawdzić, jak się miewasz - wyjaśnił, lecz nie zabrzmiało to wiarygodnie. - Widzę, że ktoś ci obciął włosy...

Uniosła się i oparła plecy o poduszki.

- Niestety nie było innej rady. Nadpaliły się. Pani Henderson ma kuzyna, który jest fryzjerem. Pośle po niego jutro, żeby mi je wyrównał.

- Fryzjerem, powiadasz? Myślisz, że zna się na rzeczy?

- Kto to może wiedzieć? - Skrzywiła się. - Zresztą, co to za różnica? Gorzej już być nie może. Zaczęły się skręcać, a strasznie tego nie lubię. Loczki są dobre dla dzieci, nie sądzisz?

Wyciągnął dłoń i nawinął sobie na palec brązowy kosmyk.

- Nie, wcale nie - odparł szczerze. - Moim zdaniem są piękne... I intrygujące. Zawsze mi się podobały. Z loczkami i bez loczków.

- Naprawdę? - spytała ściszym głosem. Pożyczona od Beatrice koszula nocna była o wiele za duża i zsunęła jej się z ramienia. Kiedy spróbowała ją poprawić, rozpięły się guziki na dekolcie. Spanikowana pospiesznie ściągnęła poły ręką.

- Naprawdę - rzekł tymczasem Jack, zakrywając ją kołdrą po samą szyję. - Teraz lepiej?

- Nie, nieszczególnie... - przyznała otwarcie. - Rzecz w tym,

że... nie przywykłam do widoku mężczyzny w swoim łóżku.

- W zasadzie to moje łóżko - uściślił z uśmiechem. - Marzyłem o tym, żebyś się w nim znalazła - odważył się dodać. - Noce ciągną mi się w nieskończoność, bo wyobrażam sobie ciebie dokładnie tu, gdzie teraz jesteś.

Zacisnęła powieki i zadrżała.

- Nie powinieneś mówić takich rzeczy - szepnęła, zaglądając mu w oczy. - A ja nie powinnam ich słuchać.

Przysunął się jeszcze bliżej.

- Masz rację. Nie powinniśmy. Życie pełne jest nakazów i zakazów. Nie wiem, jak ty, ale ja nic sobie z nich nie robię. W każdym razie nie w tej chwili.

Westchnęła i zapatrzyła się w baldachim. Doszła do wniosku, że musi wyglądać żałośnie. Miała na sobie ogromną koszulę ze zwykłej bawełny. W dodatku nie swoją. Równie dobrze mogła włożyć przepastny biały worek. A jej włosy? Obraz nędzy i rozpacz. Jakby tego było mało kurczowo ścisnęła pod brodą nakrycie. Doprawdy, mógł sobie wybrać nieco lepszy moment. Nie miał ani krztyny wycucia...

- Słowo daję - wymamrotała pod nosem, wypuszczając pierzynę, którą zakrywała się jak tarczą. - Jesteś najbardziej irytującym mężczyzną, jakiego zam.

Posłał jej szeroki uśmiech.

- A ty najbardziej denerwującą kobietą pod słońcem. Zawsze opanowaną, wstrzemięźliwą i odrobinę nieprzystępną. Dziwisz się, że chciałbym się dowiedzieć, co się kryje pod tą nieodgadnioną powierzchownością?

- Nie jestem aż tak interesująca - odparła niewyraźnie. - Uwierz mi...

Jack zsunął z niej powoli kołdrę. Nie chciał, żeby cokolwiek

ich dzieliło. W sypialni i poza sypialnią.

- Ależ, jesteś - stwierdził z przekonaniem. - Intrygująca i tajemnicza. Cicha woda brzegi rwie. Znasz to powiedzenie, prawda? Taką właśnie cię widzę. Kryjesz w sobie znacznie więcej niż widać na pierwszy rzut oka. Żywiołowy temperament, wielkie serce i nieposkromioną namiętność. Drzemią w tobie uśpione i czekają, aż ktoś je odkryje i uwolni. Przekonamy się, czy mam rację?

- Proszę, nie pytaj. I nie proś o zgodę - odparła szeptem. - Jeśli to zrobisz, będę musiała powiedzieć „nie”.

- W takim razie o nic już nie zapytam. - Pochylił się i zamknął jej usta pocałunkiem. Otworzyła je, żeby powiedzieć coś, czego oboje woleli nie słyszeć.

Smakowała mocno słodzoną herbatą. Wyczuwał także lekki posmak mleka, który nie wiedzieć czemu wydał mu się bardzo zmysłowy. Nie mógł się nią nasycić. Prawdopodobnie nigdy się nią nie nasyci. Wsunął ręce w jej włosy, żeby delektować się ich dotykiem pod palcami. Były takie miękkie i jedwabiste... Mógłby bawić się nimi godzinami.

Przez następnych kilka minut obsypywał pocałunkami jej powieki, policzki i uszy, po drodze wracając do aksamitnych i cudownie ufnych ust.

Była jak kropla, która draży skałę. Powoli i niepostrzeżenie doprowadzała go do szaleństwa. Długo nie przyznawał się do tego nawet przed sobą. Zaledwie przed kilkoma dniami uzmysłowił sobie, że za każdym razem, kiedy znajdowała się w pobliżu, coś pchało go w jej stronę z nieujarzmioną siłą, kazało mu podchodzić coraz bliżej i skracać dystans. Był stracony już w chwili gdy spojrzała na niego w powozie i powiedziała: „Schlebia mi, że w ogóle mnie zapamiętałeś.

Ludzie często nie zwracają na mnie uwagi.”

Wytknęła mu, jaki był ślepy. Nie zauważał najstarszej córki człowieka, którego podziwiał i uważał za swojego przyjaciela i mentora. Od tego czasu miał ochotę porządnie wygarbować sobie skórę. Za to, że spędził dwa lata wśród Becketów, nie dostrzegając klejnotu, który miał tuż pod ręką. Jak mógł być tak bezmyślny i nieczuły?

Przysunął się, kiedy ciało Eleonor zaczęło wysyłać mu sygnały, że pragnie większej bliskości. Jego dłoń zsunęła się w dół i zatrzymała na jej dłoni. Chciał jej zapewnić poczucie bezpieczeństwa i pozwolić samej zrobić kolejny ruch.

Elly nigdy wcześniej nie czuła tak wiele naraz. Była odrobinę oszołomiona, bo z nadmiaru wrażeń nie wiedziała, na którym z nich powinna się skupić. Łaknęła jego dotyku jak łaknie się wody na pustyni. Uniosła ich splecione dłonie i położyła sobie rękę Jacka na piersi. Westchnęła przeciągle, kiedy jego palce objęły ją przez koszulę i przeniknęło ją rozkoszne ciepło. Bez namysłu zarzuciła mu ramiona na szyję i przyciągnęła go bliżej.

- Jack...

Jego imię, wypowiedziane ledwie słyszalnym szeptem, zabrzmiało jednocześnie jak prośba i jak pytanie. Nie rozumiała, co się z nią dzieje i nie miała pojęcia, o co prosi, ale pragnęła dowiedzieć się jak najwięcej.

A on rwał się do tego, żeby ją wszystkiego nauczyć.

Bez pośpiechu. Powoli i z rozważą. Nie musieli się spieszyć, mieli przed sobą całą noc. Jutro wstanie nowy dzień, powrócą problemy, niedopowiedzenia i przemilczenia, które nadal ich dzielą. Nie będzie łatwo, stawić im czoło, ale nie ma potrzeby martwić się tym już dzisiaj.

Teraz nic ich nie dzieliło.

Zdejmując z niej nieśpiesznie koszulę, obcałował każdy najmniejszy skrawek jej cudownego ciała. Gdy pozbył się własnego odzienia, jeszcze raz spojrzął na Eleonor w dogasającym świetle świecy. Była taka mała i taka piękna. Idealna. I pozwoliła mu się do siebie zbliżyć. Świadomość tego, że mu się oddała, że podarowała mu dowód tak wielkiego zaufania, wstrząsnęła nim do głębi. Chyba nawet nieco go przerażała. Poczul się szczególnie wyróżniony. Nie sądził, że spotka go kiedyś tak wielkie szczęście.

Kiedy krzyknęła z bólu, pocałował ją i na moment zapomniał o łagodności. Ogarnięty namiętnością poruszył się w niej gwałtownie kilka razy, żeby dotrzeć głębiej i lepiej ją poczuć. Dopiero wtedy się opanował i nakazał sobie powściągliwość.

Elly powoli traciła nad sobą panowanie, choć na razie leżała nieruchomo, chłonąc całą sobą nowe doznania. Obejmowała Jacka ramionami i wodziła opuszkami palców po twardych mięśniach na jego plecach. Był taki duży, silny i ciepły, a jego skóra wydawała się gładza niż jedwab.

Nie wiedziała, że to takie wspaniałe. Nie miała o tym pojęcia. Jak opisać coś, czego nie da się opisać? Coś, co jest zbyt niezwykle i piękne, żeby opowiadać o tym zwykłymi słowami? Jack sprawił, że poczuła się kompletna i spełniona. I wreszcie nie była sama. Aż do dziś nie zdawała sobie sprawy z tego, jak bardzo jest samotna.

Zapragnęła poczuć jego bliskość jeszcze intensywniej. Domyślała się, że to nie wszystko, że może dać jej więcej. Intuicyjnie odgadła, co zrobić, żeby to okazać, i uniosła ku niemu biodra.

- Eleonor... - szepnął jej do ucha. - Jesteś pewna? Nie boisz się?

- Nie wiem nawet, o co proszę - wyznała szczerze. - Ale coś mi mówi, że to nie koniec. Chcę więcej.

Podniósł głowę, żeby na nią spojrzeć.

- Nie wybaczę sobie, jeśli sprawię ci ból.

- Nie martw się. Nic mi nie będzie - odparła, wpatrując się w mroku w jego twarz. - Nie jestem aż tak krucha, na jaką wyglądam.

- To prawda. Nie jesteś. - Błysnął w ciemnościach uśmiechem, a potem ją pocałował i znów zaczął się w niej poruszać.

Zareagowała instynktownie. Rozluźniła się i poddała namiętności. Wkrótce podchwyciła rytm i odrzuciła spokój, który towarzyszył jej w życiu stanowczo zbyt długo. Pozbyła się wszelkich wątpliwości i przestała racjonalnie myśleć. Skupiła się wyłącznie na tym, co czuła.

Rzeczywistość przerosła jej najśmielsze oczekiwania. W snach i marzeniach nigdy nie było jej tak dobrze, nie czuła się tak wolna i silna. Zrozumiała, że warto żyć naprawdę, a nie stać z boku i przyglądać się, jak żyją inni.

Jack nigdy dotąd nie przeżył czegoś podobnego. Jego ciało było zaspokojone, a serce tak pełne uczuć, że niemal eksplodowało mu w piersi. Nie przypuszczał, że można odczuwać tak wielką bliskość z drugą osobą. Najchętniej trzymałby ją w ramionach do końca swoich dni. Stała się częścią niego. Chciał, żeby już zawsze była blisko, na wyciągnięcie ręki. Nawet się nie zdziwił, kiedy poczuł pod powiekami łzy.

- Eleonor... - wyrwało mu się bezwiednie, gdy przewrócił się na wznak, pociągając ją za sobą.

- Hmm? - mruknęła niewyraźnie, uszczęśliwiona, ale

i wyczerpana.

Przycisnął ją do swego boku i pocałował w czubek głowy.

- Nic takiego. - Uśmiechnął się, choć nie mogła go widzieć. -
Tak tylko... Lubię wypowiadać na głos twoje imię...

- Naprawdę? To miło... - Przytuliła się mocniej, a chwilę później już spała.

Jack długo leżał w ciemności, pogrążony we własnych myślach. Raptem zaczął obawiać się jutra. Niebezpieczeństwa, z którym przyjdzie im się zmierzyć, oraz tajemnic, które wciąż przed sobą skrywali.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Eleonor budziła się powoli. Niechętnie powracała z pięknego snu do szarej rzeczywistości. Przeciągnęła się ospale i otworzyła oczy. Nie wiedzieć czemu, czuła się przyjemnie obolała.

Jack! - przypomniała sobie nagle. To wcale nie sen. Naprawdę tu był. Z nią.

Odrobinę wystraszona przewróciła się na bok, ale posłanie okazało się puste. Hmm... wyszedł... I całe szczęście. Przyda jej się chwila na osobności. Potrzebowała czasu, żeby wszystko przemyśleć i zastanowić się, co dalej...

- Matko przenajświętsza, moje włosy! - Spuściła stopy na podłogę i schyliła się po kapcie. Poniewczasie uprzytomniła sobie, że zniszczyły się podczas pożaru. Co gorsza, była goła, jak ją Pan Bóg stworzył. - O mój Boże... - wymamrotała, poderwawszy z ziemi koszulę Beatrice.

W oka mgnieniu włożyła ją przez głowę i ruszyła w stronę lustra. Niewiele brakowało, a przewróciłaby się o własne nogi. - Słodki Jezu, ratunku... - syknęła zrozpaczona. Wczoraj nie przejmowała się tym, jak będzie wyglądać. Kazała pani Henderson ściąć spalone pasma, bo nie było innego wyboru. Ale dziś... Dziś patrzyła na swoje obicie i miała ochotę się rozplakać. Wyglądało to beznadziejnie. Nie dość, że włosy były krótkie i nierówne, to jeszcze idiotycznie się poskręcały i sterczały dookoła głowy na wszystkie strony.

- I co ja teraz zrobię? Co powie Jack, kiedy wróci? Nie! Nie

mogę pozwolić, żeby mnie tak zobaczył! – Odgarnęła włosy do tyłu, żeby sprawdzić, jak będą wyglądały związane. Nie, tak zdecydowanie było jeszcze gorzej.

Zaczerpnęła głęboko tchu i odwróciła się od lustra.

– Nie mogę tak się tym przejmować. Przecież mamy teraz ważniejsze sprawy na głowie. To nic wielkiego – powtarzała sobie. – To tylko włosy. Niedługo odrosną. – Jęknęła i zaczęła maszerować po pokoju, załamując ręce. Była bliska hysterii, ona która w najgorszych sytuacjach potrafiła zachować stoicki spokój.

– Pani Eastwood? Dobrze się pani czuje? Pukałam, ale...

– Pani Henderson! – Eleonor splotła przed sobą dłonie, usiłując się uśmiechnąć. – Przepraszam, ale nic nie słyszałam.

– To ja przepraszam, że pani przeszkodziłam. Przyszłam zastąpić Beatrice. Biedactwo nie nadaje się jeszcze do pracy. Lekarz, którego wezwał pani mąż, mówi, że powinna leżeć co najmniej dwa tygodnie. Jutro przyślę do pani Mary, ale pomyślałam, że dziś pomogę pani osobiście. To znaczy... jeżeli nie ma pani nic przeciwko temu...

Becketówna próbowała pozbierać rozbiegane myśli i skupić się na słowach gospodyni. Dom. Musi się zająć domem. Nie może przecież zostać tu na zawsze. Wczorajsza noc to... to zwykły... wypadek... Zapewne odosobniony. To znaczy... chyba. Lepiej nie zakładać, że cokolwiek się zmieni tylko dlatego, że spędzili ze sobą noc. Wolą oszczędzić sobie rozczarowania.

Nie ma sensu nad tym deliberować. Po pierwsze musi poprosić o papier i sporządzić listę najważniejszych rzeczy do zrobienia. Tylko co jest teraz najważniejsze?

– Przepraszam za określenie, ale wygląda pani dość zabawnie, pani Eastwood. Na pewno nic pani nie dolega?

Elly popatrzyła niewidzącym wzrokiem na gospodynię.

- Włosy, pani Henderson. - Olśniło ją raptem. - Zaczniemy od moich włosów.

- O tak, zdecydowanie od włosów. Sama miałam to zaproponować. Treacle posłał już po mojego kuzyna. Niebawem będzie na miejscu. Mary zaraz przyniesie jedną z pani sukien. Zdołaliśmy większość z nich przewietrzyć. Nie udało się tylko z niebieskim jedwabiem, ale nie ma się czym przejmować. Zajmiemy się wszystkim, a pani sobie wypocznie. Pan Eastwood nalegał przed wyjściem, żebyśmy byli dziś dla pani szczególnie pomocni.

- Czy Jacka... Pana Eastwoda nie ma w domu?

- Z samego rana wyszedł z panem Shannonem. Pan Shannon był ponoć okrutnie rozeźlony. Tak twierdzi Treacle. Podobno cały czas mamrotał coś do samego siebie tym swoim irlandzkim szwargotem.

- Hmm... rozumiem - rzekła Elly, choć nic z tego nie rozumiała. - Czy mój mąż mówił, kiedy wróci?

- Tak, na kolację. Zszedł nawet do kuchni, żeby porozmawiać z panią Ryan. Poprosił ją, żeby wyczarowała coś wyjątkowego, bo będą państwo dziś jedli razem.

- Tak powiedział? Jak to... miło. Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, chciałbym wyjątkowo zjeść śniadanie w łóżku. Chyba istotnie potrzebuję wypoczynku. Zaczekam na pani kuzyna tutaj. Miejmy nadzieję, że potrafi czynić cuda.

- Jestem pewna, że będzie pani zadowolona. Och, byłabym zapomniała. - Pani Henderson sięgnęła do kieszeni fartucha i wyciągnęła z niej list. - Doręczono to dla pani wczoraj wieczorem. Nie wiem dlaczego, ale dowiedziałam się o tym dopiero dziś rano. Mam nadzieję, że to nic ważnego.

- Jak to dowiedziała się pani dopiero dziś rano? Nie bardzo rozumiem...

Gospodyni wzniosła oczy ku niebu i westchnęła jak ktoś, kto musi nieustannie użerać się w pracy z idiotami.

- Posłaniec nie zostawił lokajowi żadnego... hm... wynagrodzenia za fatygę, więc ten nie spieszył się z przekazaniem wiadomości w moje ręce. Został już przykładowie ukarany. Następnym razem nie zabraknie mu motywacji. Jeszcze raz przepraszam za niedopatrzenie.

- Nasi służący oczekują dodatkowej opłaty za zrobienie czegoś, co należy do ich obowiązków? - Eleonor nie posiadała się ze zdumienia. - Osobliwe macie tu zwyczaje. Hmm... Londyn to przedziwne miasto. - Ujęła w dłoń kopertę i przyjrzała jej się podejrzliwie. Nie wyglądała na zaproszenie. Pieczęć, którą była opatrzona, nie miała herbu. Nie знаła w stolicy nikogo, kto mógłby z nią korespondować. Cóż, nie dowie się, o co chodzi, jeśli nie odczyta wiadomości.

Odprawiwszy gospodynię, usiadła przy biurku i otworzyła list:

Droga Pani Eastwood!

W dniu, w którym się poznałyśmy, była Pani dla mnie bardzo miła. Od dawna nikt nie przyjął mnie tak życzliwie jak Pani. Postanowiłam odwdzińczyć się tym samym. Pani mąż prowadzi bardzo niebezpieczną grę. Modlę się, aby udało mu się wyjść z niej zwycięsko. Niestety podsłuchałam niedawno rozmowę, z której jasno wynika, że pewni ludzie zamierzają zrobić mi krzywdę. Nie chciałabym, żeby przy okazji i Pani przytrafiło się coś złego. Gdyby, dajmy na to, dziś wieczorem wybuchł w waszym domu pożar, czy zdołałaby Pani w porę uciec? Czy raczej utknęłaby Pani w pułapce ognia i spaliła się żywcem?

Jest Pani przecież kaleką i nie porusza się tak szybko i zwinnie jak inni. Śmierć w płomieniach musi być bolesna. Nie życzylabym nikomu tak przerażającego końca. Mąż ściągnie na Panią kiedyś nieszczęście. To pewne jak amen w pacierzu. Proszę pokazać mu tę wiadomość i zażądać, żeby odesłał Panią na wieś. Gdzieś, gdzie będzie Pani bezpieczna.

Ja jestem bezsilna, ale Pani może się jeszcze uratować. Czas jest na wagę złota. Proszę niezwłocznie wyjechać z Londynu. Najlepiej jeszcze dziś. Niech Pani wraca do domu. Nie mogę zrobić dla Pani nic więcej. Pisząc ten list, wiele ryzykuję. Błagam, niech Pani jak najprędzej opuści miasto. Niech się Pani ratuje! Jeszcze nie jest za późno.

Przesadnie wylewny list nie był podpisany, lecz Eleonor doskonale wiedziała, kto go przysłał. To mogła być wyłącznie Miranda Phelps. Próbowwała ją ostrzec, ale przez opieszałość służby wiadomość nie dotarła do niej na czas. Pani Phelps bez wątpienia wykazała się sporą odwagą. Naraziła się na gniew męża i Chelfhamów, a skutki tego aktu miłosierdzia mogły okazać się dla niej zgubne.

Becketówna odłożyła list na biurko i popadła w zadumę. Dlaczego postanowiła zaalarmować mnie, a nie Jacka? – zachodziła w głowę. I dlaczego tylko ja mam „się ratować”, skoro, jak twierdziła, niebezpieczeństwo grozi nam obojgu? Coś się tu nie zgadzało.

A może to wcale nie były słowa Mirandy? Może to nie jej inicjatywa i napisała list pod dyktando. Tak, wydawało się to znacznie bardziej prawdopodobne...

Muszę koniecznie porozmawiać z Jackiem, postanowiła stanowczo. Pora powiedzieć mu wreszcie całą prawdę

i wszystko wyjaśnić.

Spojrzała tęsknie na wciąż niezasłane łóżko. Jakże chciałyby powrócić do cudownego snu, który wczoraj stał się jawą. Niestety okrutna rzeczywistość prawdopodobnie na to nie pozwoli. Zdusi w zarodku cudowny początek, który mógłby się rozwinąć w przepiękną bajkę ze szczęśliwym zakończeniem.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Po porannej mżawce nad Londynem zawisła gęsta, szaromleczno mgła. Rawley Maddox hrabia Chelfham wyszedł ze swego ulubionego klubu i pokonał niespiesznie schody.

Rozejrzawszy się uważnie dookoła, wymamrotał coś pod nosem i zmarszczył brwi.

Już za moment miał się przekonać, że jego niezadowolenie jest niczym w porównaniu z gniewem, jaki targał w tej chwili Jackiem. Wczorajszy pożar przelał czarę goryczy. Eastwoodowi zwyczajnie skończyła się cierpliwość.

O świcie pokłócił się zażarcie z Clunym. Nie było ani łatwo, ani przyjemnie, lecz po ostrej wymianie zdań jak zwykle postawił na swoim.

Podstępny i tajne knowania doszczętnie mu zbrzydły. Tym bardziej że nie był w nich szczególnie dobry. Postanowił wyłożyć karty na stół i otwarcie rozmówić się z Chelfhamem.

Wkrótce dogonił go w wąskiej alejce i chwycił bezceremonialnie za ramię.

- Co to ma znaczyć, do pioruna?! - wrzasnął poirytowany Maddox. - To ty, Eastwood? O co chodzi? Co się stało? Wyglądasz tak, jakby ktoś ci mocno nadepnął na odcisk. Daruj, ale nie mam czasu na pogaduszki. Spiesz mi się.

Jack bez słowa odciągnął go na bok. Zatrzymał się kilka kroków dalej, w zacienionym miejscu, którego nie było widać z ulicy.

- Cóż to, Chelfham? Nie zabrałeś dziś ze sobą swoich

wiernych piesków? Zwykle chodzą za tobą jak cień.

- Harris i Gilly? To z ich powodu ten żałosny melodramat?

- Owszem. Jak mniemam, nie prowadzasz się z nimi dla przyjemności. Mieli jak zwykle spotkać się z tobą w klubie, prawda? Tyle że się nie pojawili. Chciałbyś wiedzieć dlaczego?

- A co? Poderżnąłeś im gardła? - spytał Maddox, po czym prychnął wyraźnie ubawiony własnym żartem.

Kto zdrowy na umyśle zadaje takie pytania? W dodatku z uśmiechem na twarzy.

- Nie, nic im nie zrobiłem - odparł z niesmakiem Jack. - Choć świat pewnie stałby się bez nich znacznie lepszym miejscem. Zwłaszcza bez twojego szujowatego szwagra. Zatrzymałem ich tylko, żebyśmy mogli w spokoju porozmawiać.

- Są cali i zdrowi? - drwił w najlepsze hrabia. - Wielka szkoda. Trzeba było poprosić swojego Irlandczyka, żeby zakończył ich ziemskie męki. Oszczędziłbyś mi zachodu. Para durniów. To oni cię do mnie doprowadzili. - Otrzepawszy rękawy płaszcza, uśmiechnął się złośliwie. - A jak się miewa twoja słodka zoneczka? Doszły mnie słuchy, że mieliście w domu mały wypadek. Pożar to straszna rzecz....

Coś w tym wszystkim nie trzymało się kupy. Chelfham nie zachowywał się tak, jak powinien. W każdym razie Jack nie tak sobie wyobrażał tę konfrontację.

- Więc przyznajesz, że próbowałeś puścić nas oboje z dymem?

- Nie udawaj głupszego, niż jesteś, Eastwood. - Hrabia zdjął cylinder i pogłaskał się po łysinie. - Gdybym chciał was zabić, już dawno wachałobyście kwiatki od spodu. Chodziło o zwykłe ostrzeżenie. Miałeś się porządnie wystraszyć i odesłać tę swoją kalekę na wieś. W końcu nie jestem całkiem bezduszny.

Powiedziałem w liście wyraźnie: jeśli coś jej się stanie, będzie to wyłącznie twoja wina.

Sprawy coraz bardziej wymykały się spod kontroli. Maddox jakimś sposobem obrócił okoliczności na własną korzyść. To on był teraz panem sytuacji.

- W liście? Nie dostaliśmy żadnego listu.

- Nie? A to ci dopiero... W takim razie podziękuj Harrisowi. Tępak, najprostszej rzeczy nie potrafi doprowadzić do końca. Swoją drogą, nie zamierzałem doszczętnie spalić ci domu. Chciałem go tylko nieco... przysmażyć.

Eastwood sam się tego domyślił. Pożar wybuchł o zbyt wczesnej porze. Gdyby zaskoczył ich w nocy w łóżkach to, co innego. Prawdopodobnie skończyłoby tragicznie. Stary wystrychnął go na dudka. Jack zrobił dziś dokładnie to, czego tamten oczekiwał.

- To, że dzisiaj przyjdę do ciebie pod klub też zaplanowałeś?

- Cóż, pewności nie miałem... Tchórz ani chybi wzięłby nogi za pas, a udowodniłeś, że nie brak ci odwagi. Człowiek przyzwoity już dawno wbiłby mi nóż między żebra za to, co zrobiłem jego żonie, ale o tym, że nie jesteś szczególnie przyzwoity, wiedziałem już dawno. Przyznaję, jednego nie wzięłem pod uwagę. Nie przyszło mi do głowy, że wyeliminujesz z równania Harrisa i Gilly'ego i że będę narażony na niebezpieczeństwo. Zdaje się, że popełniłem poważny błąd.

- Nie, to ja popełniłem błąd. Powinienem być z miejsca cię ukatrupić. Zaraz po tym, jak wciągnąłem cię w tę ciemną uliczkę.

- Ha! Za późno na groźby! Zresztą, jestem pewien, że nie tknąłbyś mnie palcem. Znam się na takich jak ty. Nie zarznąłbyś przecież swojej dojrzałej krowy, prawda? Nie ma co się oszukiwać,

przywiodła cię do mnie zwykła chciwość. Zachłanność to jeden z grzechów głównych. A wielu z nas jej ulega... Darujmy więc sobie tę czczę gadaninę i przejdźmy od razu do rzeczy. Stwarzanie pozorów jest wyjątkowo uciążliwe, nie sądzisz?

Jack zaczynał wszystko rozumieć.

- Zatem pożar miał być swoistą próbą... mojego charakteru. Nie usiłowałeś mnie zabić. Zamierzałeś tylko sprawdzić, czy niewielkie zagrożenie zdoła mnie skutecznie odstraszyć. Chcesz dopuścić mnie do interesu, ale musiałeś się najpierw upewnić, czy warto. Rozumiem, że zdałem egzamin śpiewająco. Skoro dowiodłem, jaka ze mnie chciwa kanalia, możesz bez obaw zrobić ze mnie swojego współnika.

- Cóż, chyba tak. Odkąd zacząłem pozbywać się konkurencji, czekałem na kogoś takiego jak ty. Na tyle zachłannego, by pójść na kompromis. No i wreszcie się pojawiłeś. Zaimponowałeś mi tym, jak próbowałeś do mnie dotrzeć przez mojego szwagra idiotę. To ja podszeptałem mu, że powinien nosić te paradne czerwone kamizelki. Czerwień ponoć niezawodnie przyciąga uwagę byka.

Eastwood zwymyślał się w duchu za naiwność. Nie przypuszczał, że hrabia jest zdolny do tak perfidnych posunięć.

- Skąd wiedziałeś, że połknę przynętę? - spytał cokolwiek zafascynowany. - Nie mogłeś przecież mieć pewności, że...

- Och, uwierz mi, to nie było nic trudnego. Kto z twoim niewątpliwym talentem chciałby się zadawać z Phelpsem? Toż to błazen i półgłówek. Jesteś zbyt wytrawnym graczem, żeby tak często przegrywać. W dodatku do Harrisa? Wykluczone. Od razu się zorientowałem, że coś jest na rzeczy.

Jack uśmiechnął się mimo woli.

- Cóż, przyznaję, nie popisałem się. Łatwo było przejrzeć tak

oczywistą strategię.

- Przede wszystkim byłeś zbyt gorliwy i nie zadbałeś o istotne detale. A i tak wydawało ci się, że twój plan jest genialny. Pycha, mój przyjacielu. Zgubiła cię pycha. Jesteś bystry, ale nie aż tak bystry jak ja. Nie zamierzam skończyć na stryczku, ale ty prędzej czy później zawiśniesz. Ludzie twojego pokroju, zawsze źle kończą, chyba że weźmie ich pod swoje skrzydła ktoś taki jak ja. Masz rację, musiałem cię sprawdzić. Ktoś inny na twoim miejscu wycofałby się po wczorajszych wydarzeniach i czmychnął z podkulonym ogonem. Ale ty przybiegłeś do mnie i teraz miotasz się jak ryba wyrzucona na brzeg. Nie możesz się zdecydować, czy udusić mnie gołymi rękami, czy zacząć lizać mi buty. W końcu bardzo zależy ci na tym, żebym dopuścił cię do mojego intratnego... przedsięwzięcia. Z pewnością chciałbyś omówić warunki naszej współpracy. Ja także wolałbym mieć już to za sobą. Najpierw musisz mi jednak coś obiecać. Dobijemy targu, jeśli natychmiast odeślesz na wieś tę swoją kalekę. Właśnie po to było mi potrzebne całe to zamieszanie z pożarem. Co do ciebie miałem już niemal pewność. Za to jej nie chcę widzieć w mieście. Ów mały wypadek miał cię przekonać, że twojej szanownej żoneczce lepiej będzie z dala od ciebie.

Słowa Chelfhama nie miały najmniejszego sensu. Niemal puścił z dymem cały dom, tylko po to, żeby pozbyć się Elly? I dlaczego niby chciałby usunąć ją sobie z drogi?

- A co ma z tym wszystkim wspólnego moja Eleonor? Nie pojmuję, w czym ci przeszkadza jedna bogu ducha winna kobieta...

Maddox łypnął na niego spod oka.

- Nie powiedziałem, że mi przeszkadza. Nie lubię jej, to wystarczający powód. Moja żona nie lubi jej jeszcze bardziej.

Żadne z nas nie ma ochoty jej oglądać. Jest zdeformowana, a kobiety przy nadziei nie powinny przyglądać się zniekształconym kalekom. Kto wie, może dziecko już ma przez nią skazę. Helen wpadała w taką histerię, że całą noc jej nie mogłem uspokoić. Zażądała, żeby się jej pozbyć, a ja zwykle spełniam jej żądania. Kiedy jest zadowolona, niczego mi nie odmawia. Chyba nie muszę ci tłumaczyć, co mam na myśli. Widziałeś ją.

Jack marzył o tym, żeby stłuc go do nieprzytomności. Pokusa była tak silna, że aż świerzbiły go ręce. Powstrzymał się przed tym szaleństwem wyłącznie siłą woli. Jeszcze przyjdzie na to czas.

- Przemyślę to, ale niczego nie obiecuję. W końcu dopiero co się pobraliśmy. Nie mam dobrego powodu, żeby ją odesłać. Proponuję kompromis. Eleonor zostanie w mieście, ale będę trzymał ją z daleka od lady Chelfham. Mam rozległe kontakty handlowe. I tutaj, i we Francji. Dysponuję też statkami i znam kilka doskonałych kryjówek na kontrabandę. Możemy sobie nawzajem pomóc. Obaj wiele na tym zyskamy. Rzecz jasna nie działam na tak wielką skalę jak twoi znajomi z Gangu Czerwonych, ale...

- Cicho! Sza o tym. Nie wypowiadamy ich imienia nadaremno. Zapamiętaj to sobie, Eastwood. Od tego może zależeć twoje życie. Moje zresztą też. Nie masz pojęcia, do czego zdolny jest nasz przywódca. Zwłaszcza kiedy ktoś nadepnie mu na odcisk.

Interesujące, pomyślał Jack.

- Wasz przywódca? Sądziłem, że to ty stoisz na czele szajki.

Hrabia parsknął, jakby usłyszał przedni dowcip.

- Naprawdę w to wierzysz? Moje „przywództwo” to jedynie

pozory, przyjacielu. Prawdziwy lider jest tylko jeden. I z pewnością nie mnie przypadł w udziale ten honor. Wszyscy zatrudnieni na jego usługach to zwykłe sługusy, pionki w grze kogoś znacznie bardziej prominentnego, niż możesz sobie wyobrazić. Jego szara eminencja starannie nas dobiera i toleruje dopóty, dopóki spełniamy jego wymagania co do joty. Każdy z nas, zwykłych pacholków, ma ściśle określony obszar działania. Ja na przykład zajmuję się wolnym handlem. Szmuglowaniem herbaty oraz brandy. Niczym więcej. Ale macki naszego pana i władcy sięgają znacznie dalej. Nie masz pojęcia jak daleko.

- Chcesz powiedzieć, że całym gangiem rządzi jedna osoba? - dopytywał się Eastwood.

Jego dociekliwość na szczęście nie zniechęciła Maddoksa. Stary najwyraźniej uwielbiał dźwięk własnego głosu.

- Pytasz, czy rządzi jedną większą bandą? Człowieku, on steruje połową tego kraju. Szczerze mówiąc, powoli zaczynam być tym wszystkim zmęczony. Tym, jak się nami wysługuje. To my co dzień ponosimy ryzyko, a on tylko zbiera laury. Ale, cóż nie ma sprawiedliwości na tym świecie. - Urwał na moment i potrząsnął głową. - Słuchaj no Eastwood, nie ma co deliberować. Zrób, o co proszę, a przyjmę cię na wspólnika. Przyznasz, że to niezbyt wygórowane żądanie za przystąpienie do dochodowego interesu. Więc jak? Przyjmujesz zaproszenie?

- Jesteś niespełna rozumu, Chelfham. Celowo zaproszyłeś ogień w moim domu, naraziłeś życie moje, mojej żony i całej służby. I to nazywasz zaproszeniem?

- Bez przesady, nie dramatyzuj. Przecież nikomu nic się nie stało. Pokaż, że zależy ci na współpracy, i odeślij żonkę z miasta. Potem zajmiemy się zbijaniem majątku. Ty i ja. Bez

Harrisa i jego głupekowatego kompana. On zresztą też chce się od nich uwolnić.

- On, czyli owa Szara Eminencja? Skoro jesteś tylko jego sługusem, dlaczego rozmawiam z tobą, a nie z nim? Pozwala ci wtajemniczać w wasze sprawy pierwszego lepszego, jaki się nawinie? W końcu niewiele o mnie wiesz.

- Niech cię o to głowa nie boli. A rozmawiasz ze mną, bo wyżej niż ja nigdy nie dotrzesz. Uznaj mnie za jego wysłannika, posłańca, jak tam ci wygodnie. Chcesz chyba pozostać jeszcze jakiś czas wśród żywych, co? Połączymy siły, rozwiniemy twoją działalność i zrobimy z tego przedsięwzięcie na dużą skalę. Zyski będziemy dzielić między sobą. Dostaniesz czterdzieści procent. To uczciwa propozycja. Zresztą innej nie będzie. Albo ją przyjmiesz, albo radzę ci się pakować i uciekać ze swoją kaleką na drugi koniec świata. Będziesz musiał zniknąć, bo już teraz wiesz stanowczo zbyt wiele. Wóz albo przewóz. Decyduj.

- A jeśli podziękuję, następnym razem znajdę w sypialni coś więcej niż płonąca cegłę, prawda? Godna podziwu subtelność, Chelfham. Słowo daję. A sądziłem, że jesteś zwolennikiem nieco bardziej wyrafinowanych metod. Cóż, widać się pomyliłem. - Dlaczego hrabia wspomniał o Jamajce? - zastanawiał się Jack. Według „oficjalnej” wersji wydarzeń, właśnie tam poznał Eleonor, tyle że jak dotąd żadne z nich nie opowiadało nikomu w Londynie dziejów swojego związku. Czemu więc Maddoksowi przyszła do głowy akurat Jamajka? Zbieg okoliczności? Wątpliwe. - Tak się składa, jaśnie panie hrabio, że jakoś cię nie lubię. Dawno nie miałem do czynienia z tak odrażającym typem. Nie przyszło ci przypadkiem na myśl, że zamiast godzić się na twoje „warunki”, mogę zwyczajnie złożyć na ciebie doniesienie stosownym władzom?

- Owszem, mógłbyś. Tylko po co? Uprzedzam, że wyjdiesz na tym jak Zabłocki na mydle. Jeśli mnie zadenuncjujesz, będę zmuszony złożyć wyjaśnienia. Nawet nie zadrzy mi powieka, kiedy poślę na dno ciebie, Harrisa oraz Ecclesa. Powiem, rzecz jasna odpowiednio oburzonym tonem, że od dawna robicie razem ciemne interesy. W dodatku tuż pod moim nosem, a ja Bogu ducha winny, po cichu zbierałem przeciwko wam dowody i jako uczciwy obywatel zamierzałem we właściwym momencie was oskarżyć. Zwlekałem z tym tylko ze względu na żonę i jej odmienny stan, jako że owa pożałowania godna afera dotyczyła jej rodzonego brata. Jak sądzisz, komu uwierzą? Mnie, arystokracie, czy wam kmiotkom bez tytułów?

Eastwood roześmiał się, choć nie było mu do śmiechu.

- Więc to dlatego tolerujesz szwagra i jego szpetne szkarłatne kamizelki. Postanowiłeś na wszelki wypadek trzymać go pod własnym dachem, żeby w razie potrzeby zrobić z niego kozła ofiarnego...

- Kozła powiadasz? - uśmiechnął się szyderczo Chelfham. - Podoba mi się. Rzeczywiście, ku mojemu utrapieniu, beczy jak kozioł za każdym razem, kiedy otwiera usta, żeby wygłaszać swoje pożał się Boże mądrości. Masz łeb na karku, przyjacielu. Trafiłeś w dziesiątkę. Człek zapobiegliwy przygotowuje się na każdą ewentualność. A ja jestem zapobiegliwy, choć przyznam, że nie wiem, jakim cudem dotarłeś do mnie bez pomocy naszego mocodawcy. Nie, nie będziemy o nim rozmawiać. Chciałbym umrzeć we własnym łóżku. Najlepiej używając na młodej i pięknej kobiecie. I bynajmniej nie dbam o to, że musiałem ją sobie kupić.

Jack popatrzył z odrazą za hrabią, gdy ten zaczął zmierzać ku głównej ulicy. Był kompletnie bezsilny i czuł się jak ostatni

głupiec.

- Boisz się własnego wspólnika? - zapytał, gdy zrównał się ponownie z Chelfhamem.

- Owszem, można nas nazywać wspólnikami, ale to nie znaczy, że jesteśmy sobie równi. Tak to już jest na tym świecie. Niektórzy mają znacznie większe wpływy i większą władzę niż inni. Na szczycie każdej piramidy zawsze leży tylko jeden klocek. Obserwuję go dość długo, więc wiem, jak postępować, żeby mu się zbyt nie narazić. Nauczę cię tego, kiedy będziemy się razem bogacić.

- Ty będziesz nadal pracował dla niego, a ja będę usługiwał tobie - stwierdził niechętnie Jack. - Zbudujemy sobie własne małe imperium, naturalnie trzymając to przed nim w ścisłej tajemnicy. A na szczycie tej konkretnej piramidy oczywiście zasiądziesz ty - dodał, zgrzytając zębami. - Będę zaszczycony, panie hrabio. Współpraca z panem będzie czystą przyjemnością.

- Bravo! Właśnie takiej odpowiedzi oczekiwałem. Widzisz, przemogłeś się jakoś. Jego Szara Eminencja nigdy się o nas nie dowie, możesz być tego pewien. Nie ma zwyczaju brudzić sobie rąk. Nie interesuje się przyziemnymi detalami, dopóki dostarczamy mu regularnie określone profity. Działasz w okolicach Romney Marsh, prawda? Panoszy się tam mnóstwo pomniejszych szajek, które nie wiedząc czemu wzbraniają się przed przyjęciem naszej „ochrony”. Miałem z nimi ostatnio sporo kłopotu. Ale sytuacja, zdaje się, została opanowana. Nie szukałbyś wspólnika, gdyby ktoś nie zagroził poważnie twoim interesom.

Eastwood uznał, że pora na mały blef.

- Mylisz się. Cokolwiek tam robisz, nie wpłynęło to znacząco

na mój biznes. Nadal mam rozległe kontakty. Dziwisz się, że cię znalazłem? Najwyraźniej popełniłeś jakiś błąd.

- Och, proszę, nie obrażaj mnie na samym wstępie. Przed nami długa i mam nadzieję lukratywna współpraca. Wiem dokładnie, na jakim operujesz terenie, bo pozostały obszar jest pod moją ścisłą kontrolą. Niemal cała linia wybrzeża to moi ludzie. Swoją drogą, dobrze się składa, że do mnie trafiłeś. Harris i Eccles okazali się bezużyteczni. Potrzebuję kogoś do, nazwijmy to, czarnej roboty. Mój szwagier potwierdził wczoraj swoją indolencję. Niewiele brakowało, a ty i twoja pani spalilibyście się żywcem, bo ten nieudolny matoł znów pokpił sprawę. Naprawdę nie dostaliście wiadomości od Mirandy?

Jack przyłożył dłoń do skroni. Od całej tej rozmowy rozboleła go głowa.

- Wysłałeś nam wiadomość, żeby nas ostrzec, a potem podpaliłeś nam dom? Jesteś niemożliwy. A wszystko po to, żeby mi pokazać, kto jest panem sytuacji... No i żebyś odesłał na wieś Eleonor...

Maddox uśmiechnął się bezczelnie i rozłożył szeroko ręce.

- Cóż mam ci powiedzieć? Kocham swoją żonę. Jej życzenie jest dla mnie rozkazem.

- Wiele ryzykowałeś. Tak się składa, że ja też kocham swoją żonę, a ty ją obraziłeś. Mogłem cię dzisiaj zabić. I wiedz, że miałem na to wielką ochotę. Nadal mam.

- Ach, nie psuj tak pięknego początku, Jack. Za późno na okrzyki oburzenia. Daruj sobie pozę kochającego małżonka i dobijmy targu. Zarobimy górę złota. Tylko ty i ja. Daję ci słowo, że będę nas chronił przed... człowiekiem ze szczytu najważniejszej piramidy.

Eastwood zatrzymał się na chodniku, zmuszając hrabiego,

żeby zrobił to samo. Pozostała pewna kwestia, co do której musiał się upewnić.

- Tylko ty i ja, powiadasz? Czy to znaczy właśnie to, co myślę, że to znaczy?

Chelfham posłał mu rozpromieniony uśmiech.

- Ha! Miałem rację, że w ciebie wierzyłem. Intuicja rzadko mnie zawodzi. Załatw jeszcze tylko kwestię swojej kalekiej żony i możemy zaczynać. Niech biedaczka zniknie nam z oczu. Moja Helen i bez niej będzie miała sporo na głowie. Niebawem przyjdzie jej nosić żałobę po bracie. Będzie musiała sprawić sobie czarną garderobę.

Jack zadbał o to, żeby nie drgnął mu w twarzy choćby jeden mięsień.

- Za pozwoleniem, panie hrabio. Wolno spytać, jak często zmienia pan partnerów?

- Czyżbyś miał obawy, mój chłopcze? - zarechotał Maddox. - Bardzo słusznie. Cenna rada na przyszłość od starego wyjadacza. Pamiętaj. Nigdy nie wolno być przesadnie zadowolonym z siebie. Człowiek się rozprasza, przestaje się pilnować i zaczyna popełniać błędy. Odeślij żonę w siną dal, a zostaniemy przyjaciółmi, że się tak wyrażę, na śmierć i życie. - Znów się roześmiał, ubawiony własnym żartem.

- Obawiam się, że to może chwilę potrwać - odparł Eastwood. - Daj mi kilka dni - dodał, po czym zadał pytanie, które nurtowało go od jakiegoś czasu. - Eleonor i ja spotkaliśmy się na Jamajce. Wiedziałaś o tym? Wspomniałeś wcześniej, że powinniśmy przenieść się na Jamajkę.

- Naprawdę? - zdziwił się hrabia. - Powiedziałem Jamajka? Pewnie usłyszałem o tym od Helen - wyjaśnił pośpiesznie. Zbyt pośpiesznie... - Twoja pani musiała napomknąć coś na ten

temat w rozmowie. Zrobiło się późno. Już jestem spóźniony. Bywaj.

Chelfham potruchtał za róg i przywitał się z jakimś jegomościem, który wsiadał właśnie do czarnego nieoznakowanego powozu. Jack nie zdążył mu się dobrze przyjrzeć. Nie widział nawet jego twarzy. Zauważył tylko, że mężczyzna jest wysoki i dobrze ubrany. Obaj z hrabią zniknęli wkrótce za drzwiami i odjechali.

Eastwood obejrzał się przez ramię i przywołał gestem Cluny'ego, który czał się nieopodal.

- Zapamiętaj dobrze ten powóz. Niedługo pewnie będziemy go szukać.

- Równie dobrze możemy poszukać igły w stogu siana - prychnął Irlandczyk. - Takich powozów są tysiące. A do czego ci on potrzebny? Masz jakiś konkretny powód?

- Możliwe, że przed chwilą widzieliśmy przelotnie herszta całej ich bandy. Gdzie zostawiłeś Ecclesa i Phelpsą? Zdaje się, że szanowny pan hrabia chciałby ich widzieć martwych.

- W takim razie będzie rozczarowany, bo nawet włos nie spadł im z głowy. Mieli tylko mały wypadek. Od bryczki, którą jechali, nagle odpadło koło. Jak twoja rozmowa z Chelfhamem?

- Nie uwierzysz. Kazał mi odesłać na wieś Eleonor, jako że widok „niedołężnej kaleki” może źle wpłynąć na jego ciężarną żonę i zaszkodzić ich nienarodzonemu dziecku. Jeśli spełnię jego życzenie, przyjmie mnie na wspólnika i będziemy razem zbijali majątek na przemyśle. Rzecz jasna w tajemnicy przed prawdziwym przywódcą Czerwonych, czy jak tam się nazywa ten ich gang, o ile w ogóle jakoś się nazywa. Szczerze mówiąc, niczego nie jestem już pewien. Maddox uznał także Ecclesa i Phelpsą za bezużytecznych i zapragnął czym prędzej

wyprawić ich w zaświaty. W dodatku oczekuje, że to ja wykonam za niego całą „czarną robotę”. Ubrdał sobie, że jestem chorobliwie zachłannym półgłówkiem. Nie mam pojęcia skąd, ale wie również o twoim istnieniu.

- Coś podobnego... No popatrz... Żeby się tylko nie okazało, że wpadliśmy w gnojówkę po samą szyję i już się z niej nie wygrzebiemy. Czerwoni, Czarny Duch... będziemy teraz działać w dwóch konkurencyjnych gangach. Nie podoba mi się to. Na miłą pachnie tu jakimś nieszczęściem. Poza tym cały ten twój Ainsley Becket najwyraźniej czegoś nam nie mówi. Czuję to w kościach. A skoro nie jest z nami szczery, nie jestem pewien, czy powinniśmy mu ufać.

Gdy wsiedli do powozu i ruszyli na Portland Square, Jack oparł się o zagłówek i przymknął na moment powieki. Był znużony brakiem snu i mocno przybity. Dzień się dopiero zaczął, a czekała go jeszcze jedna trudna rozmowa.

- Bądź łaskaw ulotnić się dziś wieczorem - zwrócił się do przyjaciela.

- Więc nadal zamierzasz jej wszystko powiedzieć... Córce Becketa, człowieka, który nas okłamuje...

Eastwood przesunął dłonią po twarzy.

- A mam jakieś inne wyjście?

- Masz. Zrób to, czego zażądał Chelfham. Niech panna wraca do taty.

- Sęk w tym, że ja też czuję coś w kościach, Cluny. Kiedy ty każesz mi ją odesłać, przynajmniej wiem dlaczego. Ale Chelfham? Jaki może mieć powód, żeby chcieć się jej pozbyć? W czym mu niby zawadza? Przecież nawet jej nie zna. Widział ją raz w życiu. Coś mi się w tym wszystkim nie zgadza. A cała ta gadka o kalectwie i ciężarnej hrabinie jakoś nie trzyma się

kupy. Zwykle zabobony, w które ktoś tak inteligentny jak Maddox z pewnością nie wierzy. Nie mogę posłać jej do Romny Marsh samej. Boję się, że zrobią jej po drodze jakąś krzywdę.

- Wątpię. Nikt cię nie śledzi. Sprawdziłem kilka razy, więc Ainsley nie przysłał za tobą nikogo oprócz niej. Jeśli chcesz znać moje zdanie, dziewczyna jest zwyczajnie szpiegiem tatusia. W dodatku idealnym. Bo i kto by podejrzewał o cokolwiek taką uroczą kruszynę? Chytrze to sobie wymyśli, nie powiem. Nie ufają ci, bo nie jesteś jednym z nich. Nie należysz do rodziny. Koniec kropka.

Jack przypomniał sobie ubiegłą noc. Kiedy trzymał Eleonor w ramionach, niczego nie udawali. To, co się między nimi wydarzyło, było piękne i prawdziwe. Ich uczucia także.

- Myślę, że się mylisz, Cluny. Chryste, mam nadzieję, że się mylisz.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Eleonor siedziała na kanapie w bawialni, przyglądając się rysunkom rezydencji Chelfhama, które namalowała przed laty z pamięci.

Jakiś czas temu Jacko zabrał je do Londynu, żeby odnaleźć budynek i sprawdzić, kto jest jego właścicielem.

Kiedy wrócił, oddał jej akwarele i bez słowa skinął głową. Ich przypuszczenia okazały się słuszne. Potem ani on, ani ojciec nie rozmawiali z nią więcej o bolesnych wspomnieniach z przeszłości, ani o tym, co owe wspomnienia oznaczają. Ona z kolei nigdy nie zdradziła Jacko, że pamięta, jaką rolę odegrał w tragicznych wydarzeniach, które rozegrały się na statku, na którym ją znaleźli.

Uzgodniła z Ainsleyem, że zostanie na zawsze w Becket Hall, a on chętnie na to przystał.

Niektórych rzeczy nie można zmienić, a skoro tak, lepiej zostawić je za sobą. Tak jak ona zostawiła za sobą prawdziwe imię i nazwisko oraz dom, w którym dorastała do szóstego roku życia. Wymazała też ze świadomości owe pięć minut, zanim przerażona wyrwała się Chance'owi i zaczęła uciekać z wrzaskiem przez pokład.

Powinna była zniszczyć te malunki, ale nie potrafiła się do tego zmusić. Były jedynym, co zapamiętała z pierwszych kilku lat życia. Tylko tyle jej z nich pozostało. Czasem lubiła na nie patrzeć. Zanim przyjechała do Londynu.

Odłożyła na bok portfolio i zaczęła masować sobie łydkę.

- Kolejny skurcz? - Usłyszała nagle i zaskoczona poderwała głowę.

Wypatrywała go z niecierpliwością od wielu godzin, a kiedy w końcu wrócił, nawet się nie zorientowała.

- Nie, nic mi nie jest. - Wyprostowała plecy i złożyła ręce na kolanach. - Chyba robię to z przyzwyczajenia - dodała, spoglądając na niego nieśmiało.

Wyglądał imponująco i męsko. Natychmiast powróciła myślami do wczorajszej nocy. Przypomniała sobie, jak powtarzał jej imię i szeptał do ucha czułe słowa. Jak sprawił, że w końcu poczuła, że żyje.

A teraz, w świetle dnia unikała jego wzroku i nie mogła wykrztusić z siebie słowa. Nigdy w życiu nie była tak zdenerwowana. Jak to możliwe, że dwoje ludzi, którzy przeżyli razem tak intymne chwile, nie potrafiło spojrzeć sobie w oczy? On też na nią nie patrzył. Wydawał się zafascynowany karafką, którą trzymał w dłoni.

Ścisnęło ją w gardle i z trudem złapała oddech. Miała wrażenie, że z pokoju wyparowało raptem całe powietrze.

Jack odwrócił się ku Eleonor i uniósł zachęcająco szklanekę. Czuł się przy niej jak nieopierzony sztubak, co tylko spotęgowało złość, którą przyniósł do domu po przeprawie z Chelfhamem.

- Napijesz się?

- Nie, dziękuję - odparła, zaciskając kurczowo palce. - Treacle... - zaczęła, żeby powiedzieć cokolwiek i zapełnić krępującą ciszę. - Treacle... wezwał szklarza i kazał wymienić szybę.

- Treacle? Znakomicie. Zuch chłopak. - Usiadł naprzeciw niej i w końcu porządnie jej się przyjrzał. - Twoje włosy... Są...

Wyglądają wspaniale...

Westchnęła i położyła sobie rękę na karku. Z odsłoniętą szyją czuła się dziwnie. - Wystrzygli mnie jak owcę. Niestety, Stanleyowi nie udało się zrobić nic więcej.

- Świetnie się spisał. Mam nadzieję, że sowicie go opłaciliśmy. - Przeszedł przez pokój i stanął za oparciem kanapy, na której siedziała. Jej gęste ciemne włosy lśniły w blasku świecy, mieniając się głębokimi odcieniami brązu. Rzeczywiście były krótkie, najdłuższe pasma nie miały nawet dziesięciu centymetrów. Przypomniała mu leśną nimfę, piękną, delikatną i kruchą jak z porcelany.

Boże drogi... jeszcze tak niedawno trzymał ją w ramionach. Czy to naprawdę było zaledwie wczoraj? A wydawało się, że od tego czasu upłynęły całe wieki...

Elly poruszyła się niespokojnie na siedzisku. Im dłużej się w nią wpatrywał, tym większy palił ją rumieniec.

- Czuję się okropnie... nieswojo. Jakbym była... naga...

- Co się stało z loczkami? - Jack przypomniał sobie, jak trzymał je pod palcami. Miał ochotę znów wsunąć dłoń w błyszczący brązowy puch.

- Stanley znalazł na nie sposób. Pokazał Mary jak je czesać, żeby się nie skręcały. - Nie wytrzymała i obejrzała się, żeby na niego spojrzeć. - Gdzie się podziewałeś przez cały dzień?

Uśmiechnął się szeroko. Żałował, że nie potrafi się całkowicie rozluźnić.

- Tęskniłaś za mną, żono?

- Przestań - odparła szorstko, używając tonu, którym przemawiała do nieznośnego rodzeństwa. - Zadałam ci zwykłe pytanie, a ty...

- Ja za tobą tęskniłem - szepnął jej wprost do ucha. - I to

bardzo. Przez cały czas...

Zamknęła oczy i mimowolnie westchnęła.

- Tak... długo cię nie było...

- Wiem, nie sądziłem, że aż tyle mi się zejdzie. - Wyprostował się i wrócił na swoją sofę. - Poszedłem rozmówić się z Chelfhamem.

Serce podskoczyło jej do gardła.

- Z powodu pożaru? Domyślaliśmy się, że to jego sprawka, ale... Oskarżyłeś go wprost? Czy to na pewno było mądre posunięcie?

- Więc twoim zdaniem postąpiłem głupio, tak? - warknął w nagłym przypiływie złości. - A może w ogóle jestem głupi, co? Tak o mnie myślisz? Strofujesz mnie jak dziecko. Oczekiwałaś, że się z tobą skonsultuję? Mam omawiać z Becketami każdą swoją decyzję? Za chwilę pewnie usłyszę, że powinienem pytać was o zgodę, kiedy zapragnę głośniej odetchnąć.

Zbeształa się w duchu za swój niewyparzony język.

- Nie, oczywiście, że nie. Nic takiego nie miałam na myśli. Ale... hrabia przysłał list i... Zaczekaj, przyniosę go.

- Nie ma potrzeby - uciął krótko, zastanawiając się, co go ugryzło. Dlaczego tak na nią naskoczył? Maddox wyprowadził go z równowagi, a on wyżywa się na kobiecie, na której mu zależy. Bez sensu. - Powiedział mi, że nas ostrzegł. Co się właściwie stało z tym listem?

- Posłaniec nie wynagrodził lokaja za fatygę, więc ten nie spieszył się z przekazaniem wiadomości adresatowi, czyli w tym wypadku mnie. Przeczytałam ją dopiero dziś rano. Chelfham radził mi, jak najszybciej spakować rzeczy i uciekać z miasta. Wspomniał o pożarze i o tym, że z powodu twoich... twoich... interesów grozi mi niebezpieczeństwo.

- Niech go diabli... - mruknął pod nosem. Jego obawy się potwierdziły. To Eleonor miała paść ofiarą pożaru. To jej Chelfham chciał zrobić krzywdę, nie jemu. I wcale go nie sprawdzał. To tłumaczenie od początku wydawało mu się mocno naciągane. Tylko dlaczego? O co w tym wszystkim chodzi? - Nic z tego nie rozumiem. Czemu tak bardzo zależy mu na tym, żebyś zniknęła? Jaki może mieć powód?

Zaczerpnęła głęboko tchu. Nadeszła chwila prawdy. O wiele za szybko. Miała nadzieję, że nacieszy się nim choć odrobinę dłużej. Cóż, dostała przynajmniej jedną wspólną noc i musi jej to wystarczyć. Na całe samotne życie.

- Powinam była ci powiedzieć... Nie przypuszczałam, że to możliwe, ale on chyba myśli że...

- Nazwał cię kaleką, sukinsyn - wtrącił, jakby w ogóle jej nie usłyszał. - Zdeformowaną i niedołączną, dasz wiarę? Kanalia. Twierdzi, że jego jędzowata żona nie może znieść twojego widoku. Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo chciałem przefasonować mu tę jego odrażającą gębę. Aż mnie ręka świerzbiła!

Usta opadły jej na moment ze zdumienia.

- Tak ci powiedział? Dokładnie takich użył słów?

Eastwood z trudem opanował gniew, który targał nim od rana.

- Przykro mi, ale tak. Właśnie tak to ujął. Kazał żonie Phelps do ciebie napisać, żeby cię ostrzec i nakłonić do wyjazdu. Ogień w twojej sypialni miał, zdaje się, urealnić groźbę. A wszystko dlatego, że lady Chelfham jest przy nadziei i nie może przestawać z... osobą, która kuleje. Bo mogłoby to zaszkodzić dziecku.

- Ach tak... Rozumiem... - Może jednak nie będzie musiała

wyznać mu prawdy. Jeszcze nie dzisiaj. Może zanim zrujnuje to, co tak pięknie się między nimi zaczęło, uda jej się skraść jeszcze kilka cudownych wspomnień na przyszłość. – Więc to z tego powodu...

- Nie, Eleonor. Tak mówił, ale nie wierzę w ani jedno jego słowo. Chodzi o coś więcej, prawda, Elly? Proszę cię, powiedz mi.

Nie była jeszcze gotowa na tę rozmowę i chciała się do niej przygotować, ale przyparł ją do ściany.

- Dlaczego uważasz, że istnieje jakiś inny powód?

Jack spojrzał na nią uważnie. Znał ją teraz o wiele lepiej. Wyraźnie widział, że coś jest nie w porządku. Sprawiała wrażenie spokojnej i pogodnej, lecz jej opanowanie było pozorne. Jak zawsze w takich chwilach, schyliła się, żeby rozmasować łydkę.

- Chelfham wspomniał o Jamajce - zaczął, ważąc każde słowo. - Kazał mi się tam przenieść, jeśli zechcę wycofać się z interesu. Ze względów bezpieczeństwa, rzecz jasna. Twierdzi, że napomknęłaś o tym przy jego żonie. Podobno powiedziałaś jej, że się tam poznaliśmy.

- Nic podobnego - odparła stanowczo. - Zamieniłam z nią zaledwie kilka słów. I z pewnością jej się nie zwierzałam. To do niczego nie prowadzi, Jack. Opowiedz mi, co się wydarzyło podczas rozmowy z hrabią. Tak będzie o wiele prościej. I będę wiedziała, na czym stoimy.

- Tak jest, pani generał. Rozkaz to rozkaz. - Wciąż nie mógł uwierzyć, że żarliwa i ufna kobieta, którą trzymał nocą w objęciach, kilka godzin później zamieniła się z powrotem w twardą i nieprzystępną negocjatorkę, tak bardzo przywiązaną do własnych sekretów. Niestety, przyjdzie mu się jeszcze sporo

natrudzić, zanim zdobędzie jej zaufanie.

- Niewykluczone, że człowiek, który wsiadał do powozu to prawdziwy przywódca Czerwonych - oznajmił na koniec, streściwszy jej przebieg spotkania z Maddoksem. - Jeśli wierzyć Chelfhamowi ich działalność obejmuje znacznie większe obszary, niż nam się wydaje. W każdym razie nie chodzi wyłącznie o przemyt. Moim zdaniem zajmują się nim, bo zapewnia stosunkowo łatwy i duży zarobek. Innymi słowy, mogliśmy niechcący włożyć kij w mrowisko.

Skinęła głową, po czym wróciła do zupełnie innego wątku jego opowieści.

- Naprawdę kazał ci zabić Phelps'a i Ecclesa? Zwyczajnie ich zamordować? Przecież jeden z nich to rodzony brat jego żony... Boże, co to za okropny człowiek. Jak można być tak zepsutym i podłym? Zgodziłeś się?

- Nic. To znaczy, nie powiedziałem ani tak, ani nie, co w języku hrabiego prawdopodobnie znaczy tak. A wracając do przywódcy, myślę, że powinniśmy powiadomić o nim Ainsleya. Jeżeli istotnie jest aż tak wpływowy i bogaty, jak twierdzi Maddox, to chyba będziemy musieli zawiesić działalność Czarnego Ducha. Przynajmniej na jakiś czas. Ci ludzie są bezwzględni, gotowi wyrznąć nas do nogi.

- Ojciec nigdy się na to nie zgodzi. Mieszkańcy Romney Marsh są bez nas zupełnie bezbronni. Wiele im zawdzięczamy, a oni liczą na naszą pomoc i opiekę. Boże... a wydawało się, że najgorsze mamy za sobą. Kiedy w zeszłym roku... - Urwała gwałtownie i spuściła wzrok.

Poderwał się z kanapy i podszedł do okna.

- Kolejna wielka tajemnica, którą nie wolno ci się podzielić z najętym parobkiem?

- Tak. Nie! To znaczy... Uwierz mi, Jack, nikt się nie spodziewał, że sprawy aż tak się skomplikują. A ja... ja chciałam tylko zobaczyć... przekonać się na własne oczy... - Wzięła głęboki oddech i zebrała się w sobie. Nie było już odwrotu. - Rawley Maddox jest moim stryjem, Jack - oznajmiła, patrząc mu prosto w oczy.

Eastwood stanął jak wryty, bo na chwilę oniemiał. Wszystkiego się spodziewał, ale z pewnością nie tego. Usiadł ciężko i oparł łokcie na kolanach.

- Chelfham jest twoim stryjem... - powtórzył z niejakim niedowierzaniem. - I wiedziałaś o tym od samego początku? Ainsley też wiedział? Chryste, po co ja w ogóle pytam? Oczywiście, że wiedzieliście. Słodki Jezu...

Usłyszała w jego głosie rozgoryczenie i nie miała odwagi spojrzeć mu w twarz.

- Tak, wiedzieliśmy - potwierdziła tonem pozbawionym emocji. - To znaczy... z początku nie wiedzieliśmy. Przez pierwszych dziesięć lat nie mieliśmy o tym pojęcia, ale potem... gdy dorastałam, zaczęłam mieć te dziwne sny i... powoli wracały do mnie różne rzeczy... szczegóły, o których jako dziecko pewnie starałam się za wszelką cenę zapomnieć. Miałam jakieś osiemnaście lat, kiedy przypomniałam sobie swoje prawdziwe nazwisko. Czytałam wtedy jakąś książkę. Jej bohaterka miała takie samo imię jak ja i nagle mnie oświeciło. W pewnym momencie postanowiłam przelać stare wspomnienia na papier.

- Malowałaś je - stwierdził, spoglądając na leżące na kanapie portfolio. - To dlatego znalazłem wśród twoich akwareli rezydencję hrabiego. - Podsunął sobie krzesło i usiadł naprzeciwko niej. Robił, co w jego mocy, żeby zachować spokój.

- Zakładam, że ktoś sprawdził, czy to ten sam dom i czy należy do człowieka, którego zapamiętałaś z dzieciństwa?

Skinęła głową.

- Kiedy przypomniałam sobie nazwisko, wiedzieliśmy, od czego zacząć. Reszta poszła gładko. Stryj odziedziczył tytuł mojego prawdziwego ojca i był nawet na miejscu, kiedy Jacko zapuścił się do jego posiadłości na... zwiad. Moje rysunki okazały się wyjątkowo dokładne. Ponoć wiernie oddawały rzeczywistość. Zyskaliśmy pewność, że Maddox jest moim krewnym, ale zdecydowaliśmy wspólnie, że nie ma sensu odnawiać znajomości ani rościć jakiegokolwiek praw. Byłam... Jestem szczęśliwa tu, gdzie jestem. W Becket Hall niczego mi nie brakuje, a kochającą rodzinę już mam.

Jack przyjrzał się dokładnie jej twarzy. Zapragnął ją przytulić, ale w tej chwili wyglądała tak krucho i bezbrinnie, że postanowił oprzeć się pokusie. Pozwoli jej mówić.

- Chcę się upewnić, czy dobrze rozumiem. Powiedziałaś, że Rawley Maddox odziedziczył tytuł, czyli twój ojciec był starszym synem. To znaczy, że jesteś córką poprzedniego hrabiego. Mimo to Ainsley uznał, że nie warto dochodzi twoich praw?

Udawał spokojnego i niewzruszonego, ale Elly wiedziała, jak bardzo jest podenerwowany. Zatajając przed nim prawdę, dotknęła go do żywego. Musiało go to zboleć.

- To nie była jego decyzja. Chciał to zrobić... Nawet nalegał, ale ubłagałam go, żeby porzucił ten pomysł. U Becketów miałam... mam wszystko, czego mi trzeba. A moje wspomnienia o stryju nie były miłe. Wręcz przeciwnie. Wiedziałam, a raczej czułam intuicyjnie, że to nieszczerólnie sympatyczny człowiek. Poza tym nie mogę potwierdzić swojej tożsamości. Nie

zachowały się żadne dokumenty poświadczające, że nosiłam niegdyś nazwisko Maddox. A gdyby jakimś sposobem udało mi się to nazwisko odzyskać, musiałabym wyjechać z Romney Marsh i opuścić Becketów. A to ich uważam za swoją prawdziwą rodzinę. Nie zniosłabym rozłąki.

- To zrozumiałe. Uratowali cię z tonącego statku, przygarnęli i otoczyli opieką.

- Właśnie - potwierdziła zwięźle, nie wdając się w szczegóły przerażającego wydarzenia, którego wolałaby nie pamiętać. - Możliwe, że wówczas postąpiłam zbyt pochopnie. W każdym razie, kiedy podsłuchiwałam pod drzwiami waszą rozmowę i usłyszałam nazwisko stryja, zrozumiałam, że jednak chcę go zobaczyć. Nie po to, żeby rościć prawa do jego majątku, czy sprawiać jakiegokolwiek kłopoty, tylko po prostu... żeby przekonać się na własne oczy, jaki naprawdę jest. W dodatku właśnie wtedy okazało się, że może być naszym wrogiem. Musiałam się upewnić, co to za człowiek. Rozumiesz mnie, prawda?

- Nie wiem, Eleonor. Skoro jesteś przekonana, że podjęłaś rozsądną decyzję, to dlaczego ją przede mną zataiłaś? Dlaczego nie powiedziałaś mi wszystkiego wcześniej? Twoje kłamstwa i przemilczenia też były twoim zdaniem rozsądne? Chryste, jak mogliście postąpić tak beztriosko i nieostrożnie? Czy Ainsley w ogóle o ciebie nie dba, do pioruna? Od początku zakładaliśmy, że Maddox to groźny i nieobliczalny człowiek, przywódca Czerwonych, a mimo to, twój papa jak gdyby nigdy nic pozwolił ci tu ze mną przyjechać. Na miłość boską, to tak, jakbyś wchodziła na własne życzenie do jaskini lwa! Nie przyszło wam do głowy, że stryjcio jakimś cudem cię rozpozna? Owszem, minęło wiele lat, ale to wcale nie jest niemożliwe.

Możesz być przecież podobna do matki albo do ojca, których dobrze znał. Jak mi Bóg miły, Eleonor, czasem mam wrażenie, że wy Becketowie wszyscy jesteście pomyleni. Mnie też najwyraźniej brakuje piątej klepki, skoro się z wami zadaję. Ba! Jestem jeszcze bardziej szalony niż wy, bo trzymam z wami, choć wiem, że już dawno powinienem był wziąć nogi za pas.

- Jesteś wzburzony. Przykro mi, że tak cię to rozzłościło. - Nie mogła znieść tego, jak na nią patrzył. Był taki rozżalony i... rozczarowany. Zły na całą jej rodzinę, ale przede wszystkim na nią. To ona sprawiła mu największy zawód. Sądził, że mu nie ufa, że nie jest dość dobry, żeby mu ufać.

- Wzburzony? Rozłoszczony? To zbyt łagodnie powiedziane. Obawiam się, że te dwa wyświechtane słowa w żadnej mierze nie oddają stanu moich emocji. Nie masz pojęcia, co w tej chwili czuję. Ale to, że mam szczerą chęć zrobić coś gwałtownego, nie oznacza, że raptem przestałem myśleć. Kto jeszcze jest z nami w Londynie? Kogo przysłaliście z Becket Hall, żeby mnie pilnował i śledził każde posunięcie Chelfhama? Zostałem już wtajemniczony, więc kiedy się z tobą następnym razem skontaktują, możesz śmiało zaprosić ich na kolację.

Zamrugła kilka razy, wyraźnie zaskoczona pytaniem. Po krótkim namyśle, uznała, że nie może mu się dziwić.

- Nie wiem, czy jest z nami jeszcze ktoś z rodziny. Nikt się ze mną nie kontaktował. Ale masz rację, ojciec na pewno chciał, żebym była bezpieczna, a skoro tak, to pewnie kogoś za nami posłał...

- Naturalnie. Jeden wynajęty sługus, taki jak ja, nie potrafiłby rzetelnie o ciebie zadbać. Na wszelki wypadek trzeba było postarać się o posiłki. Szkoda tylko, że owe posiłki nie zauważyły w porę płonącej cegły, kiedy ta zmierzała w stronę

mojego okna. Niewiele brakowało, a spaliłby mi się dom. Chyba będę musiał poskarżyć się twojemu papie, kiedy się z nim znów zobaczę.

- Mój Boże, co za okropna sytuacja! - Wstała i przeszła za sofę, jakby tam mogła się ukryć przed bolesną rzeczywistością.
- Przepraszam, że cię w to wplątałam. Ogromnie mi przykro, Jack. My... naprawdę nie wierzyliśmy, że moja obecność tutaj tak bardzo wszystko skomplikuje. Ty z kolei wcale nie byłeś pewien, czy Chelfham jest członkiem gangu. Mówiłeś tylko, że go podejrzewasz, pamiętasz? Teraz twierdzisz, że hrabia, wie, kim jestem. Możliwe, że tak, ale nie mamy co do tego pewności. Nie wykluczam, że mówił prawdę, kiedy twierdził, że za mną nie przepada. Ustaliliśmy już, że współpracuje z Czerwonymi i chce, żebyś do niego dołączył. A jego żona rzeczywiście nie lubi... kalek. Sama rzuciła mi to w twarz. - Tylko to ostatnie było prawdą, w resztę raczej wątpiła.

Poderwał się z krzesła i zaczął chodzić po pokoju.

- Owszem, możemy to sobie naiwnie powtarzać. Do znudzenia. Tylko po co? To mniej więcej tak samo prawdopodobne jak to, że Maddox jest uroczym i nieszkodliwym dżentelmenem z wyższych sfer. Proponowałbym jednak stawić czoło faktom. Jestem pewien, że hrabia cię rozpoznał. Być może sam jeszcze tego nie wie, nie zna nawet twojego nazwiska, wie za to, że cię tu nie chce. Pewnie przypominasz mu swoją matkę i dlatego podświadomie próbuje się ciebie pozbyć. Czuje się przy tobie niezręcznie i to bynajmniej nie dlatego że utykasz.

- Wiem, że nie to miałaś na myśli.

- Świetnie, dobre i to. Sprawdźmy, czy zgadzamy się w czymś jeszcze.

Zwilżyła nerwowo wargi.

- Na przykład w czym?

- Nie wiedzieć czemu, wbiłem sobie do głowy, że Chelfham mógł mieć coś wspólnego z przedwczesną śmiercią twoich rodziców. W końcu dzięki niej zyskał tytuł i, jak miemam, pokaźną fortunę. Ale to przecież niemożliwe, skoro oboje zatonęli na statku? Chociaż, zaraz... podczas sztormu wybuchł także pożar, prawda? A nasz hrabia, zdaje się lubi, pożary... Czy tak właśnie było? I jeszcze jedno, płynęliście na Jamajkę, prawda? Albo z Jamajki?

Uniosła rękę do skroni. Raptem rozboleła ją głowa. Naciskał, a ona coraz bardziej gubiła się w półprawdach.

- Mówiłam ci już. Byłam dzieckiem. Niewiele pamiętam z tamtego dnia.

- Statek nigdzie nie dopłynął, ani tu, ani na Jamajkę. Chelfham słusznie uznał, że zatonął. Tylko dzięki temu mógł oficjalnie uznać brata za zmarłego i zostać kolejnym hrabią. Uśmiechnęło się do niego szczęście. Na długie lata. Do czasu, kiedy znów się pojawiłaś. Spotkał młodą kobietę w wieku swojej bratanicy, w dodatku uderzająco podobną do zmarłej bratowej. Zaczął się zastanawiać, ale musiał się upewnić, więc... Chryste, Eleonor, zastawił na mnie pułapkę, a ja... wpadłem w nią jak śliwka w kompot! Kiedy dziś rozmawialiśmy, wspomniał o Jamajce. Potwierdziłem, że właśnie tam się poznaliśmy. Gdybym tylko wiedział, że... Do diabła, czemu mi nie powiedzieliście?!

Zmarszczyła czoło, ale nadal robiła dobrą minę do złej gdy.

- Nie sądziliśmy, że to ważne. Naprawdę uważasz, że mnie rozpoznał? To raczej mało prawdopodobne. Nie widział mnie od piętnastu lat.

- Mało prawdopodobne? A to niby dlaczego? Ja podobno wyglądam wypisz wymaluj jak ojciec, kiedy był w moim wieku. Wszystko jest możliwe. A skoro odkrył, kim jesteś i nie rzucił ci się z radości na szyję, wypada nam przyjąć, że twój powrót mocno wytrącił go z równowagi. To z kolei oznacza, że się boi, bo ma coś na sumieniu. Powiedz mi wszystko, Eleonor, w przeciwnym razie wpędzimy się w jeszcze większe kłopoty. Kto wie, co mu strzeli do głowy. Jest nieobliczalny.

Nie mogła wyjawić mu całej prawdy. Jeszcze nie teraz.

- Rozmawialiśmy kiedyś o dziedziczeniu tytułów?

- Pamiętam. Wyjaśniałaś mi różnice pomiędzy... Zaraz, chcesz powiedzieć, że tytuł Maddoksów może być dziedziczony przez kobiety?

Uśmiechnęła się wyrozumiale.

- Nie, to bardzo niespotykane. Chodziło mi raczej o to, że sporo się na ten temat naczytałam. Miałam mnóstwo czasu i, rzecz jasna, skupiłam się wyłącznie na kwestiach dotyczących bezpośrednio rodziny Maddoksów. Dzięki pomocy papy, wiem praktycznie wszystko. Okazuje się, że mój prawdziwy ojciec nie przepadał za bratem, dlatego praktycznie wszystko - poza tytułem oraz dziedziczonym z nim majątkiem - zostawił matce i mnie. Tyle że matka zginęła razem z nim... Ostatecznie miałam dostać dwie niewielkie nieruchomości, posiadłość w Londynie oraz pokaźną sumę pieniędzy.

- To dlatego Maddox nie ucieszył się na twój widok. Ty i twoja matka w oficjalnych rejestrach figurujecie jako zmarłe. Wystarczy więc, że pozostaniesz „martwa”, a nie będzie musiał niczym się z tobą dzielić.

- Otóż to. Przy obecnym stanie prawnym to on jest jedynym spadkobiercą ojca. Mogłabym walczyć o swoje prawa, ale to by

oznaczało długą batalię w sądach. Wolałam postawić na święty spokój i zapomnieć o całej sprawie.

- A mogłaś sobie na to pozwolić, bo twój przybrany papa też jest bajecznie bogaty... - Zażartował, lecz niemal natychmiast zrzędała mu mina. - Ale... nie chodziło chyba o twoją nogę? To nie przez nią podjęłaś taką decyzję, prawda? Mam nadzieję, że nie, bo nie ma powodu, żeby coś takiego... taka niewielka niedogodność w jakikolwiek sposób cię ograniczała.

- Cieszę się, że tak myślisz. - Uśmiechnęła się. - Z drugiej strony, nie jestem taka jak Morgan. Nie odczuwam żądy przygód. Nie muszę nikomu niczego udowadniać i nie zamierzam się dla nikogo zmieniać. Lubię siebie taką, jaka jestem. Żałuję tylko, że nie powiedziałam ci o wszystkim wcześniej. Postąpiłam głupio i samolubnie. W dodatku przez swoją bezmyślność naraziłam cię na niebezpieczeństwo.

- Siebie też. - Gniew Jacka powoli się ulatniał. W jego miejsce pojawił się smutek. I żal. Czuł, że Eleonor coraz bardziej się od niego oddalała. Jeśli szybko czegoś nie zrobi, wymknie mu się z rąk na dobre.

Westchnęła ciężko i zmusiła się, żeby wypowiedzieć słowa, których tak się obawiała. A raczej obawiała się tego, co może usłyszeć w odpowiedzi.

- Masz rację. Oboje mogliśmy przeze mnie ucierpieć. Teraz pewnie zechcesz odesłać mnie do domu? Jeśli tak, zrozumiam. Wiem, że nie masz ze mnie żadnego pożytku, i nie chcę ci więcej przeszkadzać.

Podszedł do niej i wziął ją za rękę.

- Nie puszczę cię samej w drogę. To wykluczone. Nie zaryzykuję, że Chelfham pojedzie za tobą i... zrobi ci jakąś krzywdę. Nie znam jego zamiarów, ale wiem, jak bardzo zależy

mu na tym, żeby natychmiast nas rozdzielić. Mnie zatrzymać w mieście, a ciebie posłać w pojedynkę w daleką podróż.

Jej oczy zrobiły się wielkie jak spodki.

- Zrobi mi... krzywdę? Sądzisz, że próbowałyby mnie zabić? - Zabrała dłonie i odwróciła się do niego plecami. - Nawet nie wiesz, jak często żałuję, że przypominałam sobie dzieciństwo. I że komukolwiek o tym powiedziałam. Wolałabym niczego nie pamiętać. Kiedy nie wiedziałam nic o swoim pochodzeniu, byłam o wiele szczęśliwsza.

Stanął za nią i objął ją ramionami. Gdy przyciągnął ją do siebie i poczuł, że nie stawia oporu, w jednej chwili przeszła mu cała złość. Teraz jedyne, na czym mu zależało, to aby podnieść ją na duchu.

- Miałem rację, prawda? To nie byłby pierwszy raz? Chelfham już kiedyś próbował cię skrzywdzić? Proszę, powiedz mi całą resztę. Jestem pewien, że to jeszcze nie wszystko. Opowiedz mi, co się wydarzyło na statku. Nie było żadnego sztormu. Tylko pożar... Zostaliście zaatakowani.

Oparła się o niego całym ciężarem i zacisnęła powieki.

- Nie prosz mnie o to. Nie mogę... nie potrafię... o tym mówić. Nie dziś. Przyjmijmy, że się nie mylisz i dajmy temu spokój. - Odwróciła się i spojrzała mu w oczy. - Proszę, nie każ mi o tym opowiadać...

- Dobrze - odparł, głaszcząc ją po policzku. - Nie umiem ci niczego odmówić. Ale nigdzie beze mnie nie pojedziesz. I obiecasz mi, że nie ruszysz się stad ani na krok. Zostaniesz w domu pełnym służby. Za jakieś dwa, może trzy dni pojedziemy do Becket Hall razem. Do tego czasu Cluny i ja powinniśmy znaleźć czarny powóz, o którym ci mówiłem. Szczęcę się tym, że jestem rozsądny i zaradny, ale sprawa

okazała się poważniejsza, niż przypuszczaliśmy, i musimy połączyć siły. Chciałbym naradzić się z Ainsleyem i twoimi braćmi. Wspólnie ustalimy dalszą strategię działania.

- No i nie chcesz nikogo zabić... - powiedziała, na próżno usiłując się uśmiechnąć. - Między innymi dlatego pilno ci, żeby stąd wyjechać, prawda?

- Hm, cóż, nie przepadam za Phelpsem i Ecclesem, ale nie widzę najmniejszego powodu, żeby ich zabić. Nie jestem mordercą. Za to twój stryj...

- Proszę cię, nie nazywaj go moim stryjem. Gdyby to ode mnie zależało, wolałabym nie mieć z nim nic wspólnego.

- Nie dziwię ci się. Chelfham to wyjątkowa kanalia. Ale dość o nim. Nie mam ochoty dłużej tego roztrząsać. Nie dziś.

- Ja też nie - odrzekła i popatrzyła na niego z zakłopotaniem, gdy uniósł jej rękę do ust.

- W takim razie, porozmawiajmy o nas - szepnął, po czym pociągnął ją za sobą na korytarz.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Eleonor wpadła w popłoch dopiero na półpiętrze, kiedy zorientowała się, że Jack prowadzi ją wprost do sypialni. Rety, jest przecież sam środek dnia! Co on sobie, do licha, myśli? Nie przyszło mu do głowy, że w każdej chwili może ich nakryć służba? Musiała jednak przyznać, że marzyła o tym, aby znowu poczuć jego bliskość i zatonać w jego ramionach. Czemu więc miała skrupuły? Dlaczego nie potrafiła zapomnieć o konwenansach i odrzucić wątpliwości? Czemu nie umiała być taka jak Morgan? Jak inni Becketowie?

Jack z każdym krokiem wyczuwał coraz większy opór Eleonor. Kiedy zbliżyli się do drzwi, usztywniła się i niemal stanęła w miejscu.

Zdaje się, że jedna noc nie wystarczyła, żeby wyzbyła się zahamowań. Wyglądała jak owca prowadzona na rzeź. Nie świadczyło to zbyt dobrze o jego biegłości w sztuce kochania.

- Mówiłaś, że Treacle wezwał szklarza? - zagadnął, żeby odwrócić jej uwagę.

- Och, tak - odparła pospiesznie. - A pani Henderson wyczarowała na strychu śliczne nowe zasłony, ale nie możemy ich jeszcze zawiesić. Musimy poczekać, aż zreperują ścianę. Wiem, że to spory wydatek, ale...

- Nie martw się, jakoś go przeboleję - zapewnił i poprowadził ją dalej. - Chodź, sprawdzimy, jakie poczynili postępy.

Otworzył drzwi i wpuścił ją do środka.

Wnętrze nosiło jeszcze ślady pożaru, ale było uprzątnięte

i prawie gotowe do użytku. Nieoceniona panna Becket doskonale wiedziała, jak dyrygować służbą, co więcej sprawiała, że nawet ci najbardziej leniwi dawali z siebie wszystko. Jej wielkie brązowe oczy oraz uprzejmości najwyraźniej czyniły cuda. Gdyby ich ładnie poprosiła, pewnie poszliby za nią do samego piekła.

A najbardziej zdumiewające było to, że w ogóle nie zdawała sobie sprawy ze swoich niemal magicznych mocy. Nieczęsto się zdarza, żeby ktoś miał taką władzę nad ludźmi. Szkoda, że odkrył to dopiero teraz.

- Okropny tu jeszcze bałagan... - odezwała się, wrywając go z zadumy.

Pozbawione kotar okna świeciły pustkami, ale przynajmniej szyby były już całe. Dywany pozwijano i przesunięto w kąt, żeby zreperować nadpaloną podłogę.

- Niewiele brakowało, a doszłoby do tragedii - stwierdził, podchodząc do osmolonej ściany. - Ogień to największa zhora tego miasta. Mieszkańcy okropnie się go boją.

- Zwłaszcza od czasu wielkiego pożaru w tysiąc sześćset sześćdziesiątym szóstym. Czytałam o nim. W jedną noc spłonęło niemal całe miasto. Burmistrzowi nie chciało się wstać z łóżka, kiedy powiadomili go, że się pali. Dasz wiarę?

- Cóż, niektórzy myślą tylko o własnej wygodzie. Nie kiwnął palcem przez kilka godzin i między innymi dlatego ogień tak szybko się rozprzestrzenił. Wiesz, od czego się zaczęło?

Stała obok niego i wyjrzała na zewnątrz.

- Zawistny piekarz postanowił spalić piekarnię swojego rywala i sąsiada. Ja też od razu dostrzegłam podobieństwa. Gdyby mnie i Beatrice nie było w pokoju, mogłoby się skończyć fatalnie. A dom Chelfhama stoi zaledwie dwie ulice stąd.

- Istotnie - zgodził się pełen podziwu dla jej błyskotliwości. Bystry umysł Eleonor błyskawicznie kojarzył fakty. Jack uwielbiał jej sposób myślenia i cenił sobie jej zdanie. - Zdaje się, że nie pomyślał o konsekwencjach. Postąpił impulsywnie.

- Właśnie. Zwykle działa pochopnie i krótkowzrocznie, bo ma na względzie wyłącznie własne interesy. Myśli jak zachłanne i rozpuszczone dziecko. Nie ma zwyczaju analizować skutków swoich posunięć.

Skinął głową.

- Nie inaczej. Zuchwalec robi, co chce, i uważa, że wszystko ujdzie mu na sucho. Nad niczym się zastanawia, więc nie jest szczególnie przewidujący. Kiedy wciągnąłem go dziś w ciemną uliczkę, był autentycznie zaskoczony. Nie przyszło mu nawet do głowy, że mogę zdybać go gdzieś samego i spróbować zrobić mu krzywdę.

- Oczywiście, że był zaskoczony. Po przeczytaniu listu od Mirandy miałeś się wystraszyć i przybiec do niego z podwiniętym ogonem, a nie po to, żeby mu się odgrażać. Postąpiłeś inaczej, niż sobie założył, a przecież zwykle stawia na swoim.

Trudno się było z tym nie zgodzić.

- Jeżeli czegoś nie ma w jego planach, to owo coś po prostu nie ma prawa się wydarzyć. Nasz arogancki hrabia wykazuje zdumiewający brak zapobiegliwości. Myślisz, że moglibyśmy wykorzystać to przeciwko niemu?

Elly była w swoim żywiole. Uwielbiała snuć plany i omawiać strategię działania. Od dziecka słuchała opowieści ojca o starożytnych wojnach i słynnych przywódcach wielkich armii. Od Juliusza Cezara, po Machiavellego, Waszyngtona, Wellingtona i czy Napoleona. Prowadzenie wojny było jak partia

szachów. Dobry przywódca musiał znać położenie każdego pionka na szachownicy, od tego zależało życie jego ludzi.

Ainsely, tak jak Jack, wierzył kiedyś, że aby pokonać człowieka, wystarczy znać jego słabości. Niestety przekonał się boleśnie, że czasem to za mało. Przyzwoity człowiek rzadko jest w stanie walczyć z wcielonym złem. Zło jest zbyt nieprzewidywalne i bezwzględne.

Na szczęście Chelfham nie był potworem. Nazwałaby go raczej zadufanym w sobie głupcem. Tak czy owak, nie powinni go lekceważyć. Nigdy nie wolno lekceważyć przeciwnika.

- Kazał ci zamordować szwagra i Gilberta Ecclesa, bo nie lubi brudzić sobie rąk. Wysługuje się innymi, żeby wyręczali go w brudnej robocie. Wiemy zatem, że jest z natury tchórzliwy i stroni od bezpośrednich konfrontacji.

Kiedy przeszkodziła im pokojówka, która przyszła wytrzeć kurze, Jack pociągnął Eleonor na korytarz, po czym wprowadził ją do swojego pokoju.

- Zgodziliśmy się, że hrabia nie grzeszy przezornością - kontynuowała, siadając na kanapie. Była tak zaabsorbowana rozmową, że nie zwracała uwagi na otoczenie. Nawet nie zauważyła, że zmienili lokum. - Zwykle przyjmuje jeden prosty plan działania i nie dopuszcza myśli, że coś może pójść nie tak. Żeby go pobić, należy wprowadzić element zaskoczenia. Przechytrzymy go, jeśli zrobimy coś, na co nie jest przygotowany. Trzeba tylko już na początku zmylić trop.

- Rozumiem - podchwycił Jack. - Każemy mu myśleć, że przypuścimy atak z morza, a zaatakujemy od strony lądu.

- Dokładnie coś takiego miałam na myśli. Po dzisiejszej rozmowie jest przekonany, że chcesz zostać jego współnikiem, prawda?

- Owszem, ale nie zapominaj, że postawił mi warunek nie do przyjęcia. Żeby wkupić się w jego łaski, musiałbym zamordować Phelpsa i Ecclesa.

- Racja. W takim razie... trzeba będzie wymyślić coś innego...

- Dobrze, ale błagam, nie teraz. Nie mam ochoty dłużej o nim dyskutować. Zadzwoń po herbatę.

Niewiele myśląc, uniosła dłoń, żeby go powstrzymać.

- Nie dzwoń. Wystarczy, że zajrysz do mojego pokoju. Cały czas jest tam pokojówka. Nie ma sensu, żeby służba biegała tam i z powrotem po schodach, kiedy nie ma takiej potrzeby.

Spojrzał na nią ze zdumieniem, ale szybko zrozumiał, że mówiła śmiertelnie poważnie.

- Od tego właśnie jest służba. Płacę im między innymi za „bieganie po schodach”.

- Och, naturalnie, płacisz im, ale czasem warto postawić na zdrowy rozsądek, nie uważasz?

Pogładził się po karku i popatrzył na nią z namysłem.

- Nie są już zamknięte na klucz? - zapytał, skinąwszy w stronę drzwi. - Mógłbym przejść korytarzem, ale wtedy będzie szybciej. I rozsądniej.

Zarumieniła się po czubek nosa.

- Żartujesz sobie ze mnie... Naturalnie, że nie są zamknięte na klucz. Obiecałeś mi herbatę, więc bądź łaskaw o nią poprosić. I może niech pani Ryan wyczaruje coś słodkiego...

Kiedy została sama, natychmiast poczuła, że znów się denerwuje. Siedziała w sypialni Jacka, tuż przy łóżku, które dzielili ubiegłej nocy. Tyle że teraz był sam środek dnia, w dodatku za ścianą krzątała się służba. Poderwawszy się na nogi, zaciągnęła w oknach zasłony i wróciła pospiesznie na kanapę.

Chwilę później wrócił Jack.

- Możesz być z siebie dumna, żono - oznajmił, przekręciwszy w zamku klucz. - Mamy dziś najbardziej zadowolonych służących w całym Mayfair.

Za każdym razem, kiedy mówił do niej „żono”, drżała na całym ciele. A on pewnie doskonale o tym wiedział, szelma.

- Naprawdę? A to czemu?

- Powiedziałem im, że mają na dziś wolne, a w każdym razie nie muszą zajmować się sprząaniem twojej sypialni. Za chwilę podadzą herbatę i ciastka, a potem mają nam nie przeszkadzać aż do kolacji. Pani Ryan obiecała mi rano, że przygotuje na dziś coś wyjątkowego. Mamy czas do ósmej.

- Boże, Jack... - jęknęła zawstydzona. - To okropnie krępujące. Domyślą się, że ich odprawiłeś, żebyśmy mogli... zostać sami...

- Przypominam, że w ich oczach jesteś moją żoną - stwierdził, zapalając kilka świec.

- Ale oboje wiemy, że to nieprawda. - W blasku płomieni jego twarz wydawała się jeszcze przystojniejsza niż zwykle.

Jack otworzył usta, żeby odeprzeć jej argument, choć, prawdę mówiąc, nie miał zielonego pojęcia, jak to zrobić. Na szczęście rozległo się pukanie do drzwi, które wybawiło go z opresji.

Pani Henderson postawiła tacę na stoliku i spojrzała podejrzliwie na Eleonor.

- Czy mi się zdawało, czy wyglądała na zdenerwowaną? - zainteresował się Jack, kiedy gospodyni dygnęła i wyszła na korytarz.

- Kiedy rano przyszła pomóc mi się ubrać, zorientowała się, że jestem nieco przygnębiona, to znaczy... odrobinę nieswoja...

Uniósł brew, po czym przysunął sobie krzesło i usiadł

naprzeciwnie.

- Byłaś przygnębiona? Naprawdę? A to czemu?

Wyprostowała się i nakazała sobie spokój.

- Nie mówię, że byłam, ale mogła to tak odebrać.

- Pani Henderson mogła pomyśleć, że byłaś przygnębiona.

A może rozłoszczona? Wystraszona? Albo, co gorsza, rozżalona?

Tym razem to ona zmarszczyła czoło.

- Rozżalona?

- Tak, może żałujesz tego, co zrobiliśmy?

- Żałuję?! Niby dlaczego miałabym żałować? Oczywiście, że nie. Boże, ależ ty jesteś nieznośny!

Uśmiechnął się szeroko.

- Tak, wiem, już mi to mówiłaś.

- Widocznie miałam powody.

Odetchnął z niejaką ulgą. Przynajmniej nie wyglądała już tak, jakby miała ochotę uciec.

- Wybacz, obiecuję, że się poprawię. Powiesz mi, czemu rano byłaś smutna?

Spojrzała na tacę, ale na widok słodczy raptem zrobiło jej się niedobrze.

- Bo cię nie było...

Powiedziała to tak cicho, że ledwie ją usłyszał.

- Nie było mnie? Gdzie mnie nie było?

Prychnęła i przewróciła oczami.

- Och, na litość boską, Jack! Tutaj. Ze mną! Obudziłam się, a ciebie nie było!

Zadowolony z siebie rozparł się na krześle.

- A chciałaś, żebym z tobą był? - zapytał z szerokim uśmiechem.

Spuściła wzrok i zerknęła na paterę z ciastkami. Miała

szczerą ochotę rozetrzeć mu jedno z nich na twarzy. Zamiast tego jednak postanowiła wznieść się na wyżyny wyrozumiałości.

- Cóż z pewnością uznałabym to za miły gest.

- Na swoją obronę wspomnę tylko, że pożegnałem się, zanim wyszedłem. Cmoknąłem cię w ramię, a ty się uśmiechnęłaś i wtuliłaś z powrotem w poduszkę. Kusiło mnie, żeby zostać. Nawet bardzo.

- Och, jak to... ładnie z twojej strony... - Zaczepnęła głęboko tchu, usiłując się uspokoić. - Może napijesz się herbaty? - zapytała nagle, sięgając po imbryk. Zrobiła to zbyt gwałtownie i strąciła naczynie na podłogę. - Boże, co ja narobiłam - mruknęła, spojrzawszy na rozlany na dywanie wrzątek.

- Zostaw, proszę. Ja to zrobię. - Odsunął jej dłoń, gdy chciała dotknąć rozgrzanego dzbanka.

Przytaknęła i usiadała z powrotem na kanapie.

- Nigdy nie bywam niezdarna! - zawołała ze zgrozą i rozzłościła się na dobre. - Nigdy! Słyszysz?! - Tylko on umiał tak skutecznie wytrącić ją z równowagi. - I nie jestem drażliwa! Ani nerwowa! Zapamiętaj to sobie!

Na wszelki wypadek postawił tacę na podłodze.

- Rozumiem, że to wszystko moja wina? Aż tak jestem irytujący i nieznośny...

Nie wytrzymała i poderwała się na nogi. Nie mogła znieść, kiedy tak na nią patrzył.

- Już wczoraj chciałam opowiedzieć ci o stryju - oznajmiła gwoli wyjaśnienia. - Ale potem wybuchł pożar... No a później... sam zresztą wiesz, co się wydarzyło później...

- Owszem coś sobie mogliście przypominam... - Nie powinien stroić sobie żartów, ale zbyt dobrze się bawił. Widok rozstrojonej panny Becket był bezcenny. I niepowtarzalny.

Zapewne nieprędko będzie mu dane oglądać ją znów w takim stanie.

- Pozwolisz mi kontynuować, z łaski swojej? - Zaczęła maszerować po pokoju tam i z powrotem. - Rano powiedzieli mi, że wyszedłeś. A ja przeczytałam list i chociaż byłam pewna, że wrócisz, nie miałam pojęcia, kiedy się ciebie spodziewać. Nie wiedziałam też, co ci powiedzieć ani jak się zachować po tym, co... co robiliśmy. Może powinnam zrobić coś inaczej niż zwykle? Milczeć? A może udawać obojętność, jakby nic między nami nie zaszło?

Ulitował się i chwycił ją za ramiona, żeby przerwać jej nerwowy monolog.

- Eleonor... Już dobrze, uspokój się. Sądziłem, że to zabawne zobaczyć cię dla odmiany roztrzęsioną, ale już zmieniłem zdanie. Zwłaszcza że to przeze mnie tak się denerwujesz. Nie martw się tym nieszczęsnym listem. Już o nim rozmawialiśmy, a o reszcie porozmawiamy innym razem... Kiedy zaufasz mi na tyle, żeby podzielić się ze mną prawdą o swoim życiu.

- Ależ, Jack, to nie jest kwestia zaufania. Wiesz przecież, że ci ufam...

- **Ćśś...** Wrócimy do tego później. Teraz pomówimy o tym, co między nami zaszło.

Elly z miejsca wpadła w popłoch.

- O mój Boże, wiedziałam! Wiedziałam, że będziemy o tym rozmawiać. Czy naprawdę musimy? Nie moglibyśmy po prostu...

- Musimy - przerwał jej w pół słowa. - Zwłaszcza jeśli będziesz podskakiwać jak oparzona za każdym razem, kiedy się do ciebie zbliżę. Kochaliśmy się wczoraj, Eleonor, i może dlatego czujesz się dziś odrobinę nieswojo. Pamiętaj jednak, że

nie zrobiliśmy nic złego. Chyba że... chyba że dziś tego żałujesz...

- Nie, nie żałuję - powiedziała z wolna, spoglądając na niego swoimi niesamowitymi, wielkimi oczami. Gdyby wiedziała, jak wielką mają moc, używałaby ich częściej. Te oczy mogły wymóc na nim wszystko. - A ty? Może to ty żałujesz?

Uśmiechnął się, potrząsając głową.

- Nie, ale przyznam, że martwi mnie, co powie Jacko. Pamiętasz, odgrażał się, że jeśli spadnie ci włos z głowy, osobiście mnie wypatroszy. - Odgarnął jej za ucho niesforny kosmyk. - I zrobi mi z trzewi nowy szalik.

Przegarnęła palcami krótko wystrzyżoną czuprynę, a potem się uśmiechnęła. Właśnie o to mu chodziło.

- Rety, panie Eastwood, wpadł pan jak śliwka w kompot. Raczej pan się nie wywinie.

- Cóż, przyjmę to z godnością. Na szczęście nie da się zabić człowieka dwa razy. Nie chcę nawet myśleć, jakie przemysłne tortury wymyśliłby dla mnie twój Jacko, gdyby się dowiedział, że zaciągnąłem cię do łóżka.

No i proszę, znów o tym rozmawiali. Nie wiedzieć czemu, zawsze wracali do tego samego tematu.

- A właściwie... dlaczego to zrobiłeś? - wyrzuciła z siebie jednym tchem. Od rana nie dawało jej spokoju.

Nie owija w bawełnę, pomyślał zaskoczony. Będę musiał do tego przywyknąć.

- Jak to dlaczego? - odparł skonsternowany. - Co to w ogóle za pytanie?

- Niestosowne, jak widzę. - Wyprostowała się i popatrzyła na niego tak, jakby chciała rzucić mu wyzwanie. - Ale według mnie jak najbardziej zasadne. Chodziło mi o to, że znamy się od

dwóch lat, a ty nigdy wcześniej nawet na mnie nie spojrzales.

- Nie, Eleonor - zaprotestował ściszym głosem. - Znamy się zaledwie od kilku dni. A ja przez ostatnie dwa lata byłem ślepym idiotą.

- Och, dziękuję. Pięknie to ująłeś.

Żałował, że spuściła wzrok, bo w jej przypadku oczy istotnie były zwierciadłem duszy.

- Nie dziękuj mi. To ja powinienem podziękować tobie. Za to, że mimo wszystko postanowiłaś dać mi szansę. - Pogładził kciukiem po jej policzku. - Przepraszam, że tak długo cię nie dostrzegałem, Eleonor. Pozwolisz mi jeszcze raz się z tobą kochać? Dziś? Albo kiedykolwiek?

Podziałało. Nareszcie podniosła głowę.

- A czy nie po to właśnie tu przyszliśmy?

- Tak. W każdym razie taką miałem nadzieję. - Ujął w dłonie jej twarz. - Powtarzałem sobie, że na pewno za mną tęskniłaś... Że myślałaś o mnie przez cały dzień, tak jak ja myślałem o tobie, o tym, żeby cię dotykać i cało...

Chwyciła go za poły surduta i wspiąwszy się na palce zdrowej stopy, zamknęła mu usta pocałunkiem. Sekundę później przyłgnęła do niego całym ciałem.

Poczuła, że się uśmiechnął i z wrażenia zakręciło jej się w głowie.

W następnej chwili Jack porwał ją na ręce i zaniósł do łóżka. Wkrótce oboje nie mieli na sobie odzienia i leżeli na pościeli przykryci mięciutką satynową pościelą. Jak mu się udało rozebrać nas tak szybko? - zastanawiała się, zerkając na stertę ubrań na podłodze. Jest w tym zatrwająco dobry...

Kiedy przyszedł do niej wczoraj, była zaspana i lekko otumaniona wypitą wcześniej brandy. W dodatku sypialnia

tonęła w całkowitych ciemnościach. Pewnie dlatego miała wrażenie, że śni. Teraz wszystko wydawało się bardziej rzeczywiste. Dziś odkrywała na nowo jego dotyk.

Jack idealnie wyczuwał jej reakcje i bezbłędnie odczytywał zmieniające się nastroje: podenerwowanie i wstyd, zdumienie i zaciekawienie, w końcu odprężenie i ufność.

Całował jej piersi, brzuch, ramiona, każdy odsłonięty skrawek ciała. I cieszył się choćby najmniejszym nieśmiałym gestem, jaki dostawał w odpowiedzi. Elly powoli rozkwitała pod jego palcami i otwierała się na nowe doznania, a on robił wszystko, żeby nauczyć ją pewności siebie.

Powiódł ustami po jej biodrze i udzie. Potem zatrzymał się na moment w zagłębieniu za kolanem. Przypomniawszy sobie napięty mięsień, który rozmasowywał kilka dni temu, i przesunął dłonią po łydce niesprawnej nogi. Po chwili uniósł ją do ust, nie odrywając wzroku od twarzy Eleonor.

- Nie, zostaw - szepnęła i usiadła, zapominając o nagości i wstydzie. Myślała wyłącznie o szpetnej bliźnie na nieruchomej kostce.

Zignorował jej protesty i zatrzymał oczy na źle zrosniętej kości. Na myśl o tym, przez co musiała przejść jako sześćioletnia dziewczynka, ścisnęło go w gardle. Na styku łydki i kostki zauważył okrągły kłęb zaczerwienionej i pofałdowanej skóry. Wyglądało to niemal jak celowo odcisnięte piętno. Jakby ktoś naznaczył ją rozżarzoną kawałkiem żelaza.

Kiedy całował bliźnę, z jej piersi wydarł się cichy okrzyk, przypominający spazm rozpacz. Potem wyciągnęła ku niemu ramiona, prosząc bezgłośnie, żeby mocno ją przytulił. Wiedział, jakie to dla niej trudne, więc o nic nie pytał. Po prostu wziął ją w ramiona i trzymał, jakby już nigdy nie zamierzał puścić.

Niebawem jego czuły dotyk i namiętne pocałunki, na nowo przywróciły ją do życia. Ośmielona, zapomniała o skromności i skupiła się na własnych zmysłach i odczuciach. Jej ciało zaczęło reagować coraz bardziej żywiołowo.

Uwielbiała go dotykać i wodzić palcami po jego skórze. Kiedy wreszcie połączyli się w jedno, poczuła pod powiekami łzy. Oddała mu się cała, bez zahamowań i wątpliwości. Liczył się tylko on, Jack, i ta cudowna chwila, którą pragnęli ze sobą dzielić.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Gdyby ktoś zapytał ją o najszcześniejszy dzień życia albo kazał jej wybrać jedno najpiękniejsze wspomnienie, bez wahania wskazałaby ten wieczór.

Najpierw zjedli pyszną kolację. Pani Ryan znów przeszła samą siebie. Jej znakomite przysmaki wprost rozpląwały się w ustach. Poza tym byli tylko we dwoje, więc mogli do woli i bez skrępowania cieszyć się swoim towarzystwem.

Eleonor była w znakomitym nastroju. Niemal przez cały czas drżała z podekscytowania, być może za sprawą odrobiny wina, którą wypła do posiłku, a może z powodu tego, co miało się wydarzyć jeszcze tej nocy.

Gdy skończyli jeść i wyszli z jadalni, Jack wziął ją na ręce i zaniósł z powrotem na górę. Rozłożywszy przy kominku koc, przez następną godzinę karmił ją winogronami i raczył zabawnymi dykteryjkami ze swoich wspólnych eskapad z Clunym. Ona z kolei zwierzyła mu się, że zawsze chciała być bardziej wygadana i zuchwała, taka jak jej siostra. Jack zażartował, że na miejscu Ethana udusiłby Morgan gołymi rękoma już po tygodniu małżeństwa, i zapewnił Elly, że ona podoba mu się dokładnie taka, jaka jest.

Potem znów się kochali, długo i bez pośpiechu. Kiedy byli razem, czas stawał w miejscu. Wiedziała, że te wspaniałe, wypełnione czułością chwile pozostaną w jej sercu i pamięci na zawsze.

Ale po nocy zawsze nadchodzi dzień, a poranki nie zawsze

bywają spokojne.

- To jedynie wyjście z sytuacji, Jack - stwierdziła nie po raz pierwszy Elly. - Jestem pewna, że się uda, zobaczysz.

Jack nie wytrzymał i wyskoczywszy z łóżka, włożył szlafrok. Był wściekły.

- A jeśli się jednak nie uda? Wzięłaś to pod uwagę? Co wtedy?

- Będziecie na miejscu. Ty i Cluny. Nie pozwolicie, żeby stało się coś złego.

Uśmiechnął się z goryczą.

- Mówisz zupełnie jak nasz znajomy, hrabia Chelfham. Nie dopuszczasz żadnych komplikacji ani możliwości porażki. Niestety w życiu nie zawsze wszystko idzie po naszej myśli. To nie jedna z ksiązek, które studiujesz od dziecka, tylko szara rzeczywistość. Czasem sama wiara w sukces nie wystarczy, a mimo najszczerzych chęci, zdarza się najgorsze.

Poczuła się tak, jakby wymierzył jej policzek.

- Przyznaję, bywa, że sprawy nie układają się po naszej myśli.

- Usiadała i wsunęła stopy w kapcie. - Nie jestem ani głupia, ani naiwna. Doświadczyłam tego na własnej skórze. Jeśli obmyśliłeś lepszy plan, chętnie wysłucham tego, co masz do powiedzenia. Prawda jest taka, że nie możemy sobie pozwolić na zwłokę. Trzeba to zakończyć tu i teraz. Szkoda czasu na powrót do Becket Hall i narady wojenne. Każdy kolejny dzień bezczynności może ściągnąć nam na głowy poważne niebezpieczeństwo.

- Znów cytujesz jakiegoś generała sprzed stuleci? W dodatku takiego, który wygłaszał swoje mądrości dopiero po fakcie? To żadna sztuka. Historia pisana jest ręką zwycięzców, a szkoda, bo od pokonanych moglibyśmy się dowiedzieć znacznie więcej. Człowiek uczy się głównie na błędach. Swoich lub cudzych.

Łatwiej mu unikać pomyłek w przyszłości. Nigdy o tym nie słyszałaś?

Kiedy wkładała koszulę, trzęsły jej się ręce. Miała nadzieję, że tego nie zauważył.

- Chelfham zażądał, żebym zniknęła. Mam wyjechać z Londynu, najlepiej sama, bez eskorty, żeby mógł nasłać na mój powóz jakichś opryszków i raz na zawsze pozbyć się kłopotu. Chyba się co do tego zgadzamy, prawda?

Jack panował nad sobą z najwyższym trudem.

- Nie, Eleonor. Wcale nie mamy co do tego pewności. Niewykluczone, że rzeczywiście chodzi o jego podłą żonę i o to, że ta wiedźma po prostu nie może na ciebie patrzeć.

- Wątpię. To tylko mało wiarygodne wykręty. Nikt nie każe jej mnie oglądać. Wystarczyłoby, żeby Chelfhamowie nie zapraszali mnie do siebie i nie przychodzili z wizytą do nas. Nie muszę w tym celu opuszczać miasta. Przyznasz, że to o wiele prostsze rozwiązanie. Moim zdaniem Chelfham wie, kim jestem, albo się tego domyśla i na wszelki wypadek chce się mnie pozbyć.

- Teraz żałuję, że w ogóle o tym wspomniałem... Nie powinienem był sugerować, że mógł w tobie dostrzec podobieństwo do matki.

- A ja nie powinnam była mówić o Jamajce, ale teraz już nic na to nie poradzimy.

- Wiesz przecież, że Maddox nie pojawi się na drodze osobiście. Rozmawialiśmy o tym. Najmie jakichś zbirów i każe im napaść w lesie na twój powóz, podczas gdy sam postara się, żeby pół Londynu widziało go w tym czasie w innym miejscu. I co na tym zyskamy? Raczej niewiele.

- Owszem wiele. Zyskamy pewność co do jego intencji.

Wziął ją za rękę i podeszli do kominka.

- A także co do tego, że stał za zabójstwem twoich rodziców - dodał, kiedy usiedli naprzeciw siebie na krzesłach. - Zawsze go o to podejrzewałaś, prawda?

- Proszę cię, Jack, nie teraz. Dowiesz się wszystkiego, kiedy wrócimy do Becket Hall. Obiecuję ci. Ale masz rację. Miałam powody przypuszczać, że chciał zamordować nas wszystkich.

- Dobrze, skoro nalegasz, nie będę naciskał. Tak czy owak, nadal nie podoba mi się twój pomysł. Jest zbyt ryzykowny. Zamiast ciebie wolałbym posłać jakąś pokojówkę. Włoży twoje ubranie i zakryje twarz grubą woalką.

- Przykro mi, ale to nie najlepszy pomysł. Jestem za mała, w całym domu nie ma ani jednej służącej o podobnej posturze. Z wyjątkiem najmłodszej posługaczki, ale to jeszcze dziecko, ma zaledwie piętnaście lat. Nie przewiduję, żadnych komplikacji, niemniej... Sam rozumiesz, nie wybaczyłabym sobie, gdyby stała jej się jakaś krzywda. Nie wolno nam jej w to mieszać. Proszę cię, Jack, dajmy już temu spokój. Dobrze wiesz, że to jedyny sposób, żeby zdemaskować mojego stryja.

Dopiero teraz dostrzegł w jej rozumowaniu pewną nieściskość. Wcześniej nie myślał logicznie, bo za bardzo się o nią martwił.

- W tym cały szkopuł, Eleonor. Narazisz się niepotrzebnie na ogromne niebezpieczeństwo, a i tak nie uda nam się go zdemaskować. Wprawdzie pojmiemy jego najemników i zmusimy ich, by wyjawili nazwisko swego mocodawcy, tyle że nic nam z tego nie przyjdzie. Jak sądzisz, komu uwierzą władze, bandzie rzezimieszków czy wpływowemu arystokracji?

- Arystokracji, rzecz jasna. Ale nie martw się, pomyślałam o tym. Przekonamy owych rzezimieszków, żeby zamiast niego, oskarżyli Phelps'a i Ecclesa. Ci dwaj z kolei obwiniają o wszystko

Chelfhama, próbując ratować własną skórę. Im raczej uwierzą, a hrabia na pewno nie wzięł pod uwagę tego, że mogliby go zdradzić. Jest na to zbyt arogancki i święcie przekonany, że w pełni panuje nad sytuacją. Jeśli nam się poszczęści, to właśnie ich wyśle, żeby posłali mnie na tamten świat.

Potarł dłonią podbródek i spojrzał na nią z podziwem.

- Dureń ze mnie! Że też sam na to nie wpadłem. Kiedy wtrąca ich do lochu, Harris i Gilly zaczną śpiewać jak skowronki. Za nic nie pójdą na dno sami. Musisz mi koniecznie pokazać te mądre książki, których naczytałaś się w bibliotece Ainsleya.

Uśmiechnęła się zadowolona, że doszli do porozumienia i pierwszą kłótnię mają już za sobą.

- Dasz radę to zrobić, Jack? Pójdiesz do Chelfhama i oznajmisz mu spokojnie, że zamierzasz odesłać swoją kaleką żonę na wieś?

Skinął głową i na moment pogrążył się we własnych myślach.

- Chyba masz rację. Maddox rzeczywiście daruje sobie płatnych najemników i wysłuży się Phelpsem i Ecclesem. Jego plan zakłada, że oni zabiją ciebie, a potem ja zabiję ich, nie wiedząc nawet, że to oni zamordowali mi żonę. Chytrze to sobie wymyślił.

- Nie da się ukryć - zgodziła się ochoczo. - Jest pazerny i podły, ale nie głupi. Wysługuje się ludźmi, lecz kiedy spełni swoje zadanie, natychmiast się ich pozbywa. Nie jest zdolny wzbudzić w nikim zaufania ani tym bardziej lojalności. Ciebie też zechce kiedyś wymienić na kogoś nowego.

- Nie wątpię. Jest jednak ktoś, kogo Chelfham się boi. Drży na samą myśl o nieznanym z czarnego powozu. Kiedy ty, Gilbert i Harris będziecie już „martwi”, zażadam, żeby mnie do niego zaprowadził. Powiem, że doniosę na niego władzom i zagrozę,

że ujawnię wszystkie jego ciemne interesy.

Elly niechętnie wracała do tej części planu.

- Na początku wpadnie w furję i zacznie się odgrażać, że pociągnie cię na dno za sobą, ale po namyśle ustąpi, bo nie będzie miał wyboru. Zostanie zupełnie sam. Phelps i Ecclesa już nie będzie. Bez wiernych sojuszników sobie nie poradzi. Skontaktuje się więc ze swoim mocodawcą i przyzna się, że samowolnie dopuścił do interesu człowieka, który przez jakiś czas był użyteczny, ale szybko stał się niewygodny. Będzie się domagał, żeby go zgładzić, bo w przeciwnym razie to on wpędzi w tarapaty ich obu.

- Tak - przytaknął Jack. - Tyle że jego pryncypał prawdopodobnie spojrzy na tę sprawę zupełnie inaczej.

Spuściła wzrok i splotła ręce na kolanach.

- A ty będziesz cały czas śledził Chelfhama i obserwował przebieg wydarzeń. Jego tajemniczy, jak go nazwałeś, pryncypał bez namysłu go zabije. I to jak najprędzej, żebyś nie zdążył go znaleźć. Domyśli się, że nie odstępujesz Maddoksa na krok. Innymi słowy, mój stryj doprowadzi cię nieświadomie do swojego przywódcy i tym samym wyda wyrok śmierci na samego siebie. Przyłożę do tego rękę, ale tak naprawdę zgubi go jego własna chciwość i buta. Zapłaci za swoje zbrodnie. Iście makiaweliczny plan, nie sądzisz?

Jack przyklęknął przed Eleonor i ścisnął ją za rękę.

- Kiedy jednak wprowadzimy nasz plan w życie, nie będzie odwrotu. Nie chciałbym, żeby dręczyły cię wyrzuty sumienia.

- Bez Chelfhama Gang Czerwonych łatwo zostanie rozbity i w Romney Marsh zrobi się bezpieczniej - odparła bez wahania. - Ocalimy niejedno istnienie za cenę życia tego potwora. Sądzę, że jakoś poradzę sobie z tą świadomością. Przy

odrobinie szczęścia dowiemy się także, kto tak naprawdę nimi dowodzi.

Jack objął ją i mocno przytulił.

Czy zdawała sobie sprawę z tego, że jeśli jej śmiały plan się powiedzie, on będzie musiał uciekać? Kiedy enigmatyczny herszt Gangu Czerwonych dowie się o jego istnieniu, ani chybi zechce się go pozbyć. Raz, a dobrze.

O tak, stwierdził zaraz, Eleonor doskonale o tym wiedziała. To dlatego ścisnęła go równie mocno, jak on ścisnął ją.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Eastwood tkwił posłusznie przed Eleonor, gdy ta poprawiała mu fular. Jego pokojowy dostałby ataku apopleksji, gdyby wiedział o tym rażącym naruszeniu etykiety. Jack rzecz jasna nic sobie z tego nie robił. Znosił cierpliwie zabiegi „żony”, bo widział, jak bardzo jest zdenerwowana. Poza tym lubił na nią patrzeć, kiedy stała tak blisko, że bez trudu obejmował ją ramionami.

- Jesteś pewien, że chcesz to zrobić? - zapytała, zaglądając mu w oczy.

- Czyżbyś nie miała wiary w mój talent aktorski?

- Nie, wiesz, że nie o to mi idzie. Po prostu... znam cię już trochę i wiem, że wprost marzysz o tym, żeby porządnie złoć mu skórę albo... albo jeszcze coś gorszego... Nie obawiasz się, że nie będziesz w stanie nad sobą zapanować?

- Ach, więc o to chodzi... Masz wątpliwości, że moje pochlebstwa nie będą wystarczająco szczerze... Że skoro jestem uprzedzony, nie zdołam mu się wiarygodnie przypodobać. Niepotrzebnie się martwisz. Trzeba ci wiedzieć, że potrafię być szatańsko przebiegły. Mam w tym spore doświadczenie.

- Coś podobnego... A w jakich to okolicznościach zdobywał pan owo doświadczenie, panie Eastwood, jeśli wolno spytać? - Podała mu cylinder i rękawiczki. Za chwilę mieli wprowadzić swój plan w życie.

Schylił się i cmoknął ją w kark.

- Opowiem ci o tym innym razem. Pod warunkiem że będziesz

w bardzo, ale to bardzo dobrym humorze.

- Hmm... Zabrzmiało to cokolwiek tajemniczo. Powinnam się martwić? - Zmarszczyła z namysłem czoło. - A swoją drogą, właśnie uprzytomniłam sobie, że właściwie nic o tobie nie wiem. Nigdy nie mówisz o tym, co się z tobą działo, zanim zawitałeś do Becket Hall. Zastanawiam się, czemu jesteś taki skryty...

Wzruszył beztrąsco ramionami, choć był na siebie zły. Niepotrzebnie pozwolił, żeby rozmowa zesłała na temat jego przeszłości. Nie będzie zadowolona, gdy się dowie, że wkupił się w łaski jej rodziny perfidnym podstępem. Kiedyś rzecz jasna jej o tym powie, ale z pewnością nie dziś... To nie był odpowiedni moment. I pewnie nigdy nie będzie...

- Pewnie dlatego, że zanim poznałem Becketów, moje życie było potwornie nudne. - Posłał jej swój najbardziej uroczy uśmiech. - Słyszałaś? - Dodał pospiesznie, zadowolony, że znalazł jakiś pretekst, aby odwrócić jej uwagę. - To chyba kołatka...

- Ktoś puka do drzwi? - zdziwiła się. - O tej porze? Kto to może być?

Po chwili w korytarzu rozległy się ciężkie kroki, a zaraz po nich głośne wrzaski.

- Elly! Elly, gdzie się chowasz, do diaska!

- Rian? - Spojrzała ze zdumieniem na Jacka. - To Rian! - Niewiele myśląc, podkasła spódnicę i popędziła do drzwi. Ledwie wypadła do holu, brat poderwał ją z ziemi jak worek mąki i zakręcił dookoła siebie.

- Postaw mnie, wariacie. Co ty wyprawiasz?!

- Mam wieści, Elly. Dobre wieści. Morgan urodziła bliźnięta!

- Bliźnięta! Nic dziwnego, że wyglądała jak słońca. Coś

niesamowitego... Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że cię widzę. Opowiedz mi wszystko. Bliźniaki! Można się było tego spodziewać. Nasza siostra zawsze musi pokazać światu, jaka jest nadzwyczajna. – Roześmiała się i pociągnęła go za sobą na kanapę. Miała ochotę zmierzić mu przydługie loki. Miał zaledwie dziewiętnaście lat, był najmłodszym i zdecydowanie najdrobniejszym z braci Becketów. Nawet z dwudniowym zarostem wyglądał dość eterycznie, niczym młodociany poeta.

– Witaj, Jack – odezwał się, spoglądając podejrzliwie w stronę Eastwooda. – Zaopiekowałeś się należycie naszą siostrą?

– Oczywiście, że tak, Rianie – wtrąciła, szarpiąc go niecierpliwie za rękaw. – Co to w ogóle za pytanie? Opowiedz mi lepiej o Morgan. Jak ona się czuje? Miała długi i ciężki poród? Czy wszystko poszło gładko?

– Może napijesz się wina? – zaproponował Jack. – Wyglądasz tak, jakbyś cały tydzień spędził w siodle.

– Chętnie. Rzeczywiście, zatrzymałem się tylko, żeby dać odpocząć Shamusowi. Nocowałem w jakimś obskurnym zaszczurzonym zajeździe, ale Londyn od razu mi się spodobał. Powiadam ci, Elly, nie sądziłem, że miasto może być takie duże i...

– Rianie, zlituj się. Miałeś mi opowiedzieć o Morgan. W końcu po to przyjechałeś, prawda?

– Morgan jak to Morgan. Znasz ją przecież. Dwa dni temu wstała wieczorem od stołu, jęknęła i narobiła bałaganu na podłodze. Chwilę później Odette przyniosła do salonu dwójkę zdrowiutkich, różowiutkich dzieci. Court musiał podtrzymywać Ethana, bo biedaczysko tak się przejął, że ugięły się pod nim kolana. Wszyscy czworo mają się świetnie. Wydobrzała nawet nasz szwagier. Kiedy już przestał się zamartwiać o żonę. Trochę

mu się zeszło, nim otrząsnął się z szoku na wieść o tym, że został podwójnym ojcem, a w dodatku za jednym zamachem dostał i syna i córkę. – Becket uniósł opróżniony kieliszek i zwrócił się do Eastwoda: – Należysz mi jeszcze? Zaschło mi w gardle.

Eleonor uniosła dłoń, żeby ostudzić jego zapędy.

– Wystarczy już trunków, braciszku. Powinieneś się najeść, umyć i porządnie wyspać. Papa naprawdę pozwolił ci przyjechać do Londynu?

– Czemu się tak dziwisz? – zachnął się młody Becket. – Tobie też pozwolił, a przed tobą pozwolił Chance’owi i Morgan. Nikt nas tu przecież nie rozpoz... – urwał gwałtownie i łypnął na Jacka, który siedział naprzeciwko nich na kanapie.

– Mną się przejmuj... – Eastwood uśmiechnął się. – W ogóle mnie tu nie ma. A nawet jeśli jestem, to i tak niczego nie słyszę.

Rian uśmiechnął się szeroko do siostry.

– Naprawdę go lubię. Nie wiedziałem, że aż tak bardzo. – Z tymi słowy podszedł do karafki i sam nalał sobie wina.

Elly popatrzyła na „męża” i powiedziała bezgłośnie:

– Nie mam pojęcia, po co przyjechał.

– To Ainsley wysłał cię do nas z dobrą nowiną? – zapytał od niechcienia Jack. – Czy sam zaoferowałaś się, że przyjedziesz? Naturalnie miło nam cię widzieć, ale mogliście przecież napisać list. Dotarłby do nas pewnie niewiele później niż ty. Prawda, Eleonor? – Nie lubił niespodzianek, a młody Becket z pewnością ich zaskoczył. Co gorsza, jego obecność była dość kłopotliwa i mogła pokrzyżować im plany.

– Prawda – powiedziała powoli Eleonor. Ona także nie wyglądała na szczególnie zadowoloną. – Tak czy owak, bardzo się cieszymy.

- Doprawdy? - Rian roześmiał się. - A jakoś nie sprawiacie wrażenia uszczęśliwionych. Czyżbym wam w czymś przeszkodził?

- Nie pleć głupstw - odarła pospiesznie. - W czym niby miałbyś nam przeszkadzać? Jak długo zamierzasz zostać?

- Bo ja wiem? Tydzień? - Tym razem Becket spojrzał na Eastwooda. - Może dłużej, jeśli będziesz mnie potrzebował. Zdradzicie mi wreszcie, o co w tym wszystkim chodzi? Nie wiedzieć czemu, nikt mi nie chce powiedzieć, co tu się wyprawia. Ojciec i Court milczą jak zakłeci, że nie wspomnę o Jacko, który nagle nabrał wody w usta.

- Sam sobie odpowiedz, braciszku. Gdyby papa chciał, żebyś wiedział, już dawno sam by ci to wyłuszczył. A propos ojca, masz od niego jakąś wiadomość? Napisał do nas?

Z jakiegoś powodu Rianowi natychmiast zrzęda mina.

- Nie.

Becketówna zerknęła znacząco na Jacka.

- Bo wcale cię tu nie przysłał, prawda? Sam wpadłeś na ten genialny pomysł.

Jej brat poderwał się na równe nogi i zaczął wymachiwać rękoma.

- Niech to diabli, Elly! Że też musisz być taka domyślna i wszechwiedząca. Chance ożenił się i zniknął, Spencer pojechał na wojnę, a Court bawi się w Czarnego Ducha. Co niby miałem robić, twoim zdaniem? Siedzieć w domu i dziergać na drutach?

- Zlitujmy się nad chłopakiem, Eleonor - wtrącił z uśmiechem Jack. - Może nam się na coś przydać. Na oko nie jest całkiem bezużyteczny.

- Wielkie dzięki, Eastwood - obruszył się Becket. - Wypchaj

się i idź do diabła.

- Rianie... - Siostra podeszła do niego i położyła mu rękę na ramieniu. - Załatwiamy tu z Jackiem ważne sprawy. Mów prawdę jak na spowiedzi, po co przyjechałeś? Wiedziałeś, że coś się dzieje i chciałeś koniecznie w tym uczestniczyć? Czy wybrałeś się na wycieczkę, żeby rozbijać się po szulerniach i oglądać walki kogutów? Bo jeśli to drugie, jutro z samego rana pošę cię z powrotem do domu.

Rian w jednej chwili się uspokoił.

- Chodzi o Gang Czerwonych, prawda? I o to, że straciliśmy tutejszych kupców. Wiedziałem! Wiedziałem, że coś jest na rzeczy. Jak mogę wam pomóc?

Elly doszła do wniosku, że pora zostawić mężczyzn sam na sam. Niech Jack powie Rianowi, ile uzna za stosowne.

- Napiszę do ojca, że u nas jesteś - oznajmiła, podchodząc do drzwi. - Pewnie zamartwia się na śmierć.

Eastwood poczekał, aż wyjdzie, po czym chwycił młodego Becketa za ubranie i przycisnął go do najbliższej ściany.

- Mów, po co tu jesteś, szczeniaku.

- Jezu, Jack, opętało cię, czy co? Mówiłem przecież, że chciałem powiedzieć Elly o dzieciach Morgan...

- Daruj sobie te bajeczki.

- Jakie znowu bajeczki? O co ci idzie?

- O co mi idzie? O Jacko rzecz jasna.

Jeśli nie chce, żeby doszczętnie go oskubali, nie powinien grywać w karty, pomyślał Jack. Smarkacz nie nadaje się na szpiega.

- O Jacko? A co on ma z tym wspólnego?

- Marny z ciebie szpicel, mój drogi. Jestem pewien, że nie przysłał cię do nas Ainsley, tylko Jacko. Podał ci nasz adres,

prawda? Inaczej nie odnalazłbyś nas w tak wielkim mieście. Zacznesz gadać, czy będziemy tak tkwić do białego rana?

- Puść mnie. - Rian złapał w końcu grunt pod stopami i poprawił ubranie. - Stłukłbym cię na miazgę, ale nie chcę, żeby Elly coś usłyszała.

- Stłukłbyś mnie? - zadrwił bezlitośnie Eastwood. - Na miazgę? Przedni dowcip... Ciekaw jestem, jak byś jej się wytłumaczył z rozkwaszonego nosa. - Wręczył mu porcję brandy i wrócił na kanapę. - Siadaj i mów, co masz mi do powiedzenia.

- Niewiele. Kiedy urodziły się dzieci, Jacko kazał mi się spakować i „odwiedzić” was w Londynie. Twierdził, że trzeba mieć cię na oku, żeby nie przyszło ci do głowy smalić cholewek do naszej Elly. Wszyscy się o nią troszczymy, ale Jacko ma na jej punkcie kompletnego bzika, Bóg raczy wiedzieć dlaczego. Może dlatego że sam jest taki wielki, a ona taka malutka.

- Może i jest mała, ale to silna, dorosła kobieta, a nie dziecko, które trzeba nieustannie niańczyć. Więc Jacko wyekspediował cię do nas w charakterze przyzwoitki? Nie było żadnego innego powodu?

Becket potrząsnął głową i odstawił pusty kieliszek.

- Powiedział tylko, że mam ci pomagać. I jeszcze... Zaraz, jak to szło...? Już wiem! Kazał ci przekazać, że jako marynarz znakomicie patroszy ryby i wiąże najbardziej skomplikowane węzły, cokolwiek to znaczy... Dałbyś już spokój z tym przesłuchaniem. Żołądek przyrósł mi do kręgosłupa. Muszę natychmiast coś zjeść, bo w głowie mi szumi od alkoholu. Którędy do kuchni? Zresztą, nie wstawaj. Sam trafię. - Kiedy był w połowie drogi do drzwi, do pokoju wparowała lekko zdyszana Elly.

- Zapomniałam cię zapytać, jak nazwali dzieci - zwróciła się do brata.

- Geoffrey i Isabella.

- Jak to przyjął ojciec? - dopytywała się ze wzruszeniem w głosie. - Nie protestował? - Geoffrey... tak brzmiało imię Ainsleya, zanim był zmuszony je zmienić. A ukochana żona, którą przedwcześnie stracił, nazywała się Isabella.

- Znasz ojca. Kiedy się dowiedział, zaniemówił, a potem przepadł na kilka godzin jak kamień w wodę. Jacko znalazł go w końcu w garderobie obok sypialni Morgan. Urządzili tam tymczasowy pokój dziecięcy. Stał nad kołyską i wpatrywał się we wnuczęta. Przez cały ten czas, jak się okazuje.

Zamrugła, żeby opanować łzy.

- Czyli jest zadowolony?

- Chyba nawet szczęśliwy. Jacko zmusił go w końcu, żeby poszedł spać, a kiedy wrócił do nas do salonu, oznajmił z uśmiechem, że wszystko jest w jak najlepszym porządku.

- Zdaje się, że coś mi umknęło - odezwał się Jack. - To przecież całkiem zwyczajne imiona... A może są z jakiegoś względu wyjątkowe?

- O tak - odparła, przytulając się do jego boku. - Są bardzo wyjątkowe, bo nosili je kiedyś wyjątkowi ludzie. - Wyprostowała się i skinęła na brata. - Rian, na pewno umierasz z głodu. Chodź, przedstawię cię pani Henderson.

Jack został na kanapie. Przyglądając się im, gdy wychodzili pod rękę z pokoju, znów poczuł się wykluczony.

- Dość tych sekretów, Elly - mruknął pod nosem. - Już niedługo wszystko mi o sobie opowiesz... Poczekam...

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

- Nie cierpię opóźnień - utyskiwał Cluny. - Zwykle zwiastują kłopoty.

Jack zszedł do gabinetu grubo po północy. Niechętnie zostawił Eleonor w sypialni. Lubił trzymać ją w ramionach, kiedy spała, tak samo jak lubił się z nią kochać. Dziś rozkoszował się każdą wspólną chwilą jeszcze bardziej niż zwykle, bo długo musieli czekać, aż Rian pójdzie spać i wreszcie zostaną sami.

- Dobry wieczór, Cluny, ja też się cieszę, że cię widzę. Rozumiem, że znalazłeś moją wiadomość? Ciekaw jestem, gdzie się podziewałeś.

- Och, nie martw się. Znakomicie się bawiłem. Spacerowałem po deszczu, odmrażając sobie tyłek i wypatrując czarnego powozu z czwórką czarnych koni. Masz pojęcie, ile takich zaprzęgów jeździ po Londynie?

- Nie mam, ale ufam, że mnie oświecisz.

- Dużo. O wiele za dużo. W końcu wypatrzyłem go przy Saint James's Street, ale zanim do niego dobiegłem, odjechał i rozplynął się we mgle. Takie poszukiwania są kompletnie bezsensowne. Będziemy musieli poczekać, aż Chelfham skontaktuje się ze swoim pryncypałem i sam nas do niego doprowadzi.

- Tak, ale nie będziemy go do niczego zmuszać. Nie przystawimy mu noża do gardła i nie poprosimy, żeby wyjawiał nam jego nazwisko. Twoja propozycja jest kusząca, ale zrobimy

to po mojemu.

- Po twojemu? - roześmiał się Irlandczyk. - Wolne żarty. To panna Becket wymyśliła ten nedorzeczny plan, nie ty. Jak Boga kocham, nie rozumiem, czemuś przystał na ten nonsens.

- Nie musisz wszystkiego rozumieć - stwierdził Eastwood, lecz nagle uzmysłowił sobie, że Shannon zasługuje na szczerą odpowiedź. W końcu on też nadstawia karku. - Dobrze, powiem ci to i owo, ale bądź łaskaw mi nie przerywać, jak to masz w zwy...

- Wypraszam sobie, smarkaczu! Nigdy nikomu nie przerywam!

Jack nie wytrzymał i parsknął śmiechem.

- Niech ci będzie - burknął Cluny. - Może i czasem przerywam. Ale nieczęsto.

- Nareszcie przyznałeś się do słabości. - Eastwood podał mu brandy i usiadł za biurkiem. - To długa i skomplikowana historia, w dodatku nie znam wszystkich szczegółów. Mówiąc w skrócie, okazało się, że Chelfham jest stryjem Eleonor i prawdopodobnie przyczynił się do śmierci jej rodziców. Ją także próbował zabić, kiedy była jeszcze mała. Tyle że coś poszło nie po myśli naszego pana hrabiego i dziewczynka jakimś cudem ocalała. Potem została uratowana przez Becketów i stała się jedną z nich.

- A niech mnie... Ciekawe, kogo jeszcze ukrywa cały ten twój Ainsley. Skoro nam podesłał prawdziwą hrabiankę... Kto wie, może ma też w zanadrzu jakiegoś następcę tronu? No wiesz, królewicza, którego za młodu porwano...

- Znów mi przerywasz, Cluny. Co to ja mówiłem? Aha, więc... nie wierzymy w bajeczkę Maddoksa, jakoby jego żona pałała wielką niechęcią do kalek...

- No nie wiem, nie wiem. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby tak było. Miałem kiedyś jedną ciotkę. Nazywała się Sadie. Uciekała z wrzaskiem za każdym razem, gdy natknęła się we wiosce na Colma Divine'a. Powiadała, że przynosi pecha. A Colm to był pocziwina, że do rany przyłoż. Tyle że biedaczysko miał okrutnego zezę. Sadie tak się go bała, że raz wbiegła prosto w drzewo i rozkwasiała sobie nos. Potem już zawsze winiła Divine'a za wszystkie nieszczęścia. Mówiła, że to przez niego przefasonowała sobie bużkę. Jeśli o mnie chodzi, z nową twarzą wyglądała znacznie lepiej niż ze starą, bo urodą, to ona nigdy nie grzeszyła, nawet za młodu.

Jack roześmiał się i splótł dłonie na kolanie.

- Skończyłeś? Czy jest dalszy ciąg tej zajmującej opowieści?

- Kiedy byliśmy w wojsku, ciągle się domagałeś, żebym ci coś opowiadał. I zawsze się śmiałeś.

- Próbowałem nie zasypiać, żeby nie zamarznąć na śmierć. Poza tym wolałem słuchać twoich dyrdymałów niż twojego chrapania. A wracając do rzeczy, nie wiadomo, czy Chelfham napadnie na powóz Eleonor, czy nie, ale to jedyny sposób, żeby się przekonać, czy jej stryj oprócz tego, że jest wyjątkową kanalią, bywa także bezwzględny zabójcą.

- Dobre pytanie, choć mnie osobiście interesuje coś innego. Skąd mianowicie nasza kruszyna wie, że Chelfham jest jej krewnym? Nie lubię, kiedy masz przede mną tajemnice, chłopcze, więc radzę ci wreszcie zacząć ćwierkać.

Rad nierad Jack wyłuszczył mu całą historię z detalami.

- Eleonor miała wyruszyć w drogę dziś rano, ale przyjazd jej brata wszystko opóźnił. Wyjedzie zatem jutro...

- A my pognamy za nią i złapiemy złoczyńców nasłanych przez Maddoksa - domyślił się Cluny. - Ukryjemy ich gdzieś, po

czym ty udasz się do hrabiego i zażadasz, żeby przedstawił cię swojemu tajemniczemu znajomkowi z czarnego powozu. Dobrze mówię?

- Tak, panie Shannon. Zgadza się niemal co do joty.

Obydwaj odwrócili głowy i spojrzeli ze zdumieniem na Becketównę, która stanęła właśnie w drzwiach. Nie usłyszeli jej, bo przyszła boso.

- Z tą różnicą, że nie wybierzesz się do mojego stryja sam - oznajmiła nieznoszącym sprzeciwu tonem. - Złożymy mu wizytę we dwoje.

- Po moim trupie! - zawołał Eastwood, podrywając się na nogi.

- No, nareszcie pomyśleliście o tym, żeby dostarczyć mi jakiejś rozrywki - skwitował z uśmiechem Irlandczyk. - Już zaczynałem się nudzić. Może będziecie potrzebowali rozjemcy? Chętnie służyć...

- Dziękujemy, obejdzcie się. - Wyszedłszy zza biurka, Jack chwycił Elly za rękę i pociągnął ją przez korytarz do bawialni.

- Jack... - zaczęła tonem łagodnej perswazji. - Rozumiesz przecież, dlaczego muszę przy tym być...

- Nie, do diabła! - wrzasnął wściekle. - Nie rozumiem i nie chcę zrozumieć! - Dopiero po chwili uprzytomnił sobie, że wcale nie jest wściekły. Serce podeszło mu do gardła z przerażenia. Kto wie, do czego może się posunąć Chelfham. Zwłaszcza przyparty do muru. Na samą myśl o tym, że mógłby stracić Eleonor, paraliżował go strach. Niestety nie była to najlepsza pora na czułe deklaracje. Tym bardziej, że w tej chwili miał ochotę mocno nią potrząsnąć i wbić jej odrobinę oleju do głowy.

- Proszę, miej na względzie moje uczucia - ciągnęła

niezrażona. – Przez większość życia nie wiedziałam nawet, kim naprawdę jestem. Ani jak znalazłam się u Becketów. Powiedzieli mi bardzo niewiele. Dopiero kiedy sama zaczęłam sobie coś przypominać, dodali istotne szczegóły.

– Wiem, że było ci ciężko. Nie pojmuję tylko, co to ma wspólnego z tym, że chcesz koniecznie konfrontacji z Chelfhamem. Nie, Elly, to zbyt niebezpieczne.

Zacisnęła dłonie w pięści.

– Muszę usłyszeć prawdę z jego własnych ust. Nie wiedziałam o tym, dopóki nie podsłuchałam w domu, że Maddox jest prawdopodobnie przywódcą Gangu Czerwonych. Chcę, żeby przyznał się do swoich zbrodni i opowiedział mi o nich prosto w oczy.

Westchnął bezsilnie i przeczesał dłonią włosy.

– Jego pobudki są raczej oczywiste. Niczego nowego ci nie powie, sama się już wszystkiego domyśliłaś. Jeśli istotnie zamordował twoich rodziców, to zrobił to dla tytułu i dla władzy. Powodowały nim zwykła pazerność i pycha. Nie ma o czym mówić.

– Owszem jest. Chodziło o coś więcej.

– Więcej niż tytuł i majątek? A cóż innego może pchnąć człowieka do mordu?

Nadeszła chwila prawdy. Trudnej i bolesnej, lecz nieuniknionej.

– Nie wie o tym nawet papa. O niczym nie ma pojęcia...

Zamarł i popatrzył na nią spod przymrużonych powiek.

– Zechcesz mówić jaśniej?

– Nie mogłam zdradzić mu wszystkiego, co pamiętam. Gdybym to zrobiła, już dawno odszukałby Maddoksa i... Bóg jeden wie, jak by się to skończyło. Nie chciałam ryzykować, że

hrabia wyrządzi mu krzywdę. Ojciec jest dla mnie najważniejszy, nie naraziłabym go świadomie na niebezpieczeństwo. Teraz pewnie sam się czegoś domyśla, ale gdybyś nie wymienił wówczas nazwiska Chelfhama, nigdy więcej bym o nim nie wspomniała. Pogrzebałabym tę sprawę na zawsze.

- Wasza lojalność jest doprawdy zdumiewająca. Nigdy nie spotkałem tak wyjątkowej rodziny. Mam tylko jedno pytanie, czy Ainsely pozwoliłby ci ze mną jechać, gdyby wiedział, co zamierzasz mi zaraz powiedzieć?

- Nie. Oczywiście, że nie.

- No tak, mogłem się tego spodziewać. Więc słucham, czego jeszcze nie słyszałem o Chelfhamie?

- Kiedy zaczęłam miewać koszmary - szepnęła ochryple - słyszałam w nich tylko niezrozumiałe krzyki. Odgłosy okropnych, gwałtownych kłótni.

Jack posadził ją na kanapie i usiadłszy obok, wziął ją za rękę.

- Jeśli nie jesteś gotowa, nie musisz mi niczego mówić.

Otarł łzę, która spłynęła jej po policzku.

- Jest aż tak źle?

- Przepraszam. - Wzięła głęboki oddech i uśmiechnęła się blado. - Nic mi nie będzie. I naprawdę... chcę ci o tym opowiedzieć. Koszmary powracały co jakiś czas, aż w końcu stały się czytelne. Zrozumiałam, że te głosy należały do moich rodziców. Krzyczeli na siebie na pokładzie statku, a dwóch marynarzy ciągnęło skrępowanego łańcuchami ojca do relingu.

- Piraci? - spytał, lecz umilkł, uzmysłowivszy sobie, że jej przerywa, zupełnie jak Cluny. - Wybacz.

- Nie, to nie byli piraci. Zostałam sama w kajucie, ale usłyszałam wrzaski i wymknęłam się po kryjomu na górę.

Pamiętam, że miałam na sobie koszulę nocną, więc pewnie spałam i obudził mnie hałas. Odette nigdy nie wyrzuciła tej koszuli. To jedyna rzecz, jaka została mi z owych czasów. – Zacisnęła powieki i przeniosła się w czasie, by znów przeżyć ten koszmar. – Ojciec oskarżał matkę o kłamstwa i zdradę, a ona nie zaprzeczała. Przeciwnie, naśmiewała się z niego. Krzyczała, że jest naiwnym durniem i rogaczem. Widziałam, jak ci bandyci wyrzucili go za burtę, a ona cały czas się śmiała. Kiedy usłyszała, że płaczę, powiedziała, że to tylko zły sen i zaprowadziła mnie z powrotem pod pokład.

– Boże... – Nie przypuszczałaś, że usłyszysz coś tak strasznego.

Eleonor objęła się ramionami i zakołysała.

– Nazajutrz oznajmiła, że ojciec zachorował i umarł, a ja widziałam, jak wrzucają do wody jego ciało. Mówiła, że to taki marynarski pogrzeb, a cała reszta zwyczajnie mi się przyśniła.

– Byłaś dzieckiem, chciałaś jej wierzyć.

– Tak, chyba tak. Pewnie dlatego tak długo nie mogłam sobie przypomnieć, jak było naprawdę.

– Co się wydarzyło później?

– Nie płynęliśmy na Jamajkę, lecz w przeciwnym kierunku, do Anglii. Matka wracała do kochanka, ale najpierw musiała się pozbyć męża. Wypadki na morzu się zdarzają...

– A sztorm?

Jej smutny uśmiech łamał mu serce.

– Nie było żadnego sztormu, Jack. Przecież wiesz. Sam przyłapałeś mnie na kłamstwie. Ainsley był wówczas kaperem. Następnego dnia jego załoga omyłkowo zaatakowała i zatopiła nasz statek. Jacko jednak zdążył mnie uratować.

– Przez pomyłkę?

– Tak, płynęliśmy pośród kilku innych statków.

- Ale dlaczego was zatopili? Najemnicy zwykle przejmują statki, żeby je potem sprzedać.

Westchnęła i ścisnęła go za rękę.

- Nie nalegaj, Jack. Nie mogę ci powiedzieć więcej. Nie teraz. Kiedy wrócimy do Becket Hall, papa wszystko ci wytłumaczy.

- O tak, skarbie, już ja tego dopilnuję. Nie chcę między nami żadnych sekretów. Ale rozumiem już, dlaczego upierasz się, żeby stawić czoło Chelfhamowi. Chcesz go zapytać, czy wie, co zrobiła twoja matka i jak zdołała namówić załogę, żeby zamordowała jego brata.

- Nie tylko o to... - Uległa nagłej potrzebie i położyła mu głowę na torsie. Zbyt długo nosiła w sobie tę okropną tajemnicę. Cieszyła się, że wreszcie znalazła kogoś, przed kim mogła i chciała się otworzyć.

Jack objął ją i pogłaskał po głowie.

- Zanim matka kazała wyrzucić męża za burtę, powiedziała mu, z kim go od lat zdradza. Jestem pewna, że Chelfham maczał palce w tym zabójstwie. Zawsze o tym wiedziałam, ale i tak chcę to usłyszeć z jego ust. Jeśli zgodnie z naszymi przewidywaniami, mój powóz rzeczywiście zostanie napadnięty, zapytam go, dlaczego lata później kazał zabić swoją własną córkę.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

- Dzień dobry, Jack. Dobrze, że cię zastałem. - Rian wszedł do jadalni i usiadł za stołem. - Chciałem się ciebie poradzić. Jak sądzisz, od czego powinienem zacząć zwiedzanie stolicy? - Uśmiechnął się szeroko, nadziewając na widelec kawałek szynki. - Może wybiorę się do Tower? Ponoć trzymają tam lwy i tygrysy i...

- Daruj sobie to przedstawienie - uciął cierpko Eastwood. - Dziś rano przyszedł list od jednej z twoich sióstr i pozwoliłem sobie otworzyć kopertę. Jakież było moje zdumienie, gdy się dowiedziałem, że Morgan owszem urodziła bliźnięta, tyle że nie kilka dni temu, jak twierdzisz, a tuż po naszym wyjeździe.

- Psia kość! Niech diabli porwą Fanny i jej wrywność! Powinna sobie znaleźć jakieś zajęcie, bo najwyraźniej jej się nudzi.

- Rozczaruję cię. To nie, Fanny, a Cassandra. Ktoś powinien nauczyć to dziewczę poprawnie pisać. Jej znajomość ortografii woła o pomstę do nieba. Gadaj, od jak dawna jesteś w Londynie i za mną łazisz. I niech ci do głowy nie przyjdzie łąać. Nie jestem w nastroju do żartów.

Becket zupełnie nie przejął się wpadką.

- Och, niezbyt długo, słowo honoru. Najpierw pojechałem zobaczyć się z... A kto powiedział, że za tobą łąę?

- Z pewnością nie nasz nieoceniony Cluny - wymamrotał z rozbawieniem Jack. - Raczysz mi wreszcie powiedzieć, z jakiego powodu mnie śledzisz i dlaczego raptem postanowiłeś

się ujawnić?

- Najpierw odpowiem na drugie pytanie. Jest zdecydowanie łatwiejsze. Gospoda, w której się zatrzymałem, okazała się więcej niż paskudna, a jedzenie mają tam zupełnie niejadalne. Uprzytomniłem sobie, że ty i Elly opływacie w dostatek i że głupotą byłoby nie skorzystać z waszej gościny. Postanowiłem zatem przynieść wam dobrą nowinę. Morgan chciała zrobić Eleonor niespodziankę. Miała się dowiedzieć o dzieciach dopiero po powrocie... Że też nie przyszło mi do głowy, że któraś z moich siostrzyczek się wygada... Durnota ze mnie...

- Przez grzeczność nie zaprzeczę. Co z moim pierwszym pytaniem?

- Hmm... mógłbym spróbować cię przekonać, że nastął mnie Jacko, ale skoro nie uwierzyłeś mi wczoraj, zgaduję, że dzisiaj raczej też mi nie uwierzysz.

- Cóż za dedukcja. Możesz być z siebie dumny.

- A niech mnie...! Chyba muszę powiedzieć ci prawdę... Uprzedzam, że to raczej ci się nie spodoba...

- Streszczaj się, bo tracę cierpliwość.

- Dobrze, więc przyjechałem, żeby mieć na was oko. Gdybyś przypadkiem dał się ukatrupić, miałem bezpiecznie wywieźć Elly do domu.

Jack wykrzywił usta, jakby najadł się dziegciu.

- Wasza wiara we mnie jest doprawdy budująca. Nie omieszkać podziękować Jacko za troskę, kiedy go znów spotkam.

- Och, z naszą wiarą w ciebie nie jest aż tak źle, słowo daję. Idzie o to, że Jacko bywa nadopiekuńczy. Zwłaszcza w stosunku do Eleonor. Ja z kolei aż rwałem się do wyjazdu. Zawsze chciałem zobaczyć Londyn.

- I nabrać ogłady?

- Otóż to. - Rian nałożył sobie na talerz kolejną porcję wędliny. - Ten twój wielkolud z Irlandii... Ciekawy jegomość, ale chyba powinienes mu powiedzieć, żeby wciągał brzuch, kiedy chowa się za drzwiami. Kiedy chodziliśmy po mieście, wystawał z za każdego węgła i z za każdego drzewa. Nie musiałem nawet śledzić ciebie, wystarczyło, że chodziłem za nim.

Eastwood nie zdołał powstrzymać uśmiechu.

- A do dziś twierdzi, że nikogo nie zauważył... Skoro już znalazłeś się pod moim dachem, rozumiem, że chciałbyś się na coś przydać?

- Naturalnie - odparł z entuzjazmem Becket. - Co miałbym zrobić?

Jack nigdy by sobie nie darował, gdyby chłopakowi coś się stało. Postanowił powierzyć mu zadanie, które nie niosło za sobą ryzyka.

- Twojej siostrze trzeba sprawić nowe buty.

- Nowe buty? A co się stało ze starymi?

- Jeden jest wyższy, ten... który nosi na niesprawnej nodze. Nierówne obcasy miały jej pomóc, ale tylko pogarszają sprawę. Elly ciągle chodzi boso. Widocznie tak jej wygodniej. Nie lubię, kiedy się męczy.

- Nic o tym nie wiedziałem. Ja też nie lubię, kiedy się męczy. Chcesz, żebym ją zabrał do szewca? Dzisiaj?

- Tak, dzisiaj. Pojedziecie na Bond Street. Znajdziesz jakiegoś dobrego rzemieślnika i każesz mu zrobić dla niej co najmniej dziesięć nowych par butów: kapci, pantofli, półbutów i tym podobnych. I niech przyślą rachunek na mój adres.

- Nie spodoba jej się, że to ty za wszystko płacisz.

- Jesteś przecież mężczyzną i jej bratem. - Eastwood podniósł

się z krzesła i podszedł do drzwi. – Tupniesz nogą i postawisz na swoim. Na pewno sobie poradzisz. Muszę teraz wyjść. Wrócę pewnie za kilka godzin. Aha, i zaczekaj z wyjściem z domu co najmniej do południa. To ważne. Rozumiesz, co mówię?

– Nie, nic nie rozumiem – oznajmił z rozbijającą szczerością Rian. – Elly zawsze wstaje bladym świtem. Właśnie się zastanawiałem, czemu jeszcze nie zeszła na śniadanie. To do niej niepodobne. Nigdy nie wyleguje się do późna.

Jack doskonale wiedział, czemu Eleonor nie pojawiła się w jadalni, ale rzecz jasna nie zamierzał uświadamiać w tej kwestii jej brata. Wczoraj w nocy zaniósł ją na górę i długo trzymał w ramionach, kiedy wylewała gorzkie, zbyt długo wstrzymywane łzy. Potem kochali się niemal do samego rana.

– W Londynie życie płynie innym rytmem – stwierdził na użytek młodego Becketa.

– Skoro tak twierdzisz...

– Pilnuj jej jak oka w głowie, Rianie. Nie spodziewam się, żadnych nieprzewidzianych kłopotów, ale na wszelki wypadek miej się na baczności. I nie zostawiaj jej samej choćby na minutę. Weźcie powóz i dwóch lokajów, dobrze?

Rian znów miał pełne usta jedzenia, więc tylko machnął ręką. Opychał się tak, jakby chciał zrobić zapasy na następne dwa tygodnie.

Jack uśmiechnął się pobłaźliwie i wyszedł na korytarz. W jego wieku też codziennie budził się głodny jak wilk, ale nigdy nie jadł dużo. Jajka i śledzie stawały mu gardle, kiedy wuj recytował ich ceny i przy każdej sposobności narzekał na ceny.

Na myśl o wuju przypominał sobie o zaginionym kuzynie. Dręczyły go coraz większe wyrzuty sumienia. Nadal nie wyznał Eleonor prawdy o tym, jak i dlaczego znalazł się po raz

pierwszy w Becket Hall.

Ale czy to miało jakiegokolwiek znaczenie? Już nie. Niewiele dbał o los Richarda. Gdyby nie ciotka, nawet nie zaczęłyby go szukać. Nie szkodzi, że „wdarł” się do rodziny Becketów podstępem. Najważniejsze, że po dwóch latach znajomości i po tym, co się wydarzyło w ciągu ostatnich kilku dni, czuł się jednym z nich. Jakby od zawsze był Becketem. Nie przeszkadzała mu nawet ich cokolwiek nielegalna działalność, którą prowadzili zresztą ze szlachetnych pobudek. Pocieszał się tym, że skoro przysposobili Ethana, przysposobią i jego. Kiedyś w końcu mu zaufają. I przyjmą go jak swojego. Taką przynajmniej miał nadzieję.

Podobne refleksje towarzyszyły mu przez całą drogę do rezydencji Maddoksa. Zatrzymawszy się na schodach, zerknął na zegarek. Dochodziła jedenasta. Miał wystarczająco dużo czasu. Eleonor niebawem wyjdzie z bratem na zakupy. Będzie bezpieczna. Nikt przy zdrowych zmysłach nie zaryzykuje zamachu w biały dzień, w dodatku przy ruchliwej Bond Street.

Żółć podchodziła mu do gardła, na samą myśl o czekającej go rozmowie z hrabią Chelfham - największą kanalią pod słońcem i rodzonym ojcem Eleonor w jednej osobie... Chryste, miej mnie w opiece, powiedział sobie w duchu. Obym wytrzymał i nie rzucił mu się przedwcześnie do gardła.

- Jack Eastwood do lorda Chelfham - oznajmił, kiedy otworzono mu drzwi.

Przechodząc przez hol, odnotował z satysfakcją, że dom hrabiego nie jest nawet w połowie tak dobrze wyposażony jak jego własny.

- Jego lordowska mość nie dokończył jeszcze śniadania - oświadczył sztywno lokaj.

- Wiem, miałem do niego dołączyć - skłamał gładko Jack. - Jestem pewien, że o tym wspominał.

Na szczęście służący wziął jego słowa za dobrą monetę.

- Naturalnie, sir - rzekł, odebrawszy od niego kapelusz i płaszcz. - Proszę wybaczyć, musiało wylecieć mi z głowy... Pozwoli pan za mną...

Chelfham rozpierał się za stołem z serwetką zatkniętą za kołnierz i trzema kopiastymi talerzami jedzenia pod nosem.

- Eastwood! Wiedziałem, że prędzej czy później się pokażesz! Siadaj i częstuj się.

- Dziękuję, już jadłem. Oświeć mnie z łaski swojej, bo trochę się pogubiłem. Sądząc po twoim jowialnym tonie, wydaje ci się, że jesteśmy w najlepszej komitywie, a nie przypominam sobie, żebym się z tobą zaprzyjaźnił.

- Daruj sobie te pohukiwania i czcze pogrożki, chłopcze. Jesteś na straconej pozycji. Nic tego nie zmieni. Radzę ci przełknąć gorzką pigułkę i przywyknąć do sytuacji. Zwłaszcza że nie masz innego wyboru. A teraz do rzeczy. Kiedy twoja kaleka wyjeżdża z miasta?

Jack z zasady nie cierpiał słowa „kaleka”, ale po tym, co usłyszał wczoraj od Elly, zabrzmiało ono w ustach Maddoksa jeszcze gorzej niż wcześniej.

- Moja żona na imię Eleonor, Chelfham.

- Mało mnie to obchodzi. - Hrabia rzucił serwetkę na blat i posłał mu mordercze spojrzenie. - Miałeś odesłać ją na wieś. Taka była umowa.

Eastwood próbował przyjąć pozę unizonego sługi, ale nie przychodziło mu to łatwo.

- Rusza w drogę jutro około południa. Źle się czuła, więc musieliśmy opóźnić nieco wyjazd. Zrobiłem to, czego ode mnie

chciałeś. Pora, żebyś się zrewanżował i okazał odrobinę dobrej woli.

- Dobrej woli, powiadasz? Naturalnie, uścisknę ci na koniec rękę, ale najpierw coś mi pokażesz. Bo chyba masz mi coś do pokazania, prawda?

Jack sięgnął do kieszeni i podał mu notes. Oczywiście nie ten, który znalazła w jego biurku Eleonor. Poprzedniego wieczora spreparował od początku do końca zupełnie nowe zapiski z wyssanymi z palca nazwiskami i datami oraz niebotycznymi sumami rzekomo zarobionych na przemyśle pieniędzy.

Z taką wiedzą Chelfham nie będzie go już potrzebował...

- Jak widzisz, przewidziałem, że o to poprosisz - oznajmił szorstko. - Wymienimy się informacjami teraz albo zrywamy umowę. Wybieraj.

Szeroki uśmiech Maddoksa był wyjątkowo czytelny.

- Niech ci będzie, Eastwood. Twardo się targujesz. Przejdźmy do gabinetu.

Przez następne pół godziny Jack oglądał nieoficjalne księgi rachunkowe Chelfhama. Obok rzędów cyfr widniały w nich zakodowane opisy, które hrabia był łaskaw mu objaśnić. Wynikało z nich, że Czerwoni zarabiają głównie na imporcie herbaty, jedwabiu i brandy, oraz na eksporcie złota.

Becketowie także zajmowali się szmuglem, ale nie gromadzili pieniędzy dla siebie. Pomagali sąsiadom z Romney Marsh. Poza tym nie zasilali funduszy Bonapartego, pompując do Francji złoto pochodzące z państwowego skarbcza. Przy tym, co robił Chelfham, ich „zbrodnie” wydawały się błahostką.

Okazało się, że Gang Czerwonych to tylko wierzchołek góry lodowej. Maddox kierował także wieloma innymi szajkami. Każda miała w nazwie jakiś kolor: Gang Zielonych, Żółtych itd.

- Sam sterujesz tym wszystkim? - zapytał z udawanym zachwytem Jack. - Doprawdy, imponujące... Taki handel musi przynosić niebotyczne zyski.

- Nie inaczej - odparł z zadowoleniem hrabia. - Niestety muszę się nimi dzielić. Ty też chyba nieźle zarabiasz, prawda?

- Owszem, ale sporo ryzykuję. Jeśli zostanę przyłapany, skończę na stryczku. Nic nie zdoła mnie uratować. A ty za przeproszeniem, jesteś tylko wyższej rangi buchalterem.

- Z twojego punktu widzenia może to tak wyglądać. Ale, wierz mi, pełnię także inne ważne funkcje.

Jack udał zdziwienie, po czym zrobił taką minę, jakby nagle doznał olśnienia.

- To ty organizujesz fundusze na zakup towarów wysyłanych do Francji. Na co dzień obracasz się w wyższych sferach i decydujesz o tym, kto zostanie wybrany do zainwestowania w twoje interesy. Hmm... rzeczywiście teraz rozumiem, jak ważną odgrywasz rolę.

Chelfham raptem przestał się uśmiechać.

- Dość tej gadaniny. Ważne, że działając wspólnie, w ciągu roku po dziesięćkroć zwiększymy nasze zyski. Mamy umowę. Nie musisz wiedzieć niczego więcej. Zgoda?

- Zgoda. - Eastwood podniósł się na nogi i ruszył do drzwi. - Jeszcze jedno pytanie, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Zastanawiam się, co się stanie, kiedy prawdziwy władarz tego monumentalnego przedsięwzięcia dowie się o naszej umowie? Jak zareaguje, gdy dotrą do niego wieści, że sprzeniewierzasz lwią część pieniędzy inwestorów, żeby za jego plecami nabijać własną kabzę?

- Odpowiedź jest prosta, Eastwood. Jeżeli zwęszy pismo nosem, obaj jesteśmy martwi.

- Tak myślałem. Podejmujesz ogromne ryzyko, Chelfham. Dla paru dodatkowych funtów? Jesteś pewien, że warto?

Na twarzy hrabiego znów zagościł szeroki uśmiech.

- Naturalnie, że warto.

- Niektórym ludziom ciągle mało i mało... - Jack położył rękę na klawce.

- Cóż, taka już nasza natura. Ale, ale, nie tak prędko. Nie omówiliśmy jeszcze kwestii moich byłych wspólników.

Eastwood nie sądził, że odgrywanie roli idioty może być aż tak trudne.

- Wszystko w swoim czasie. Załatwię to w odpowiednim momencie i w sposób, jaki sam uznam za stosowny.

- Nie ma potrzeby. Widziałem, że się do tego nie palisz, więc postanowiłem cię wyręczyć. Żeby ci udowodnić, że jesteś moim partnerem i że traktuję cię poważnie.

- To znaczy? Co konkretnie zrobiłeś? - Jack wciąż nie mógł pogodzić się z faktem, że ten zepsuty do szpiku kości szubrawiec jest ojcem jego ukochanej Eleonor.

- To znaczy, że wysłałem im wczoraj w prezencie oryginalną brandy, prosto z Francji. Trafiła do domu Gilly'ego, żeby mogli pić w spokoju bez trajkotania durnej żony Harrisa. Obiecałem również, że podwoję im płace, żeby mieli co świętować.

- Prosto z Francji, powiadasz?

- W rzeczy samej. Krystalicznie czystą brandy, jeśli wiesz, o co mi idzie.

Jack w lot pojął, co to znaczy. Ze względów praktycznych brandy przemycano zwykle nierozcieńczoną, w małych baryłkach wprost z destylarni. Oznaczało to, że zawartość alkoholu w trunku grubo przekraczała pięćdziesiąt procent.

- Przypuszczam, że obaj spili się na śmierć - oznajmił

radośnie Maddox. - Dosłownie, nie w przenośni - dodał i zarechotał.

- Nie ostrzegłeś ich, że należy ją rozcieńczyć?

- Gdybym ich ostrzegł, nie osiągnąłbym zamierzonego celu, nieprawdaż? Cóż, zgubiła ich własna ignorancja... Niebawem dotrą do nas smutne nowiny... A teraz bądź tak uprzejmy i pofatyguj się na Half Moon Street. Trzeba zabrać stamtąd wiadomość, którą wysłałem im razem z baryłką. Zrób to, zanim służba przyjdzie sprzątać i znajdzie trupy. Pamiętaj, grunt to nie zostawiać po sobie żadnych śladów.

- Sam ją sobie zabierz. Nie jestem twoim służącym.

- Naturalnie, że nie, ale nie zapominaj, że jesteśmy współnikami. I musimy od czasu do czasu wyświadczać sobie nawzajem pewne... grzeczności.

Eastwood miał serdecznie dość widoku uśmiechniętej gęby Chelfhama.

- Chciałeś chyba powiedzieć, że wiemy o sobie zbyt wiele i że możemy tę wiedzę niecnie wykorzystać. Gdy więc zajdzie taka potrzeba, będziemy płacić sobie za milczenie „przysługami”.

Uśmiezek hrabiego trochę jakby przygasł.

- Cóż, sam bym tego lepiej nie ujął. Przysługa za przysługę. Postąpię wspaniałomyślnie i postaram ci się odwdziżyć. Nie chcę, żebyś czuł się pokrzywdzony. Jeśli zatem masz jakieś życzenie, mów śmiało. Wystarczy, że poprosisz, a zostanie spełnione.

Jack uznał, że nie zaszkodzi go sprawdzić.

- Doprawdy? Znakomicie. Chcę, żeby moja żona została w Londynie.

Dobry nastrój Chelfhama w jednej chwili się ulotnił.

- Nie, Eastwood. Wykluczone. Nie chcę jej tu więcej widzieć.

Czy wyrażam się jasno?

- Jaśniej już nie można - syknął przez zaciśnięte zęby Jack. - Zapomniałem, że choć nazywasz nas wspólnikami, nigdy nie będziemy sobie równi. Dziękuję, że mi o tym przypomniałeś.

- I po co te dąsy? Nie pojmuję, o co cała ta awantura. Na cóż ci ta kaleka? Znajdziemy ci kogoś innego. Chyba przyjrzałeś się dobrze mojej żoneczce? Nie masz pojęcia, co można kupić za pieniądze.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Eleonor czekała na Jacka od ponad dwóch godzin i z każdą upływającą minutą coraz bardziej kipiała z gniewu.

Będzie miał się z pyszna, kiedy w końcu raczy się pokazać. Co on sobie wyobraża? Jak śmiał wysłać ją na zakupy z Rianem w charakterze eskorty? Dobrze sobie. Też mi obrońca. W dodatku po to, żeby kupiła sobie buty? Grozi im śmiertelne niebezpieczeństwo, a on każe jej przymierzać nowe trzewiki?

Westchnęła ciężko i spojrzała na swoje stopy, obute w nowiuteńkie skórzane pantofle. Były mięciutkie i śliczne. Przeglądając się wcześniej w lustrze, zauważyła, że nieco wyraźniej w nich kuleje, za to chodziło jej się znacznie wygodniej. Cały dzień była na nogach, a łydka wcale jej nie dokuczała.

Może jednak wybaczy mu, że zostawił ją z bratem, a sam wybrał się do miasta, aby knuć przeciwko hrabiemu.

- Pani Eastwood?

Pochłonięta własnymi myślami, nawet nie zauważyła, kiedy w drzwiach stanęła pokojówka.

- Beatrice? Co ty tutaj robisz? Miałaś leżeć w łóżku...

- Tak, doktor kazał, ale pomyślałam, że nie wypada mi się wylegiwać, kiedy mnie pani potrzebuje. Mary jest do niczego, nie zajmie się panią tak dobrze jak ja. Nie daj Boże, ktoś znów spróbuje zrobić pani krzywdę, a mnie nie będzie, i co wtedy? Nie darowałabym sobie, gdyby przytrafiło się pani coś złego.

- Dziękuję, to miło, że tak się o mnie troszczysz. - Elly

uśmiechnęła się przyjaźnie. - Ale... twoja noga...

Służąca uniosła spódnicę i odsłoniła bandażę.

- Pani Henderson wysmarowała mi ją maściami. Już prawie nie boli, ale przez opatrunek nie mogę zginać kolana. I strasznie przez to kuleję, zupełnie jak pani. Ojej, przepraszam! Nie chciałam... - Zacisnęła usta i zakryła dłońmi policzki

- Nic się nie stało. Nie przepraszaj. - Becketówna podeszła do niej i mocno ją przytuliła. - Ale do swoich obowiązków wrócisz, gdy wydobrzejesz.

- Czy to znaczy, że mnie pani nie zwolni? Pan Treacle powiedział, że skoro leżę w łóżku i zbijam bąki, na pewno mnie pani odprawi. Bo kto by chciał trzymać w domu darmożjadę?

- Treacle tak ci powiedział? Już ja się z nim rozprawię. Nie martw się. Wracaj do siebie i odpoczywaj, jak zalecił doktor. Nie chcę cię tu widzieć. Rozumiemy się?

- Tak jest, proszę pani. - Uradowała się Beatrice. - Dziękuję. Niech pani Bóg wynagrodzi! - Dygnęła i krzywiąc się z bólu, wyszła na korytarz.

Eleonor wróciła na kanapę i pomyślała o Jacku. Nie potrafiła dłużej się na niego złościć.

Był taki troskliwy i życzliwy.

- Może naprawdę coś do mnie czuje...

Spojrzała na zegar na ścianie. Dochodziła szósta, a jego wciąż nie było. Nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie wróci. Potrzebowała go. Chciała mieć go przy sobie już zawsze. Gdy to sobie uzmysłowiła, odrobinę się przeraziła.

Zawsze była bardzo opanowana i nigdy nie zwierzała się ze swoich najskrytszych myśli ani sekretów. A teraz nagle zapragnęła dzielić się wszystkim z Jackiem. Odczuwała

potrzebę, żeby opowiadać mu o swoich tęsknotach i marzeniach. Ufała mu i nie chciała niczego przed nim ukrywać.

A kiedy jej dotykał, kiedy się z nią kochał, oddawała mu się bez reszty i czuła się cudownie wolna. Przy nim nie musiała się obawiać ani niczego udawać. Mogła być w pełni sobą.

Jack sprawił, że się otworzyła i zapragnęła czerpać z życia pełnymi garściami.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Jack siedział na tyłach gospody przy Bond Street. Wpatrując się w nietknięty kufel piwa, odtwarzał przebieg spotkania z Chelfhamem i obmyślał strategię działania na najbliższe dni.

Do niedawna towarzyszył mu Cluny, który w tej chwili pilnował w wynajętej izbie pijanego jeńca. Miał zostać z delikwentem, dopóki ten nie wytrzeźwieje. Jutro rolę eskorty przejmie Rian. To on będzie towarzyszył Eleonor w drodze powrotnej do Becket Hall. Był młody, ale miał spore doświadczenie. Wielekroć brał udział w wyprawach szajki Czarnego Ducha. Zresztą dzięki zeznaniom zakładnika być może nie będą musieli nigdzie jechać.

Eastwood był tak pochłonięty własnymi myślami, że przez chwilę, nie zauważył mężczyzny, który pojawił się naprzeciw niego za stołem.

Nieznajomy nosił się wytwornie, lecz bez przesadnego przepychu. Był wyjątkowo postawny i przystojny. Emanował pewnością siebie charakterystyczną dla żołnierzy albo ludzi z rozległymi koneksjami. Miał długie jasnobrązowe włosy, które związywał na karku czarną wstążką, oraz inteligentne, zielone oczy o przenikliwym i czujnym spojrzeniu. Wyglądał cokolwiek onieśmielająco, by nie powiedzieć groźnie. I bardzo mu kogoś przypominał, nie tyle wyglądem, ile sposobem bycia.

Proszę, proszę... – Jack westchnął w duchu. – Kolejny Becket do kolekcji...

- Dobry wieczór, panie Eastwood – odezwał się przyjemnie

niskim głosem przybysz.

- Dobry wieczór. Niech zgadnę, mam przyjemność z Chance'em Becketem, prawda? Jest pan jedynym z braci, którego nie poznałem osobiście, więc nie mogę się mylić.

- Błyskotliwa dedukcja. Ojciec wspominał, że masz umysł ostry jak brzytwa. Miło mi cię poznać, Jack. Mów mi Chance.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Rian prawie się wczoraj zdradził. Powiedział, że zanim przyjechał do nas, złożył najpierw wizytę komuś innemu. Chodziło o ciebie, mam rację? A łudziłem się, że Ainsley mi ufa. Kiedy ja wreszcie zmądrzeję?

- Ależ ufa ci. W przeciwnym razie nie powierzyłby ci Elly. Powiem więcej, gdyby papa nie miał do ciebie zaufania, w ogóle nie byłoby tej rozmowy. Głównie dlatego że od dwóch lat byłbyś martwy.

Eastwood uśmiechnął się kwaśno.

- No tak, mogłem się tego domyślić. Jeśli się nie mylę, jesteś najstarszym z braci?

- Owszem. A ma to dla ciebie jakieś znaczenie?

Nie było czasu na uniki i przekomarzania.

- Ma. O ile zechcesz mi uwierzyć, że jestem zakochany w twojej siostrze. Do szaleństwa. Na zabój, nazwij to, jak chcesz. I nie zdołasz wybić mi tego z głowy, więc nawet nie próbuj.

Becket uśmiechnął się, unosząc brew.

- Nie owijasz w bawełnę, chłopie. Ledwo się znamy, a już cię lubię. Przypominasz mi moją żonę. Też jest wyjątkowo bezpośrednia. Teraz pewnie zamierzasz poprosić mnie o rękę Elly?

- Niczego bardziej nie pragnę, ale najpierw muszę ci się do czegoś przyznać. Padło na ciebie, skoro Ainsleya nie ma

w pobliżu.

- Nie brzmi to dobrze. Powinienem przygotować się na najgorsze? Mam nadzieję, że idzie o Chelfhama i Gang Czerwonych... A może za chwilę skomplikujesz nam obu życie wyznaniem, którego wolałbym nie usłyszeć? Radzę pozostać przy tym pierwszym. Sam rozumiesz, jeśli się okaże, że chodzi jednak o to drugie, jako oburzony brat będę zmuszony zażądać satysfakcji.

Eastwood zaśmiał się mimo woli.

- Ja też z miejsca cię polubiłem. Bez obaw, nie skomplikuję nam życia. Jak wspomniałeś znam waszą rodzinę od dwóch lat. Rzecz w tym, że zacząłem tę znajomość od kłamstwa. A raczej znalazłem się w waszym domu podstępem.

- Doprawdy? Widzę, że sprawa jest poważna. - Chance podniósł się od stołu i skinął w stronę drzwi. - Chodź, przejdziemy się.

- Byłem niemal pewien, że Becketowie zajmują się przemytem - ciągnął Jack, kiedy wyszli na ulicę. - I chciałem to sprawdzić.

Becket sprawiał wrażenie rozbawionego.

- Od początku mówiłem Courtlandowi, że te przebieranki źle się dla niego skończą. Czarny płaszcz? Maski? To chyba lekka przesada... A tak na poważnie, jak się zorientowałeś, że coś jest na rzeczy?

- Wasz przyjaciel Billy to straszny gaduła. Zwłaszcza kiedy sobie podpije.

Chance roześmiał się w głos.

- Słynie z tego w całej wiosce, jak zapewne wiesz.

- Właśnie. Więc spiłem go ociupinkę i zadałem mu kilka naprowadzających pytań. Dalej samo poszło. A potem

uratowałem mu życie podczas karcianej burdy w karczmie. Nie zdradził was. Wielu rzeczy sam się domyśliłem. Byłem w wojsku. Służyłem pod wodzą Wellingtona jako zwiadowca, więc mam doświadczenie.

- Ale chyba nie jesteś królewskim szpiegiem? Szkoda byłoby cię... - Urwał i uśmiechnął się.

- Nie, nic z tych rzeczy. Ainsley i twoi bracia kompletnie mnie zaskoczyli. Przyjęli mnie bez większych zastrzeżeń i dopuścili do „interesu”. Zaimponowali mi tym, co robią, choć ich działalność jest nielegalna. Powody mojego przyjazdu do Romney Marsh nie mają już większego znaczenia, ale i tak ci je zdradzę. Nie chcę, żebyście mieli jakiegokolwiek wątpliwości co do moich intencji. Poza tym nie mogę poprosić o rękę Eleonor, dopóki nie oczyszczę sumienia.

Becket przystanął na moment i spojrzał na Jacka.

- Jej także wyznasz grzechy jak na spowiedzi?

- Jeśli dożyję - odparł z uśmiechem Eastwood. - Wciąż nie mam pewności, czy zaraz nie poderżniesz mi gardła.

- Hmm... Zatem jesteś człowiekiem honoru... I co ja mam z tobą począć, mości panie Eastwood?

- Wysłuchaj mnie, a potem sam rozsądzisz. Zapewniam cię, że kiedy stałem się częścią waszego rodzinnego biznesu, porzuciłem na dobre myśl o tym, żeby wydać was straży przybrzeżnej. Za nic nie zdradziłbym Becketów. Wasz ojciec to jeden z najwspanialszych i najbardziej intrygujących ludzi, jakich znam, a trzeba ci wiedzieć, że jadałem przy jednym stole z Wellingtonem i całym jego sztabem.

- Poważnie? - zachichotał Chance. - Musisz koniecznie opowiedzieć o tych kolacyjkach Spencerowi. Nic mnie tak nie bawi, jak widok Spence'a zieleniejącego z zazdrości.

Jack odetchnął z niejaką ulgą.

- To jeszcze nie wszystko. Raz na jakiś czas wysyłałem wiadomości do Ministerstwa Wojny. Donosiłem w nich o pogłoskach na temat przerzucania przez Kanał La Manche francuskich szpiegów. Robiłem to i przed, i po poznaniu Ainsleya. Zdaje się, że chciałem w ten sposób uciszyć sumienie. Rozumiesz, co mam na myśli. Nie dość, że zostałem przemytnikiem, to jeszcze przypadło mi to do gustu. Życie wśród Becketów jest bardzo ekscytujące... No i zacząłem żyć dostatnio, a przedtem zawsze byłem zdany na łaskę bogatych krewnych.

- Nie brak ci honoru, a w dodatku jesteś rozbijającą szczerą. Nie stronisz od ryzyka i przygód, ale masz sumienie. I serce na właściwym miejscu, skoro pokochałeś moją siostrę. No, no... Nic dziwnego, że przepadasz za Ainsleyem.

- Czy to znaczy, że jednak nie skreślisz mi karku? Klnę się na Boga, że nigdy nie naraziłem waszej rodziny na żadne niebezpieczeństwo. I nigdy nie narażę.

- Nie potrzebuję twoich zapewnień. Gdybyś nas zdradził, zawisłbyś na stryczku razem z nami. Zdaje się, że osobiście czytałem jeden z twoich listów, kiedy jeszcze pracowałem dla ministra. Podpisywałeś się: „Przyjaciel monarchii”, prawda? Bardzo się tym wówczas interesowaliśmy. Wysłano mnie nawet do Romney Marsh z oficjalną misją. Miałem zająć się poszukiwaniem szpiegów. Za sprawą jednego z twoich doniesień, jak sądzę. Musieliśmy minąć się o włos.

- Pracowałeś w Ministerstwie Wojny? A to ci dopiero! Genialne posunięcie. Służyłeś ojczyźnie, a jednocześnie mogłeś chronić rodzinę, oddalając od niej podejrzania.

- Służyłem ojczyźnie z wyboru, nie z wyrachowania - oznajmił

z powagą Becket. - Kiedy przystępowałem do służby, nie wiedziałem, czym zajmuje się ojciec. Skończyłeś już spowiedź? Czy masz coś jeszcze na sumieniu?

- Nie, to by było na tyle.

- W takim razie, kolej na mnie. Doceniam twoją szczerłość, Jack, ale od początku o wszystkim wiedzieliśmy. Może z wyjątkiem tego, że to ty pisałeś do ministerstwa.

- Co? Jak to?! - zawołał Eastwood, nie kryjąc zdumienia.

- Och, nie irytuj się. Ojciec przewidział, że nie będziesz zachwycony, ale zastanów się chwilę. Znasz Ainsleya. Czy ktoś taki jak on, zapobiegliwy i ostrożny, przyjąłby na łono rodziny obcego, nie sprawdzwszy, kim jest? Zaryzykowałby życie bliskich?

- Chryste. Nie, oczywiście, że nie. Boże, ależ byłem naiwny i ślepy. W dodatku gratulowałem sobie przebiegłości. A to wasz papa i jego przyjaciel Jacko od początku rozdawali karty. À propos kart, Jacko co dzień przychodził do mojego pokoju na partyjkę wista. Ale ze mnie idiota... Ty także wszystko o mnie wiesz?

- Ojciec powiadomił mnie, że się pojawiłeś, kiedy leczyłeś rany po bójce w gospodzie. Pracowałem jeszcze wtedy w ministerstwie, więc bez trudu przeprowadziłem na twój temat małe śledztwo. A teraz, skoro już to i owo sobie wyjaśniliśmy...

- Chwileczkę. A co z Billym? To ja wykorzystałem jego czy on wykorzystał mnie? Idę o zakład, że powiedział mi dokładnie to, co chciałem usłyszeć.

- Cóż, zanim pojawiłeś się w karczmie, kręciłeś się po okolicy i zadawałeś za dużo pytań. Dlatego się tobą zainteresowaliśmy. Wysłaliśmy więc Billy'ego w charakterze przynęty. Podobnie jak

Demetrousa, człowieka, któremu zapłaciłeś, żeby wszczął bijatykę. Biedaczysko nieźle się napocił, żeby cię nie zabić. Walczyłeś tak dzielnie, że musiał bardzo uważać, żeby jego nóż nie natrafił na żadne ważne organy. Trzeba było nieco cię poturbować, bo byłeś nam potrzebny ranny i bezbronny. Billy'emu rzecz jasna nic się nie stało. Wyszedł z tego bez zadraśnięcia. Jednym słowem zostałeś wystrychnięty na dudka. Mam nadzieję, że nam to kiedyś wybaczysz.

- A niech mnie... - jęknął Jack. - Powinienem pewnie dziękować Bogu, że zostawiliście mnie przy życiu.

- Okazałeś się lojalny - odrzekł Becket, klepnąwszy go przyjaźnie po ramieniu. - Możemy na ciebie liczyć. Udowodniłeś to nie raz i nie dwa. Tak czy inaczej, wiem, że zostało coś, o czym mi nie powiedziałeś. Wyrzuć to z siebie, żebyśmy mogli rozpocząć nowy etap naszej znajomości.

- Zdaje się, że nie mam wyboru. Ale pozwól, że najpierw cię o coś zapytam. Kiedy zbierałeś informacje dla Ministerstwa Wojny, współpracowałeś na wybrzeżu z dragonami?

- Aha, przeszliśmy do sedna. Moja odpowiedź brzmi: nie. W każdym razie nie bezpośrednio. Teraz zadam ci pytanie pomocnicze, żeby łatwiej ci było zacząć. Żona zawsze mi powtarza, że należy pomagać bliźnim. A zatem, dlaczego interesują cię moje powiązania z dragonami?

- Powiem ci, choć jestem pewien, że już to wiesz. Przyjechałem do Romney Marsh w poszukiwaniu kuzyna. Był dragonem w waszych stronach, aż pewnego dnia zapadł się pod ziemię. Matka i ja mieszkaliśmy wówczas z ciotką. Jest wdową, oprócz nas i Richarda nie ma nikogo. Ubłagała mnie, żebym spróbował odnaleźć jej syna.

Chance popatrzył poważnie na Jacka.

- Jego dowódcy nie potrafili udzielić ci żadnych istotnych informacji?

- Nie wiedzieć czemu, okazali się wyjątkowo małomówni. Nie kwapili się, żeby powiedzieć mi cokolwiek. Dowiedziałem się tylko, że zniknął nad ranem tuż po schwytaniu szajki przemytników i przechwyceniu kontrabandy. Ich wrogie milczenie dało mi do myślenia i postanowiłem jeszcze trochę powęszyć. Richard nie szczególnie dbał o matkę, ale był jedynakiem. A mnie żal ciotki. Domyśla się, że jej syn nie żyje, ale chciała wiedzieć, co się z nim stało. Łudzi się, że może zwyczajnie zdezerterował i gdzieś się ukrywa.

Becket milczał przez dłuższą chwilę, pogrążony we własnych myślach.

- Wspomniałeś, że miał na imię Richard... Jak rozumiem, chodzi o porucznika Richarda Diamonda?

Eastwood zatrzymał się gwałtownie i zerknął na towarzysza.

- Zgadza się. Miał na nazwisko Diamond. Znałeś go osobiście, prawda? Wiesz, co mu się przytrafiło...

Becket westchnął i przeczesał dłonią włosy.

- Tak, znałem go. Przykro mi to mówić, ale twojego kuzyna istotnie nie ma już wśród żywych.

Nareszcie jakieś konkrety.

- Skąd wiesz?

- Byłem przy tym - oznajmił bezbarwnie Chance, patrząc Jackowi prosto w oczy. - Widziałem, jak umiera.

- Widziałeś, jak umiera? - Eastwood zaczerpnął głęboko tchu i wypuścił ze świstem powietrze. - Wystarczy. Dość się już nasłuchałem.

- Powiem ci całą resztę bez względu na to, czy chcesz ją usłyszeć, czy nie. Jeśli mam być całkiem szczery, właśnie po to

się dziś z tobą spotkałem. Kiedy Treacle zwietrzył pismo nosem i doniósł nam, że ty i Elly macie się ku sobie, uznaliśmy, że powinieneś się o tym dowiedzieć. Im szybciej, tym lepiej.

Jack dostał raptem ataku śmiechu.

- Treacle też jest waszym szpiegiem? Mój własny majordomus? Eleonor o tym wie? Przedni dowcip, słowo daję.

- Nie, Elly nie ma o niczym pojęcia. Wysłaliśmy go do twojego domu dużo wcześniej. Zanim zmusiła ojca, żeby puścił ją do Londynu. Swoją drogą, chciałbym to zobaczyć. Zawsze wiedziałem, że drzemie w niej prawdziwa bestyjka. Trzeba było tylko trochę poczekać, żeby pokazała pazurki. Na twoim miejscu też byłbym wściekły, Jack, ale zrozum, musieliśmy umieścić u ciebie Treacle'a. Przywykliśmy do tego, że chronimy swoich. Włączając w to ciebie.

- W porządku, rozumiem. Ale to się musi skończyć. Nie życzę sobie żadnych więcej szpicli. Albo mi ufacie, albo nie.

- Słusznie. Zgadzam się w zupełności. Ainsley też tak uważa. Dlatego opowiem ci, jak i dlaczego zginął twój kuzyn. Nie chcemy, żeby były między nami jakieś żale czy niedomówienia. Za rogiem jest kawiarnia.

Godzinę później Jack i Chance doszli do porozumienia. Zmierzyli się z prawdą i pogodzili z tym, że na swoje nieszczęście obaj mieli powiązania z porucznikiem Richardem Diamondem. Po oczyszczającej rozmowie nawet się ze sobą zaprzyjaźnili. Mieli wiele wspólnego, ale połączyła ich przede wszystkim Eleonor. Po jakimś czasie Becket zapytał Eastwooda, czy wie, że Chelfham jest stryjem Elly. Deklarował, że jest w niej zakochany, więc była to istotna informacja.

- Nie stryjem, lecz ojcem, Chance - sprostował Jack. -

Człowiekiem, który sprowadził ją na świat. Powiedziała mi o tym w zaufaniu. Nikt inny nie wie, więc nie powinienem ci tego mówić. Uznałem jednak, że warto, żebyś poznał prawdę. Zwłaszcza jeżeli zdecydujemy, że należy zgładzić Maddoksa. Matka Eleonor zdradzała męża z jego własnym bratem. Twoja siostra trzymała to przed wami w tajemnicy przez kilka lat. Od czasu, kiedy zaczęły wracać do niej wspomnienia z przeszłości. Wyobrażasz sobie, jak musiało jej być ciężko?

- Ojcem? - zdumiał się Becket. - Ta kanalia jest ojcem naszej Elly? Chryste... I ojciec... To znaczy Ainsley nic o tym nie wie?

- Nie powiedziała mu, bo się bała, że zrobi coś złego, spotka się z hrabią i zażąda odpowiedzi na trudne pytania. Nie chciała narażać go na niebezpieczeństwo. Przeczuwała, do czego zdolny jest Chelfham.

- Cała Elly. Jest bardzo opiekuńcza. Masz rację. Nie powinno jej tu być, kiedy się go pozbędziemy. Co jeszcze odkryłeś? Jak daleko sięgają jego związki z Czerwonymi?

Jack zrelacjonował Becketowi wydarzenia minionego tygodnia. Wiedział, że może mu ufać. Poza tym potrzebował jego pomocy.

- Elly zamierza świadomie wystawić się temu szubrawcowi na cel? - Chance nie posiadał się z oburzenia. - Po moim trupie. Nigdy na to nie pozwolę. Nie chcę, żeby kiedykolwiek oglądała go na oczy. Ta dziewczyna ma serce ze złota. Jest czysta jak łza. Nie zniesie takiego... plugastwa.

- Mnie też nie przypadł do gustu ten pomysł, ale nie doceniasz jej. Twoja siostra jest znacznie silniejsza, niż myślisz. Ma nerwy ze stali, jak mawia Jacko. Z początku mu nie wierzyłem, ale przekonałem się, że ma rację. Który z nas jej powie, że nie spotka się więcej z Maddoksem?

- Ty się do tego nie nadajesz. Jesteś zakochany, więc zrobiłbyś dla niej wszystko. Już prędzej mi się powiedzie. Jako starszy brat mogę krzyknąć i tupnąć nogą. Coś wymyślimy. Co dwie głowy to nie jedna. Zwłaszcza że mamy teraz asa w rękawie. Jesteś pewien, że twój cenny świadek przeżyje?

Eastwood podrapał się po brodzie.

- Cluny twierdzi, że tak, chociaż, kiedy go ostatni raz widziałem, biedaczysko wyglądał, jakby jedną nogą był już na tamtym świecie. Jego kompan nie miał tyle szczęścia.

- Dobrze. Pomyślimy, jak go wykorzystać. Chciałbym, żebyś mi streścił, co wiesz od Elly o jej... o dniu, w którym dołączyła do naszej rodziny. Znam ją i wiem, że opowiedziała ci tę historię wyłącznie z własnego punktu widzenia. Na pewno uznała, że niektórych rzeczy powinienś dowiedzieć się od samych zainteresowanych. Kochasz ją, więc wypada, żebyś miał pełny obraz sytuacji.

- Rzeczywiście, wciąż nie mówi mi wszystkiego. Czuję, że chce mi się zwierzyć, ale coś ją przed tym powstrzymuje. Zdaje się, że kogoś chroni. Pewnie Ainsleya. Mógłbym zaczekać, aż się z nim zobaczę, ale jeśli uważasz, że to ważne, wolałbym wiedzieć teraz.

Chance objął dłońmi kubek.

- Nie chodzi o Ainsleya. Nie wiem, ile z tego zapamiętała, ale mam nadzieję, że najgorsze wspomnienia nigdy nie powróciły. I nie powrócą. Jacko obawia się tego od samego początku. Nie będzie zachwycony, kiedy się dowie, że cię wtajemniczyłem. Cóż, trudno. Cała ta sytuacja wydaje się cokolwiek nierealna... Wręcz niemożliwa. Za dużo zbiegów okoliczności... Ów tajemniczy mężczyzna z czarnego powozu... Jeśli się okaże, że moje podejrzenia co do niego są słuszne... Nie mam pojęcia, jak

powiedzieć o tym ojcu...

- Chance, na miłość boską, lubię cię, ale jeśli zaraz nie przejdiesz do rzeczy, uduszę cię gołymi rękoma.

Becket posłał mu szeroki uśmiech.

- Wybacz. Czasami głośno myślę. Przejąłem ten zwyczaj od żony. Staram się oddzielić to, co wiemy na pewno, od zwykłych przypuszczeń.

- Zastanówmy się razem. Byliście kiedyś najemnikami prawda? Kaperami? Angielskie prawo tego nie zabrania. Zakładam, że mieliście glejt od króla?

- Owszem - odparł z rozbawieniem Becket. - I to nie jednego, od hiszpańskiego, francuskiego, ba, dostaliśmy nawet pozwolenie z Ameryki. Choć francuski dokument był akurat podrobiony. Niewiele się różniliśmy od piratów, ale jesteśmy patriotami, nigdy nie zaatakowaliśmy angielskiego statku.

Eastwood pojął nagle, w czym rzecz.

- Aż do dnia, w którym zatopiliście żaglowiec płynący z Jamajki. Z Eleonor i jej matką na pokładzie.

Chance skinął głową.

- Właśnie. Zostaliśmy celowo wprowadzeni w błąd. Zdradził nas przyjaciel Ainsleya. Nie wiesz nawet, jak bardzo... chciał zniszczyć ojca i... dopiął swego. To była część jego planu. Po zniszczeniu angielskiego statku byliśmy skończeni. Musieliśmy porzucić korsarstwo i zacząć się ukrywać. Ojciec wprawdzie już wcześniej zamierzał wycofać się i wrócić do Anglii, ale z pewnością nie w takich okolicznościach... Tamte wydarzenia przyspieszyły naszą przeprowadzkę do Becket Hall. To miał być nasz ostatni, pożegnalny rejs. Mieliśmy się obłowić i rozpocząć nowe życie na ojczyznej ziemi. I rozpoczęliśmy, tyle że nie tak to miało wyglądać. - Becket na moment zamyślił się ponuro.

- Innymi słowy, rozpętało się wokół was piekło - domyślił się Eastwood. - Zatopiliście statek, żeby zatrzeć ślady, prawda?

- Tak. Kiedy o świcie wypływaliśmy z mgły, byliśmy pewni, że wspólnik ojca wciąż na nas czeka. Okazało się, że zniknął, a my zostaliśmy otoczeni przez całą armadę. Byliśmy bezbronni i zdesperowani. Cudem uszliśmy z tego z życiem.

- Ten łajdak zostawił was na pewną śmierć? Gdzie wtedy był?

- Gdzie indziej. - W głosie Chance'a zabrzmiała ostrzejsza nuta. - Wyrównywał rachunki w innym miejscu. Daruj, ale na razie nie powiem ci więcej. Statek już tonął, kiedy się zorientowaliśmy, że ktoś wciąż jest na pokładzie. Eleonor i jej matka schowały się przed nami w jednej z kajut. Jacko miał właśnie przeskakiwać na nasz pokład, gdy ni stąd, ni zowąd rozległ się krzyk kobiety. Dał nam znać, żebyśmy zaczekali, i zniknął na dole.

- To wymagało sporej odwagi.

Becket uśmiechnął się bezwiednie.

- Jacko jest niezniszczalny. W każdym razie tak mu się wydaje. Poza tym był wtedy o wiele młodszy. Pobiegłem za nim, żeby mu pomóc. Kapitan statku schował Elly i jej matkę we własnej kajucie. Zostawił im broń. Zapewne kazał biedaczce zabić siebie i dziecko, jeśli się okaże, że nie zdołał obronić statku. Sądził, że ma do czynienia z piratami - piratami, którzy od miesięcy nie widzieli na oczy kobiety... Domyślasz się, czym to się zwykle kończy. Śmierć z własnej ręki jest z pewnością lepsza niż zbiorowy gwałt. Dookoła szalał pożar, łajba, a raczej to, co z niej pozostało, powoli szła na dno. Matka trzymała Elly na muszce i krzyczała wniebogłosy, żebyśmy ją zostawili. Że prędzej zabije własne dziecko, niż pozwoli byśmy je obie zhańbili. Pistolet był odbezpieczony, a obok leżał drugi,

przeznaczony dla niej.

- Nie udało wam się jej rozbroić?

- Próbowałem, ale gdy zrobiłem krok w jej stronę, wymierzyć do mnie. Nie uwierzyła, kiedy jej powiedzieliśmy, że toniemy. Błagaliśmy ją, żeby oddała dziecko i zechciała się ratować. Nic nie pomagało. Boże drogi, to było straszne. Nie masz pojęcia, ile razy przeżywałem tę chwilę na nowo. Tłumaczyłem sobie, że jako siedemnastoletni młokos niewiele mogłem zrobić. Nadal żałuję, że nie zdołaliśmy ocalić ich obu. Nie było chwili do stracenia, a kobieta zachowywała się jak szalona. Z kolei Jacko... Jacko nigdy nie zostawiłby na śmierć niewinnego dziecka. - Becket przesunął ręką po twarzy i westchnął. - Więc... więc strzelił lady Maddox prosto między oczy, żeby nie zdążyła nacinać spustu.

Jack poczuł się tak, jakby to jego przeszyła zbłąkana kula.

- Zastrzelił ją? - zapytał z niedowierzaniem. - Na oczach Eleonor? Jezusie nazareński...

Chance kiwnął ponuro głową.

- Prośbami niczego nie wskórał. Ostrzegał ją, że strzeli. Mówił, że jeśli chce umrzeć, droga wolna, ale nie pozwoli jej zabić córki. Nigdy nie zapomnę huku tego wystrzału i przerażonych wrzasków Elly. Do dziś mam je w uszach. Po wszystkim chwyciłem małą na ręce i wybiegłem na pokład, ale była tak zdezorientowana i wystraszona, że mi uciekła. Zaczęła biec przed siebie na oślep i... właśnie wtedy spadł na nią kawałek płonącego takielunku.

- Widziałem jej nogę, Chance. Wygląda tak, jakby ktoś przypalał ją rozżarzoną żelazką, a potem rozgruchotał kości.

- To cud, że Odette udało się uratować jej stopę. Niewiele brakowało, a nie mogłaby chodzić. Całe szczęście, że nie

pamięta, jak do tego doszło i jak zginęła jej matka.

Actus non facit reum, nisi mens sit rea, przypomniał sobie Jack. Zbrodniczy akt nie jest zbrodnią, bez zbrodniczego zamiaru... Mówiła, że to ulubiona maksyma Ainsleya, że Jacko także żyje według niej i dzięki temu nic nie spędza mu snu z powiek... Chryste to znaczy... to znaczy, że...

- Ona wie, Chance. Kiedy w rozmowie pada przypadkiem imię Jacko... zachowuje się dziwnie. Widziałem to w jej oczach. Jestem pewien, że doskonale pamięta, co się wówczas wydarzyło. Każdy najdrobniejszy szczegół...

- Boże drogi... - Becket westchnął ciężko. - Oby nigdy się nie dowiedział, że ona wie... pewnie odjęłoby mu rozum. Traktuje ją jak własną córkę i kocha ponad życie. Bez namysłu dałby się dla niej żywcem poćwiartować.

- A kiedy trzeba bez wahania by dla niej zabił. Sam mi o tym wspominał... Zastanawia mnie jeszcze jedno. Widziałeś jej matkę. Pamiętasz, jak wyglądała?

- Tak. Czemu pytasz?

- Wydaje mi się, że Chelfham mógł rozpoznać Elly.

- Nie zdziwiłbym się. Jest do niej bardzo podobna. Jeśli Jacko ma sumienie, zapewne ciężko mu na nią patrzeć.

Eastwood pokręcił z niesmakiem głową.

- Czyli możemy założyć, że hrabia z miejsca ją poznał. Pozwól, że teraz ja ci coś powiem, Chance. Przez te wasze przekłete sekrety twoja siostra niemal straciła życie. Gdyby coś jej się stało, to klnę się na Boga, wszystkich bym was powybił. A przedtem urządziłbym wam prawdziwe piekło na ziemi.

- Wierzę. - Becket posłał mu przyjazny uśmiech. - Moja Julia pokocha cię jak brata w ciągu kwadransa. Będzie tobą zachwycona. Zbieramy się? - Wstał i rzucił na stół kilka monet.

Gdy wyszli na ulicę, było już po zmroku.

- Eleonor pewnie zastanawia się, gdzie jestem - stwierdził Jack, czując się jak stary żonkoś, któremu niebawem dostanie się po głowie od rozgniewanej małżonki. Nie wiedzieć czemu, ta myśl sprawiła mu taką przyjemność, że się uśmiechnął. - Chyba będę musiał zacząć jej się ze wszystkiego spowiadać.

- Bardzo słusznie. I mówię to nauczony smutnym doświadczeniem. A propos spowiedzi, mam nadzieję, że już skończyliśmy. Czy trzymasz w zanadrzu jeszcze jakieś ważne pytania?

Raz kozie śmierć, pomyślał Eastwood. Najwyżej mi nie odpowie.

- Ów bezimienny wspólnik Ainsleya... Człowiek, który was wówczas zdradził... Czy mogę przyjąć, że nie żyje?

Becket nałożył na głowę kapelusz.

- Tak sądziliśmy. Przez blisko piętnaście lat. Pokazano nam nawet wiarygodny dowód jego śmierci.

- Ale? - ponaglił go Jack. - Teraz nie macie już co do tego pewności? - Przypomniał sobie mężczyznę z czarnego powozu.

- Chelfham prawdopodobnie kazał zabić własnego brata. Dziwnym zbiegiem okoliczności morderstwa dokonano na tym samym statku, który później zniszczyliście, bo wasz „przyjaciel” wyprowadził was w pole. A po latach pojawił się nagle gang przemytników dowodzony przez bezwzględного okrutnika, którego tożsamości nikt nie zna albo obawia się wypowiadać jego nazwisko na głos. Maddox boi się swojego pryncypała jak ognia. Niewykluczone, że widział w przeszłości, do czego ów człowiek jest zdolny. Może właśnie tego dnia, kiedy znaleźliście Elly. Nie wierzę, że to zwykły przypadek.

- Też tak myślę, Jack. Zbyt wiele zbiegów okoliczności. Ale na

razie nie powiemy o tym Ainsleyowi. Jeszcze na to za wcześnie.

- Bo musimy najpierw zburzyć nieco stary porządek i sprawić, by Czerwoni stracili stałe źródło dochodów?

- Właśnie to miałem na myśli. Widzisz, jak dobrze się rozumiemy? Później powinno być łatwiej ostatecznie się z nim rozprawić. Ten człowiek podawał się za naszego przyjaciela, a mimo to bez zawahania nas zdradził i posłał na śmierć. Wziął od Chelfhma pieniądze za pozbycie się jego brata, a potem kazał zatopić statek z jego kochanką i córką na pokładzie. To w jego stylu. Przegrali wszyscy, a on został panem sytuacji.

- Tyle że Eleonor przeżyła. I pamięta, co się stało. Jest świadkiem zabójstwa. Musimy jak najprędzej wywieźć ją z miasta. Nie jest tu bezpieczna.

- Zgadzam się, że musi zniknąć. Ale najpierw postarajmy się, żeby przywódca Czerwonych stracił dostawców i źródło dochodu. Potem pojedziesz z Elly do Becket Hall, a ja wrócę do domu. Kiedy załatwimy tu, co trzeba, Becketowie przez jakiś czas będą zmuszeni siedzieć cicho jak mysz pod miotłą. Tego człowieka nie da się wykończyć od razu. Jest zbyt bystry i zbyt przebiegły.

- To znaczy, że upłyną lata, zanim znów spróbujemy go dorwać?

Twarz Chance'a wyglądała jak wykuta z kamienia.

- Tak. Ale jeśli to rzeczywiście on, prędzej czy później dorwiemy go i zniszczymy. W swoim czasie i na własnych warunkach pošlemy go prosto do piekła. Tam, gdzie powinien gnić już od dawna. Mogę ci to obiecać.

- Chcę to zobaczyć na własne oczy - zadeklarował Eastwood.

- Ze względu na Eleonor.

- Tak, ze względu na Eleonor, Geoffreya i jego Isabellę. Ze

względu na nas wszystkich. Chryste, od kiedy sam mam rodzinę, rozumiem ojca jeszcze lepiej. Chyba mam pomysł, co zrobić, żeby odwieść moją siostrę od jej szalonego planu. Wytrącimy jej z ręki argumenty. Co ty na to?

- Jestem za.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Zbłąkane pasmo włosów połaskotało ją w szyję. Eleonor uniosła przez sen rękę, żeby je odgarnąć. Potem zwinęła się w kłębek i wtuliła twarz w oparcie kanapy. Po chwili znów poczuła coś na skórze. Zmarszczyła brwi i jeszcze raz przesunęła dłoń po karku. Nie pomogło.

Co, do diabła? Pająk? Rety, łązi po mnie pająk! Niewiele myśląc, zamachnęła się z całej siły, żeby usunąć intruza. Ku swemu zdumieniu natrafiła na coś znacznie większego.

- Auuu! Mój nos! Co ty wyprawiasz? Chcesz mnie oszpecić?

Przewróciła się na wznak i zamrugała, mrużąc powieki.

- Jack? To ty?

- A któżby inny? Spodziewałaś się kogoś innego, moja pani? W naszej sypialni? Zgroza. - Odsunął na bok szal, którym się okrywała, i przycupnął obok niej. Miał ochotę porwać ją w ramiona i ochronić przed całym złem tego świata. Wyczuwał jednak, że chwilowo nie jest w dobrym nastroju i mogłaby go przepędzić.

- Trzeba było przyjść cztery godziny wcześniej, zanim się ściemniło - burknęła zrzędliwie. - Wtedy nie musiałabym sprawdzać, czy to ty, czy jakiś... intruz.

- Eleonor, na miłość boską, nawet tak nie mów...

- Siedzisz mi na szalu. Rusz się, żebym mogła się podnieść.

- Podnieść? A po co? Podobasz mi się tam, gdzie jesteś, taka mięciutka i ciepła. I... rozsierdzona jak harpia. Dobrze, już dobrze. Nie krzyw się. Widzisz? Wstaję. Co tylko każesz...

Próbował być uroczy i zabawny. Zapewne sądził, że to wystarczy, żeby wybaczyła mu spóźnienie. Gdyby chociaż coś powiedział, zostawił jej jakąś wiadomość... Zniknął bez słowa, a teraz uważa, że wszystko jest w porządku? Niedoczekanie.

Mimo to kamień spadł jej z serca, kiedy go zobaczyła. Kiedy zrozumiała, że wrócił do niej cały i zdrowy, w pierwszym odruchu chciała rzucić mu się na szyję. Rychło sobie jednak przypomniała, że jest na niego zła. Miałyby tak łatwo puścić w niepamięć jego rozkoszną beztroskę? Co to, to nie. Nie jest aż tak wyrozumiała.

- Posłałeś mnie z Rianem na zakupy! - rzuciła oskarżycielskim tonem, spuściwszy nogi na podłogę. - Masz pojęcie, co ten chłopak wyczyniał u modystki? Słowo daję, jakby dostał amoku. Tylko najadłam się przez was wstydu.

- U modystki? - zdziwił się, nalewając sobie brandy. - Mieliście przecież iść do szewca. Co robiliście u modystki?

Przewróciła oczami.

- Jej sklep był tuż obok. Zauważyłam na wystawie kapelusz. Pomyślałam, że będzie idealny dla Fanny i... zaraz, dlaczego ja ci się tłumaczę? To nie ja zniknęłam na cały dzień. Gdzieś ty się podziewał tyle czasu?

- Cierpliwości, wszystko ci opowiem. - Usiadł przy niej i wziął ją za rękę. Dwoił się i troił, żeby zyskać na czasie. Wolałby stanąć twarzą w twarz z całą francuską armią, niż powiedzieć jej o tym, co wymyślili razem z Clunym i jej starszym bratem. Musiał dać sobie kilka minut, żeby zebrać się na odwagę. - Zdradź mi lepiej, co takiego robi Rian, kiedy jest w amoku, bo jakoś trudno mi to sobie wyobrazić.

Westchnęła i wzniosła oczy ku niebu.

- Tym razem uznał, że obecne w sklepie klientki nie obędą się

bez jego opinii. Chichotom i pąsom durnych dzierlatek nie było końca. Nie minęło pięć minut, a zaczęły przybiegać do niego po kolei i pytać o zdanie. Zwątpiłam, kiedy któraś z nich wsunęła mu do ręki bilecik. Wyciągnęłam go stamtąd niemal za uszy.

Zakrył usta, żeby się nie roześmiać.

- Co było w bileciku?

Gdy posłała mu poirytowane spojrzenie, zapragnął ją przytulić i całą wycalować.

- A jak ci się zdaje? Zaproszenie na potajemną schadzkę. Skaranie boskie z tym chłopakiem. Dość już tej gadaniny. Powiesz mi w końcu, gdzie byłeś tyle czasu?

- Kiedy się złościś, jesteś jeszcze piękniejsza niż zwykle.

- Mów, gdzie byłeś. I nie zmieniaj tematu.

- Dobrze, ale najpierw ty mi powiedz, czy dotarliście do szewca.

Zawstydziała się nagle.

- Do szewca? Och... no, tak, oczywiście, poszliśmy do szewca. Z początku byłam wściekła, że kazałeś Rianowi mnie tam zabrać, ale moje nowe buty są o wiele wygodniejsze. Trochę bardziej w nich utykam, ale kto by się tym przejmował. Jestem ci ogromnie wdzięczna. Dziękuję, że o tym pomyślałeś...

- Nie ma za co. Cieszę się, że będzie ci lżej. - Odstawił kieliszek i popatrzył na nią z powagą. - Skończyły mi się pomysły na dalsze pytania, więc chyba nie mam wyboru. Muszę ci opowiedzieć, co robiłem przez cały dzień.

Najwyższa pora... - odetchnęła w duchu.

- Wybrałeś się do Chelfhama, prawda?

- Tak, z samego rana. - Wydawało mu się, że od tego czasu upłynęły całe wieki. - Zapewniłem go, że jutro wyjeżdżasz. Dlatego mogłem być spokojny, że dziś nic ci nie grozi.

- Byłeś spokojny, że nic mi nie grozi, a mimo to wysłałeś ze mną Riana i dwóch lokajów. Wszyscy trzej byli uzbrojeni po zęby i raczej się z tym nie kryli. Ludzie spoglądali na mnie jak na wybryk natury. Miałam ochotę im powiedzieć, że jestem perską księżniczką, ale jakoś się powstrzymałam.

- A szkoda. Dla mnie zawsze wyglądasz jak księżniczka. - Posłał jej uroczy uśmiech. - Masz jeszcze jakieś inne żale? Jeśli tak, wygarnij mi je od razu i miejmy to z głowy.

- Pani Ryan upiekła przepyszną tartę z owocami. Specjalnie dla ciebie. Wzruszyła się, kiedy wychwalałeś wczoraj jej specjały. Nie pojawiłeś się, więc kazałam jej podzielić ciasto pomiędzy służbę, żeby się nie zmarnowało. Nie zdziwiłabym się, gdyby się na ciebie obraziła. Będziesz miał się z pyszna, kiedy jutro znów poda ci na kolację bulgoczący kociołek. - Uśmiechnęła się i zajrzała mu w oczy. - Teraz to już wszystko. Nie mam więcej pretensji. Czuję się jak sekutnica, ale musiałam sobie ulżyć. Od rana się o ciebie zamartwiam. Odchodziłam od zmysłów...!

- Przepraszam, Eleonor. - Chwycił ją za ramiona i cmoknął w czoło. - Wybaczysz mi? - Już wcześniej postanowił, że zatai przed nią prawdę o tym, czego się dopuścił Maddox. Nie musiała wiedzieć, że zamordował z zimną krwią jednego ze swoich współników. Lepiej oszczędzić jej szczegółów na temat kolejnych ohydnych występków człowieka, który był niestety jej ojcem. - Po rozmowie z Chelfhamem musiałem sprawdzić coś szybko na drugim końcu miasta i chodziłem tak z miejsca na miejsce przez kilka godzin. Ale bez przerwy myślałem o tobie. Przez calusieńki dzień. Ta sprawa ciągnie się stanowczo za długo. Przeklęty hrabia zabiera mi czas i nie pozwala zabiegać o twoje względy, jak należy. Kiedy to się wreszcie skończy?!

Miała ochotę się do niego przytulić, ale nie uległa pokusie.

- Jutro. Nawet jeśli mój powóz nie zostanie napadnięty, pójdziemy do Chelfahama i zażądamy, żeby przyznał się do swoich zbrodni. Wiem dokładnie, o co go zapytam.

Nadeszła chwila prawdy.

- Nie ma potrzeby, żeby się do czegokolwiek przyznawał. Zyskaliśmy dowody na to, że jest zamieszany w działalność gangu. Dureń osobiście pokazał mi, gdzie trzyma księgi i inne zapiski, które go obciążają. Pewnie zamierza mnie niebawem ukatrupić. Tak czy owak, kiedy wyszedł do klubu, włamaliśmy się z Clunym do jego gabinetu i zabraliśmy z sejfu całą dokumentację dotyczącą Czerwonych. Zanim zaczniesz na mnie krzyczeć, że niepotrzebnie się narażałem, pragnę cię uspokoić, że to dla mnie chleb powszedni. W wojsku robiłem takie rzeczy wiele razy. Jednym słowem, hrabia nie musi nam niczego mówić.

Uznała, że rozmowa o jego karierze włamywacza może chwilowo zaczekać.

- O nie! Nie zgadzam się. Musi na przykład przyznać się przede mną do tego, że jest moim ojcem i że zamordował swojego brata. Musi mi też powiedzieć, dlaczego chce mnie zabić, choć wie, że jestem jego córką.

- Nie, Eleonor. - Doskonale ją rozumiał, ale nie mógł jej pozwolić na to szaleństwo. - Gniew nie jest dobrym doradcą. Wierz mi, rozmowa z tym łotrem niczego nie zmieni. Prawdopodobnie zrani cię jeszcze bardziej. Ten człowiek jest nieczuły i zepsuty do szpiku kości. Nic, co powiesz, nie poruszy jego sumienia, bo on zwyczajnie nie ma sumienia. Nie warto przejmować się kimś takim jak on. Daj temu spokój i żyj pełnią życia. Masz przecież kochającą rodzinę. I mnie. Jeśli mnie

zechcesz.

Zamrugnęła, próbując powstrzymać łzy.

- Nie pojmuję tego... - szepnęła łamiącym się głosem. - Skąd się biorą tacy nikczemni ludzie? Skoro kochał moją matkę, to dlaczego chce pozbawić mnie życia? Jak można być aż tak podłym?

- Nie wiem, skarbie... - odparł łagodnie. - Być może wcale jej nie kochał. A nawet jeśli, pamiętaj, że zmarła wiele lat temu. Teraz ma nową, młodą żonę, która być może wkrótce urodzi mu syna. Będzie miał dziedzica, więc twoje istnienie znacznie skomplikuje mu żywot. A Chelfham, jak wiemy, nie lubi komplikacji. Trudno powiedzieć, dlaczego taki jest... Zostawmy już to za sobą... Bardzo się za tobą stęskniłem! - zmienił temat.
- I nie całowałem cię przez cały dzień. Najwyższa pora temu zaradzić...

Kiedy tak na nią patrzył, kiedy jej dotykał, wszystko inne przestawało się liczyć. Wszelkie myśli o Maddoksie raptem uleciały jej z głowy. A jego usta... nie potrafiła się im oprzeć.

Objął ją i pocałował, a ona westchnęła i przyłgnęła do niego całym ciałem. Pozwoliła mu zanieść się do łóżka i rychło zapomniała o całym świecie.

- Kochaj mnie, Jack - szepnęła mu od ucha, oplatając go nogami i ramionami.

- Kocham... Eleonor...

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

- Eleonor?

- Mmm... - Mruknęła coś niezrozumiale i wtuliła się w niego.

- Eleonor.

Westchnęła błogo i głaszcząc go po torsie, przycisnęła kolano do jego ud.

- Jestem głodny - szepnął i cmoknął ją w czubek głowy. - I choć niczego bardziej nie pragnę, na razie nie jestem w stanie ci dogodzić. Muszę chwilę odpocząć.

- Och, wybacz. - Uśmiechnęła się szeroko i pocałowała go w brodę. - Mój biedny. - Nie poznawała samej siebie, jeszcze niedawno spaliłaby się ze wstydu na samą myśl o tym, co robili. Dziś była rozkosznie bezwstydna i szczęśliwa. Nie zamieniłaby tego łóżka na żadne inne miejsce na świecie i nie żałowała ani chwili. - Jesteś głodny? W środku nocy?

- Wspominałaś coś o cieście, prawda? Pamiętam jakąś tartę...

- Tak, zdaje się, że była truskawkowa. Tak się o ciebie martwiłam, że nawet jej nie spróbowałam.

- Truskawkowa... Hmm... Jak myślisz, jest nadzieja, że został jeszcze kawałek?

- Trudno powiedzieć. Trzeba sprawdzić. - Podniosła się i odrzuciła na bok pierzynę. Owinęła się ściągniętą z łóżka narzutą, podniosła z podłogi koszulę nocną i szlafrok, po czym pomaszerowała za parawan odgradzający pokój od umywalni.

Jack wcisnął twarz w poduszkę, żeby się nie roześmiać.

Wyglądała przekomicznie, usiłując zachować skromność. Zwłaszcza w świetle tego, co przed chwilą robili. Cóż, nie ma się czemu dziwić, w końcu jest prawdziwą damą. Na pewno oczekuje, że kiedy wróci, on także będzie w pełni odziany. Chichocząc pod nosem, odszukał ubranie.

- Może pani już wyjść, panno Becket! - zawołał, sięgnąwszy po świecę. - Wyglądam, jak pan Bóg przykazał.

- Jesteś nieznośny - stwierdziła, wychylając się zza parawanu.
- W życiu nie spotkałam bardziej irytującego mężczyzny. Nie dorównują ci nawet moi bracia.

- Cóż, staram się, jak mogę. Ambicja nie pozwala mi spocząć na laurach. - Wziął ją za rękę i zeszli razem do kuchni, w której o tej porze świeciło pustkami.

Przywitały ich niemal nieprzeniknione ciemności i spasiony rudy kocur, który wylegiwał się na oknie. Otworzył jedno oko, po czym miauknął lekceważąco i pokazał im ogon.

- Co za kompletny brak manier - szepnął Jack. - Wyjątkowo źle wychowana bestia.

Roześmieli się jak dzieci i podeszli do stołu. Elly znalazła w spiżarni resztki tarty i podała mu talerzyk oraz widelec.

- Wyśmienita - pochwalił, wsunąwszy kawałek ciasta do ust. - Czemu właściwie mówimy szeptem? W końcu jesteśmy u siebie. Możemy chyba zakraść się od czasu do czasu do kuchni, prawda?

- Oj, nie wiem, nie wiem. Nie zapominaj, że to królestwo pani Ryan. Nie lubi, gdy ktoś jej się tu rządzi.

- Jeśli będzie częściej piekła takie ciasta, może rządzić całym domem. Spróbuj tylko. Jest pyszna.

Schyliła się, żeby ją nakarmił, i zachichotała, gdy zlizął jej z ust kawałek truskawki.

Rozprawiwszy się z tartą, zaczęli szukać jakiegoś bardziej treściwego jedzenia. Jack nadal był głodny. Kroił właśnie chleb, gdy w progu stanęła zaspana pokojówka. Jak co rano przyszła rozpalić w piecu i wstawić wodę.

- A co tu się najlepszego wyprawia, co?! Będziesz się miał z pyszna, gagatku, niech no tylko pani Ryan się dowie, że myszkujesz w nocy po kuch... Pan Eastwood? W imię Ojca i Syna...

- Nic się nie stało, Maisie - uspokoiła ją Eleonor. - Panu Eastwoodowi zachciało się jeść. Bądź tak dobra i przynieś nam do gabinetu trochę chleba z masłem i sera.

Służąca dygnęła posłusznie i zniknęła w spiżarni.

- Wystraszyłeś biedaczkę na śmierć - odezwała się Elly, ciągnąc Jacka w stronę drzwi.

- Przypominam, że to ty pierwsza nastraszyłaś służbę, pojawiając się znienacka w kuchni. Pani Henderson przez kilka dni nie mogła dość do siebie.

Uśmiechnęła się i położyła mu głowę na ramieniu.

- Prawdziwy dżentelmen nigdy by mi tego nie wytknął.

Śmiejąc się, objął ją i zaczął całować. Kiedy trzymał ją w ramionach wszelkie troski odchodziły w niepamięć, a świat stawał się lepszym miejscem.

- Smakujesz truskawkami - szepnął jej do ucha i mocno ją przytulił. - Wystarczająco już odpocząłem. Wracajmy na górę.

Odsunęła się nieco i potrząsnęła głową.

- Nic z tego. Maisie za chwilę przyniesie ci jedzenie. Poza tym musimy pomówić o naszych planach na jutro. To znaczy na dziś.

- Wiem, ale ponieważ jestem tchórzem, staram się odwlec nieuniknione. Tak czy inaczej, mówiłem poważnie. Nigdzie dzisiaj nie pojedziesz, w każdym razie nie sama, i nie

sprawdzisz, czy Chelfham chce cię zabić. Twój plan od samego początku był szalony. I niebezpieczny. Nie pozwolę ci na to.

- Nie pozwolisz mi? - Zaciśnęła powieki i wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić. - Wiem, że się o mnie martwisz. Doceniam twoją troskę i cieszę się, że zebraliście przeciwko niemu wystarczające dowody. Mimo to nie ustąpię. Nie wiem, jak i kiedy, ale się z nim rozmówię.

- Masz prawo żądać od niego odpowiedzi. Próbowałem wymyślić jakiś sposób, żebyś mogła zadać mu swoje pytania, nie narażając przy tym życia. Niestety doszedłem do wniosku, że to zwyczajnie niemożliwe. A całą sprawę trzeba było załatwić do końca. Wczoraj. Nie mogliśmy dłużej zwlekać. Chance się ze mną zgodził.

- Chance?! - Do tej pory była tylko lekko wściekła. W tej chwili trzęsła się z gniewu. - Najpierw Rian, a teraz jeszcze Chance? Niedługo się okaże, że papa nasłał na nas całą rodzinę. Może nawet sam czai się gdzieś za rogiem. Nie ufa nam, ani tobie, ani mnie! Jak śmie!

Rzecz jasna zamierzał zrelacjonować jej przebieg rozmowy z Chance'em. Nie chciał między nimi żadnych tajemnic. Powinna wiedzieć, że Ainsely dokładnie sprawdził, kim jest, nim wpuścił go do swojego domu i że właściwie zaufał mu już na samym początku. Uznał jednak, że to nie najlepszy moment na takie rewelacje. A już na pewno nie wolno mu wspominać, że szpiegiem Becketów jest nawet Treacle.

- Ainsely wie, co robi - oznajmił, próbując ją udobruchać. - Obecność twoich braci w niczym mi nie przeszkadza. Wręcz przeciwnie. Uważam, że przyda nam się ich pomoc. Poza tym, cieszę się, że poznałem Chance'a. To bardzo interesujący człowiek.

Eleonor zaczęła właśnie chodzić tam i z powrotem po korytarzu.

- Interesujący? Och, no tak, naturalnie. Cała moja rodzina jest nad wyraz interesująca. Interesująca i opiekuńcza. Morgan zawsze robiła, co chciała. Fanny też chodzi własnymi ścieżkami, ale nie ja. Mimo że jestem najstarsza, traktują mnie jak... jak jakąś bezrozumną... niedorajdę. - Zatrzymała się raptownie i zajrzała mu w twarz. - To uwłaczające! Nie pozwolę się dłużej tak traktować! Rozumiesz? Nie pozwolę! Nie jestem dzieckiem. Jestem dorosłą kobietą i mam prawo o sobie decydować.

- Oczywiście, że masz - przytaknął pospiesznie, żeby jej jeszcze bardziej nie rozsierdzić. Poza tym wreszcie przestała mówić o Chelfamie, a o to mu przecież chodziło. - Za kilka godzin jestem umówiony z twoim bratem. Przyprowadzę go tutaj, żebyś mogła powiedzieć mu to wszystko osobiście.

Wzięła głęboki oddech i uspokoiła się.

- Możesz być pewien, że mu powiem. A jakże! To i parę innych rzeczy. Na koniec oznajmię wam obu, że zamierzam spotkać się z Chelfhamem, czy to się wam podoba, czy nie!

- Nie, Eleonor - zaproponował stanowczo, sięgając do klamki. - Nie spotkasz się z nim. Mówiłem ci, że mamy jego księgi i zapiski. Oddałem je wczoraj Chance'owi, a on przekaże je dzisiaj Ministerstwu Wojny. Mamy też Ecclesa, który będzie przeciwko niemu zeznawał. Chelfham jest skończony. Za kilka godzin zostanie aresztowany.

- Aresztowany? Ale... jeśli go aresztują, nie uda mi się z nim porozmawiać! Jak mogłeś mi to zrobić, Jack? Jak mogłeś? I dlaczego mówisz mi o tym dopiero teraz? Trzeba było to zrobić wczoraj.

- Tak, wiem, przepraszam. Miałem zamiar ci powiedzieć, ale

kiedy wróciłem do domu, kiedy cię zobaczyłem i... pocałowałem... wszystko inne jakoś... przestało mi się wydawać ważne. Jeszcze dziś, najdalej jurto, wrócimy do Becket Hall. Od razu poproszę Ainsleya, - nie, nie poproszę go, oznajmię mu, że się pobieramy. I to jak najszybciej, kiedy tylko damy na zapowiedzi.

- Pobieramy się? Ale przecież... nie poprosiłeś mnie nawet o rękę... Chcesz się ze mną ożenić? Naprawdę? - Jej świat nagle stał się piękniejszy, jakby zaczęła widzieć go w różowych barwach. O dziwo, wyparował jej też z głowy Chelfham, a pytania, które jeszcze przed chwilą pragnęła mu zadać, nie były już takie istotne. Po cóż żyć przeszłością, skoro czeka ją wspaniała przyszłość u boku ukochanego mężczyzny? - Rety, dziękuję. Bardzo ci dziękuję. Nie sądziłam, że...

Roześmiał się szczęśliwy.

- Uwielbiam cię, skarbie. Jesteś niesamowita. - Otworzył drzwi i uklonił się dwornie, żeby wpuścić ją do środka. - Zaczekaj chwilę... - Rozmyślił się. - Okropnie tam ciemno, zapalę jakąś świecę i odsłonię okna. Co, do licha?

Zrobił zaledwie krok do przodu i nagle runął jak długi na ziemię. Jakąś sekundę później uprzytomnił sobie, że potknął się o ciało leżącego na podłodze Cluny'ego. - Elly! Uciekaj! - wrzasnął bez namysłu. - Biegnij, ile sił w nogach! - Usłyszał za plecami jej krzyk, który niemal natychmiast umilkł, jakby ktoś zakrył jej dłonią usta. Wszystko stało się w ułamku sekundy. Nim zdążył poderwać się na nogi, jego czaszkę przeszył rozdierający ból.

Kiedy się ocknął, leżał na kanapie. Treacle spoglądał na niego z góry zatroskanym wzrokiem, a Maisie szlochała w kącie, wylewając gorzkie łzy.

- Eleonor? - zapytał, na próżno próbując się podnieść.

- Zabrali ją - odparł kamerdyner. - Posłałem już po pana Becketa.

Bardzo dobrze, pomyślał mgliście Eastwood. Chance ma zapiski Chelfama. Hrabia zorientował się, że zniknęły i porwał Elly. To jedne wytłumaczenie.

- Która godzina?

- Dochodzi siódma. Nie powinien pan jeszcze wstawać.

- Może i nie powinienem, ale muszę - stwierdził Jack, opadając z powrotem na poduszki. Mdlilo go i miał zawroty głowy. - Siódma - wymamrotał pod nosem. - Chance jeszcze nie zaniósł dowodów do ministerstwa. Maddox zażąda wymiany. Nic jej nie będzie. Tak, na pewno... Nic jej się nie stanie... - Nagle przypomniał sobie o przyjacielu. - Cluny! Co z Clunym? - zapytał, spoglądając z obawą na Treacle'a.

Maisie znów uderzyła w płacz, więc kazali jej wyjść.

- Wystraszyła się - wyjaśnił służący. - To ona was znalazła. Panem Shannonem zajęła pani Henderson. Mocno go poturbowali, ale się wylize. Pomalowali mu twarz.

- Pomalowali mu... Jak to?

- Jego własną krwią.

- Już to kiedyś widziałem - oznajmił od progu Chance. - To wizytówka Czerwonych, ale wątpię, żeby przysłali tu kogoś z członków gangu. Gdyby tak było, twój przyjaciel nie uszedłby z życiem. Ci bandyci nie mają zwyczaju zostawiać śladów. To raczej robota Chelfama. Na szczęście dość nieudolna. - Spojrzał na kamerdynera. - Co z panem Eastwoodem? Przyda nam się do czegoś w tym stanie?

- Pan Eastwood jeszcze żyje, chwalić Boga, więc może odpowiadać sam - wtrącił Jack, jeszcze raz próbując stanąć na

nogi. Siłą woli zmusił się, żeby tym razem nie opaść znowu na kanapę. – Dajcie mi chwilę. Muszę zebrać myśli.

– Słusznie – zgodził się Becket. – Zanim cokolwiek zrobimy, trzeba się zastanowić i obmyślić jakiś plan. Znasz Maddoksa lepiej niż my, może coś ci przyjdzie do głowy.

– Owszem, wiem o nim to i owo – powiedział Eastwood. – Miałem wątpliwą przyjemność kilka razy z nim rozmawiać. Przyszedł tu po swoje zapiski. Nie znalazł ich więc zabrał Elly. Ale nie zrobił tego z premedytacją, po prostu skorzystał ze sposobności. Nie ma zatem żadnego planu. Zapewne trzyma ją nadal w Londynie, być może nawet we własnym domu. Tak czy inaczej, musimy być ostrożni. Jak mawia wasz ojciec, nie warto grzeszyć zbyt wielką pewnością siebie, bo nawet idiotom czasem sprzyja szczęście. – Przyłożył rękę do skroni i krzywiąc się z bólu, zerknął na Chance'a. – Co proponujesz? Nie możemy zwyczajnie wtargnąć do jego rezydencji, bo w desperacji gotów zrobić krzywdę Eleonor.

– Zastanawiałem się nad tym po drodze. Jestem pewien, że hrabia sam się do nas odezwie. Wyznaczy nam spotkanie, podczas którego wymienimy jego dokumenty na Eleonor. Do diabła, to wszystko moja wina. Wydawało mi się, że aresztują go, zanim się zorientuje, że coś jest na rzeczy. Że też musiał tak szybko zajrzeć do sejfu... Opróżniliście go zaledwie kilka godzin temu.

– Ja też nie jestem bez winy – stwierdził smętnie Jack, przykładając do czoła okład, który podał mu kamerdyner. – Przystąpiłem na twój plan. Chyba za bardzo zależało nam na tym, żeby odwieść Eleonor od jej szalonego pomysłu. Nie dopracowaliśmy szczegółów i nas ubiegł.

Becket popatrzył na niego z niepokojem.

- Na miłość boską, człowieku. Chwiejesz się na nogach. Idź na górę i się połóż. W takim stanie w niczym nam nie pomożesz.

- Nigdzie nie idę. Chcę być na miejscu, kiedy odezwie się Maddox.

- Jack, proszę cię. Bądź rozsądny. Nie myślisz trzeźwo. Słuchaj rozumu, nie serca. Chodzi o moją siostrę. Ja też się o nią martwię. I też jestem przerażony.

- Masz rację - rzekł Eastwood, zmiernając z wolna ku drzwiom. - Muszę się zobaczyć z Clunym. Do tej pory zawsze dbałem wyłącznie o siebie. Ale teraz... teraz potrafię myśleć tylko o niej. To Eleonor jest moim życiem.

- Wiem, przyjacielu - odparł Becket, gdy Jack wychodził na korytarz podtrzymywany przez Treacle'a. - Nawet nie wiesz, jak dobrze cię rozumiem...

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Eleonor była nienaturalnie spokojna. W każdym razie tak sądziła. Nie wpadła w popłoch ani nie histeryzowała. Histeria byłaby kompletnie bezużyteczną stratą energii. Poza tym wierzyła, ba, była pewna, że Jack po nią przyjdzie i zabierze ją do domu.

Chelfham, który urósł w jej wyobraźni do rozmiarów przerażającego monstrum, w tej chwili wyglądał całkiem nieszkodliwie. Rozsądek podpowiadał jej rzecz jasna, że to tylko pozory.

Kiedy rzucono ją bezceremonialnie na kanapę w jego gabinecie i zdjęto jej z głowy koc, hrabia zbladł jak płótno, by po chwili poczerwieniec ze złości.

- Co to jest, do pioruna?! Co to ma znaczyć? Miałaś przynieść moje papiery, a nie tę... kalekę! Do czego mi ona potrzebna?

Człowiek, który ją porwał, prawdopodobnie był absztyfikant Beatrice, wyjaśnił, że nie mógł znaleźć dokumentów i że nakrył go Cluny. Udało mu się go unieszkodliwić, a nawet wysmarować krwią, jak to czynią członkowie Gangu Czerwonych. Potem raptem pojawił się sam Eastwood. Przed świtem, bo w jego domu zdaje się nikt nigdy nie sypia. Słyszał jego kroki na korytarzu, więc zaczął się za drzwiami i huknął go w głowę świecznikiem. Jako że pani Eastwood darła się w niebogłoso, musiał ją uciszyć, w przeciwnym razie postawiłaby na nogi całe miasto. Zabrała ją ze sobą, bo przyszło mu do głowy, że można ją wymienić na skradzione zapiski.

- Imponujące... - odezwała się uprzejmie Eleonor. - Pański człowiek przejawia inicjatywę, rzecz godna najwyższej pochwały. Od razu widać, że znakomicie dobiera pan służbę. Tylko powinszować tak zaradnego sługi. Obmyślił idealne rozwiązanie pańskiego... hm... problemu. Idealne pod warunkiem, że włos nie spadnie mi z głowy. Jeśli zrobicie mi krzywdę, Jack osobiście wyłupie wam oczy. A potem was nimi nakarmi. - Groźbę o oczach „zapożyczyła” od Jacko. Musiała pokazać hrabiemu, że nie zamierza odgrywać roli bezbronnej, zastraszonej ofiary. Świetnie się składa, że opanowanie przychodzi jej z taką łatwością. To jedyna broń, jaką dysponowała.

Chelfham nie cierpiał, kiedy sprawy nie układały się po jego myśli. Nie wziął pod uwagę tego, że Gerald może nie odnaleźć jego cennych papierów. Nie miał w zanadrzu żadnego awaryjnego planu, a postawiony w nieprzewidzianej sytuacji natychmiast popadł w panikę. Wyraźnie widziała w jego oczach niepewność.

- Zgotował pan sobie nie lada ambaras, wasza lordowska mość - rzuciła od niechcienia, jakby omawiali pogodę przy kolacji. - Zawile knowania i misterne intrygi najwyraźniej nie są pańską mocną stroną. Dziwię, że tak długo pozostał pan przy życiu. W końcu prowadzi pan nader ryzykowną działalność.

- Milcz, bo cię zaknebluję! - warknął hrabia, chodząc nerwowo po pokoju. - W każdej chwili mogę kazać cię zabić, więc zważaj na słowa.

- Och, jeśli chce pan jeszcze trochę pożyć, raczej mnie pan nie zabije. Ale spełnię pańską prośbę i na chwilę się uciszę. Dam panu czas do namysłu. Oboje wiemy, że ma pan całkiem sporo do przemyślenia. Przede wszystkim musi pan

wykoncypować, jak wyplątać się z wyjątkowo kłopotliwego położenia. To doprawdy karygodne, że tak haniebnie wykorzystano pańską naiwność i butę. Tak nietuzinkowy dżentelmen jak pan zawsze dostaje przecież od życia dokładnie to, czego chce. W dodatku podane na srebrnej tacy. Mam pomysł. Proszę napisać do mojego męża i zaproponować mu wymianę, jak sugerował Gerald. Sugerowałabym jednak, żeby odrobinę się pan ukorzył. Mój Jack nie jest tak wytwornym światowcem jak pan. Może zechcieć ukarać pana za to, że ośmielił się pan podnieść na mnie rękę. I zapewne zażąda renegocjacji warunków umowy.

Maddox posłał jej mordercze spojrzenie i ruszył ku kanapie. Zamierzał się na nią rzucić, lecz raptem się rozmyślił. Potem usiadł za biurkiem i zaczął pisać, raz po raz piorunując ją wzrokiem.

Zignorowała go i poprawiła spódnice.

Zrobił dokładnie to, co mu zasugerowała. Miała ochotę uśmiechnąć się z satysfakcją. Siedziała naprzeciw człowieka, który nawiedzał ją nocami w najstraszniejszych koszmarach i w ogóle się go nie bała. Przekonała się na własne oczy, że on też jest tylko człowiekiem i jak wszyscy śmiertelnicy, ulega słabościom.

Jack niebawem ją stąd zabierze. Była pewna, że przeżył cios, który zadał mu Gerald. Widziała, że się rusza, zanim porywacz zakrył jej głowę i wyniósł ją z domu. Bardziej martwiła się o stan Cluny'ego. Nie znała go dobrze, ale wiedziała, że jest przyjacielem Jacka.

Kolejna godzina upłynęła im na czekaniu. Elly siedziała w milczeniu na kanapie, popijając herbatę, którą przyniósł jej Gerald. Widząc go w progu z tacą, hrabia zwymyślał go i posłał

do diabła.

- Niezłe z ciebie ziółko, moja pani - odezwał się nieoczekiwanie Maddox. - Siedzisz tu i jak gdyby nigdy nic udajesz wielką damę.

Sięgnęła po cukier, nie spiesząc się z odpowiedzią. Wiedziała, że jeśli chce rzucić mu prawdę w oczy, musi to zrobić teraz. Taka okazja nigdy się nie powtórzy.

- A co innego miałabym zrobić pańskim zdaniem? Raczej nie pokonam pana w walce wręcz. Mimo że jest pan ode mnie o wiele starszy. Na tyle starszy, że mógłby pan być moim ojcem.

Chelfham usiadł za biurkiem, jakby nogi nagle odmówiły mu posłuszeństwa.

- Chciałem wierzyć, że to tylko zbieg okoliczności. Okrutny żart losu, który postanowił zadrwić ze mnie na stare lata. Ale ty wiesz, prawda?

Czekałam na ten moment tak długo... - pomyślała, mieszając nieśpiesznie w filiżance.

- Kim jestem? Kim pan jest? Owszem, wiem.

- Wiesz, kim jestem? - zdziwił się. - A niby skąd?

- Odpowiedź za odpowiedź, panie hrabio. W przeciwnym razie nic z tego nie będzie.

Po chwili milczenia uniósł rękę w geście zachęty.

- Proszę, pytaj.

- Nie lubię niedomówień, pozwoli pan zatem, że najpierw coś panu wyjaśnię. Ja i mąż nie mamy przed sobą tajemnic. O wszystkim mu opowiedziałam, uznaliśmy jednak, że więcej skorzystamy, zostając pana współnikami, niż próbując dochodzić moich praw. Niełatwo byłoby mi udowodnić swoje pochodzenie. A wracając do pańskiego pytania, wiem, kim pan jest z wiarygodnego źródła. Usłyszałam to z ust własnej matki,

kiedy wyznała pańskiemu bratu, że od lat przyprawia mu rogi. A potem bez mrugnięcia okiem kazała wyrzucić go za burtę. Pańska kolej na szczerą odpowiedź. Miałam dziś wyjechać na wieś. Zamierzał mnie pan po drodze zamordować?

Hrabia sprawiał wrażenie autentycznie wstrząśniętego. A może tylko chciała wierzyć, że jest wstrząśnięty? Zachowywał się podejrzanie ugodowo.

- Zamordować? Czemu niby miałbym to zrobić?

- To chyba oczywiste. Wie pan, kim jestem. Czy to nie wystarczający powód?

- Skąd ci to w ogóle przyszło do głowy? Pragnąłem tylko, żebyś zniknęła mi z oczu. Nic więcej. Za bardzo mi ją przypominasz... Ją i okres w moim życiu, którego wolałbym nie pamiętać. Zamierzam przecież oddać cię Eastwoodowi. Kiedy tylko przyniesie moje papiery. Masz mnie za dzikusa i mordercę? Szczycę się tym, że jestem wytwornym dżentelmenem. Na Boga, mieszkamy w cywilizowanym kraju. Nie jesteśmy bandą... prymitywnych piratów.

- Piratów, powiada pan... - powtórzyła z bijącym sercem. - W takim razie porozmawiajmy o nich... Skoro sam pan ich przywołał... Ciekawa jestem, jak udało się panu zaaranżować „nieszczęśliwy wypadek” brata? Jaką sumę musi wydać „wytworny dżentelmen”, żeby kupić całą załogę statku? Łącznie z kapitanem, jak mniemam?

Twarz Maddoksa pokryła się niezdrowym odcieniem purpury.

- Powinienem był cię związać i zakneblować. Nie ja to wymyśliłem, lecz twoja matka. To ona uparła się, żeby go zabić. Podła dziwka. Oboje zapłaciliśmy za to wysoką cenę. Ona straciła życie, a ja stałem się niewolnikiem. - Podeszedł do stolika z alkoholem, żeby nalać sobie brandy. - Dość już tych

pytań.

- Niewolnikiem? - zadrwiła bezlitośnie. - Raczy pan żartować. Jeśli życie niewolnika wygląda tak jak pańskie, to tylko pozazdrościć. Zapewne oczekuje pan ode mnie podziękowań? Jako wytworny dżentelmen postanowił pan wspaniałomyślnie darować mi życie. Czy córka powinna dziękować ojcu za coś takiego? A może wypada mi przeprosić za to, że tak okropna myśl w ogóle powstała mi w głowie? Chociaż zaraz, o ile się nie mylę, mordował pan członków rodziny już wcześniej, prawda? Moja matka nie działała sama. Rozumie pan zatem moje obawy. Wydają się w pełni uzasadnione.

- Zamknijże się wreszcie, niedołęgo! - odwrócił się tak gwałtownie, że strącił na ziemię jedną z kryształowych karafek.

- Naturalnie, co każesz, „ojcze”. Odrobina milczenia z pewnością nie zaszkodzi.

Uniosła do ust filiżankę i zaczęła sączyć z wolna herbatę. Czekwała cierpliwie aż Chelfham wypełni ciszę. Nie zawiodła się.

- Ile to już lat minęło, odkąd widziałem ją ostatni raz? - odezwał się kilka minut później. - Co najmniej piętnaście. - Usiadł z powrotem za biurkiem i na moment popadł w zadumę. - Mylisz się, jeśli sądzisz, że cię rozpoznałem. Może zwyczajnie nie chciałem widzieć, jak bardzo jesteś do niej podobna. Moja żona - kolejna wyrachowana dziwka - zwróciła mi to uwagę. Zauważyła, że wyglądasz niemal identycznie, jak kobieta na jednym z obrazów w galerii na górze. Boże, ależ ja ją kiedyś kochałem! A teraz nienawidzę jej z całej duszy. To wszystko przez nią. Ona mi to zrobiła. Twoja przeklęta matka...

Eleonor z trudem zachowała kamienną twarz.

- Też wyglądała jak niewiniątka - rzucił oskarżycielsko,

wymierzając w nią palec. - Zupełnie jak ty. Nie mogliśmy się pobrać. Śmierć Roberta wcale by tego nie zmieniła. Ale jej to nie przeszkadzało. Wystarczyło, że dostałaby pieniądze. Jako hrabina wdowa mogła mieszkać ze mną pod jednym dachem bez wzbudzania sensacji. Byłem młody i głupi. Schlebiało mi, że woli mnie niż mojego nudnego brata. Do dziś często się zastanawiam, jak szybko by się mną znudziła, gdyby nie zginęła na statku. Pewnie też długo bym nie pożył.

Elly ledwo pamiętała matkę i jej męża, człowieka, którego w dzieciństwie uważała za ojca. Mimo to nie podobało jej się, jak Maddox o nich mówi.

- Twierdzi pan, że pana wykorzystała? Tak uspokaja pan własne sumienie? Użalając się nad własnym losem i robiąc z siebie ofiarę? Interesujące, zwłaszcza że sporo pan zyskał. Chyba zapomina pan, że dzięki bratobójstwu został pan kolejnym hrabią Chelfham.

Nie zareagował. Nadal tkwił myślami w przeszłości.

- Mój ojciec mawiał często: kiedy siadasz do stołu z diabłem, postaraj się o długą łyżkę. Niestety, w przeszłości zdarzało mi się o tym zapominać. Dopiero teraz rozumiem, jaka to mądra maksyma. Nająłem człowieka, żeby zabił Roberta, ale on nie poprzestał na zabójstwie. Oprócz tego zaatakował także cały statek. Dla łupów. Twoja matka opłaciła własnego zabójcę. Czy to nie zabawne? Trzy lata temu ten krwiopijca pojawił się nagle i zaczął mnie szantażować. Zachował list, w którym prosiłem go o usunięcie brata. Zmusił mnie do współpracy i tak zostałem jego niewolnikiem.

Eleonor czuła, że kręci jej się w głowie. Wszystkie elementy układanki raptem zaczęły do siebie pasować. Człowiek, o którym mówił hrabia, nazywał się Edmund Beales. Był

dawnym wspólnikiem i przyjacielem Ainsleya, potworem, który go zdradził i wymordował mnóstwo ludzi. Pośrednio także jej matkę. Sądzieli, że nie żyje, lecz najwyraźniej się mylili.

Co więcej, Beales przebywał w Londynie. Kto wie, może właśnie zmierzał do tego domu? Albo nasłał swoich ludzi, żeby zniszczyli jego niewygodnego partnera w interesach i pozacierali ślady.

Nie było chwili do stracenia.

Podniosła się gwałtownie i ruszyła w stronę biurka, za którym siedział jej Chelfham.

- Powiedział mu pan wczoraj, że zaginęły pańskie zapiski? - zapytała bez owijania w bawełnę.

- Komu? Zresztą nie muszę z tobą rozmawiać. Wracaj na kanapę i siedź cicho, bo zapomnę, że jesteś moją córką. To wszystko przez ciebie. I twojego mężulka. Wy to zaczęliście.

- Oczywiście. A pan, jak zwykle, nie jest niczemu winien. Za nic nie ponosi pan odpowiedzialności. Jest pan żaloszny i odrażający, Chelfham. Mdli mnie, gdy na pana patrzę.

- Milcz! Nie masz prawa tak do mnie mówić, smarkulo...

Becketówna zamachnęła się i z całej siły uderzyła pięścią w blat.

- Zadałam panu pytanie! Powiadomił pan Bealesa o kradzieży dokumentów, czy nie? Od tego zależy nasze życie. Nasze oraz wszystkich, którzy przebywają w tej chwili pod pańskim dachem.

Stała przed nim tak, jak ją zabrali z domu, boso i w szlafroku. Coś w jej tonie musiało go jednak przekonać do mówienia.

- Nie znam tego nazwiska. Czy używał go piętnaście lat temu? I skąd ty o tym wiesz?

- Jak się nazywa teraz? - ponagliła niecierpliwie. - Zakładam,

że jakoś się panu przedstawił? Zresztą, nieważne. Nie mamy czasu. Proszę powiedzieć, czy Beales wie o zniknięciu pańskich ksiąg. Mówił mu pan o tym?

- Nie musiałem. Kiedy odkryłem, że sejf jest pusty, był przy tym jeden z jego ludzi. Ten sukinsyn jest jak uciążliwa wysypka. Ma szpiegów dosłownie wszędzie. Nieustannie ich na mnie nasyła, żeby sprawdzali, czy go nie oszukuję lub czy nie zatrzymuję dla siebie zbyt dużej części zysków. - Gdy na nią spojrzeł, miał w oczach autentyczny lęk. - Domyśliłem się, że to twój mąż zabrał dokumenty, ale nie pisałem ani słowa. Gdyby się dowiedział, że zarabiam na boku, bez jego zgody... nie darowałby mi tego. Z miejsca skróciłby mnie o głowę. Powiedziałem mu, że papiery ukradł mój durny szwagier i że do jutra je odzyskam. Zwymyślał mnie od głupców i na tym się skończyło.

Elly zerknęła na zegar na kominku. Nie mogła pozwolić, żeby Jack i jej brat weszli do budynku. Beales mógł obserwować dom. Jeśli zobaczy Chance'a, to niewykluczone, że go rozpozna.

- Miał rację. Jest pan głupcem. Proszę obudzić żonę i pozostałych domowników. Łącznie ze służbą. Musimy stąd jak najszybciej wyjść.

- Wyjść? Nigdzie się nie wybieram. Tłumaczę ci przecież, że opanowałem sytuację. - Chelfham wstał z krzesła i podniósł pistolet, który trzymał w szufladzie biurka. - Zaskoczyłaś mnie, Julianno. Nie sądziłem, że tak dużo wiesz. Tak czy owak, doszedłem już do siebie. Niech ci się nie zdaje, że masz coś do powiedzenia. To ja tu rządzę. I nie zamierzam cię słuchać. Beales, jak go nazywasz, to rozsądny człowiek. Zrozumie moje postępowanie, kiedy mu powiem, kim jesteś i co zaszło. Tyle że ty i twój mąż będziecie już martwi. A mój pryncypał, pochwali

mnie za to, że się was pozbyłem. Oszczędzę mu zachodu.

- Nie dalej niż przed kwadransiem mówił pan, że nie chce mnie zabić. - Wycofała się ostrożnie w stronę kanapy.

- Mówię wiele rzeczy, droga Julianno. Sęk w tym, że często niewiele z tego wynika.

- Nie nazywaj mnie tak. Mam na imię Eleonor.

- Jak sobie życzysz. Osobiście dopilnuję, żeby wyryli ci to na nagrobku. Tyle mogę dla ciebie zrobić. Siadaj i milcz.

- Nie bądź głupi, Chelfham - powiedziała twardo, nie siląc się dłużej na formalności. - Zastanów się nad swoim położeniem. Może wreszcie pojmiesz, że to nie ty jesteś panem sytuacji. Twierdzisz, że twój pryncypał nie lubi zostawiać śladów swojej nielegalnej działalności. Tak się składa, że stałeś się dla niego niewygodny i to ciebie usunie jako pierwszego.

- Nie ośmieli się! - oburzył się hrabia, po czym nagle pobladł.

- Przypominam, że Beales kazał zniszczyć statek z moją matką na pokładzie. Z nią i mnóstwem innych ludzi. Ten człowiek to uosobienie zła. Unicestwia wszystko i wszystkich, którzy staną mu na drodze. Nawet nie zadrży mu głos, kiedy każe poderżnąć ci gardło.

Tym razem udało jej się do niego dotrzeć. Bez namysłu chwycił z biurka drugi pistolet i otworzył drzwi. Na jego nieszczęście w progu stał Jack.

- Wielkie dzięki, panie hrabio - zadrwił Eastwood, w oka mgnieniu odebrałszy mu broń. Chelfham był tak zaskoczony, że nie zdążył zareagować. - Zastanawialiśmy się po drodze, jak by tu pana rozbroić. A pan ot tak ułatwił nam zadanie.

- Jack! - zawołała uradowana Elly. Nim powiedziała więcej, zauważyła za jego plecami brata, który trzymał na muszce Geralda. - Chance! Beales żyje i jest w Londynie. To on stoi na

czele Gangu Czerwonych.

- Jesteś pewna, że to on? - zapytał Becket, choć nie sprawiał wrażenia zdziwionego.

Skinęła głową. Liczyła się każda sekunda. Nie było czasu na czczą gadaninę. Powinni natychmiast się stąd zabierać.

- Niestety od kilku godzin wie, że skradziono dokumenty Chelfhama. Nie muszę ci tłumaczyć, do czego jest zdolny. Trzeba stąd wszystkich zabrać i jak najprędzej uciekać.

Twarz Chance'a stężała na moment jak kamienna maska. Miał siedemnaście lat, kiedy Beales zdradził Ainsleya w najgorszy możliwy sposób.

Otrząsnąwszy się z zadumy, puścił wolno Geralda, który postanowił skorzystać z rady Elly i pobiegł z wrzaskiem na piętro, stawiając na nogi cały dom.

Becket podszedł tymczasem do Maddoksa.

- Gdzie jest teraz Beales? Chcę znać jego adres i nazwisko, którego obecnie używa. Mów! - ponaglił, wymierzając w niego pistolet.

- B-B-Beatty - wyjąkał hrabia. - Nathaniel Beatty. Ma rezydencję przy Grosvenor Street czterdzieści pięć. To prawda, co mówi Jul... tfu... Eleonor? Beales rzeczywiście zamierza nas wszystkich wymordować? Moja żona spodziewa się dziecka, mojego dziedzica.

- To nie twoje jedyne dziecko, plugawa świnio - odezwał się Jack. Wciąż był tak słaby, że z trudem trzymał się na nogach. Po drodze dwa razy wymiotował. - Mam pomysł, Chance, zabierzmy służbę, a jego zostawmy przywiązanego do biurka. Niech przekona się na własnej skórze, jak „wyrozumiały” jest jego wspólnik.

Eleonor podeszła do niego i położyła mu rękę na ramieniu.

- Nie, Jack, nie zostawimy go na pastwę Bealesa - powiedziała zdecydowanie. - Chelfham budził w niej obrzydzenie, ale był jej ojcem. Nie potrafiłaby ze sobą żyć, gdyby przyłożyła rękę do jego śmierci. - Obiecałeś mi, że oddamy go w ręce władz - dodała na wszelki wypadek.

Niestety podeszła zbyt blisko hrabiego. Mniej więcej w tym samym momencie na górze rozległy się krzyki i bieganina wyrwanych ze snu domowników. Korzystając z chwili nieuwagi, Maddox wydarł Eastwoodowi z ręki jeden z pistoletów. Potem ścisnął ramieniem Elly i pociągnął ją w głąb pokoju.

- Zostaw ją, ty sukinsynu! - wrzasnął Jack, gotów rozszarpać go gołymi rękami. Rychło się jednak opamiętał. - Nie bądź durny, Chelfham - dodał tonem spokojnej perswazji. - Puść ją. Nie znam osobiście Bealesa, ale sporo o nim słyszałem. Najwyższa pora, żebyśmy wszyscy stąd wyszli. Rozstrzygniemy nasze spory później.

Nagle w progu pojawił się rozwścieczony Rian.

- Znalazłem na górze jakąś tępą idiotkę. Uparła się, że nigdzie nie pójdzie, dopóki nie przyprowadzę pokojówki, żeby mogła spakować jej garderobę i biżuterię. Co mam z nią zrobić, Chance?

- Dobrze pytanie, nie uważasz, hrabio? Czy owa idiotka to przypadkiem nie twoja zacna małżonka?

Maddox zrobił kilka kroków w tył, wlokąc za sobą Elly, która z trudem utrzymywała równowagę.

- Ponoć niebawem wyda na świat waszego pierwszego potomka? - ciągnął Becket. - Mamy ją tu zostawić? Na łasce twojego szacownego współnika? Jestem pewien, że okaże się dla niej łaskawy...

- Próbujecie namieszać mi w głowie! - zawołał desperacko

Chelfham. - Wszystko mu wyjaśnię. Beatty to rozsądny człowiek. Zrozumie.

Jack i Chance wciąż mierzyli do niego z pistoletów.

- Co o tym sądzisz, Chance? - zapytał Eastwood, nie odrywając oczu od Maddoksa. - Może poczekamy na niego wszyscy razem? Przekonamy się, jaki jest rozsądny...

- Nie, dziękuję - odparł Becket. - Gdyby pokazał się osobiście to, co innego. Chętnie bym poczekał. Ale on przyśle nam tu całą zgraję uzbrojonych po zęby płatnych zabójców. Będą mieli nad nami przewagę. Rianie, czy wszyscy opuścili już dom?

- Tak, wyszli kuchennymi drzwiami. Zabrali ich Treacle i Gerald, czy jak mu tam, i pewnie rozpierzchli się po całym Londynie. Została tylko ta wariatka na górze. Elly na pewno nic się nie stanie? Nie chcę się wymądrzać, wiem, że nie ja tu dowodzę, ale może byśmy coś zrobili? Zauważyliście chyba, że nas jest trzech, a on tylko jeden. Możemy...

- Milcz! - przerwał mu beznamiętnie starszy brat.

Jack nie miał pojęcia, co zamierzał Becket, ale w jego zbolącej głowie kłębiły się czarne myśli. Oczyma wyobraźni widział pożar, armię mężczyzn z bronią, beczkę prochu z lontem wpadającą przez okno oraz tym podobne okropności.

- Rianie, idź po hrabinę - polecił zdecydowanie. - Jeśli będzie trzeba, przystaw jej pistolet do głowy i schowaj ją w stajni. Potem wyślij Treacle'a na najbliższy posterunek. Niech przysłał posiłki.

- Nie! Stój! - krzyknął Chelfham, gdy młody Becket odwrócił się na pięcie, żeby wyjść. - Zostaw moją żonę w spokoju. I niech nikt się nie rusza! Nic nam nie grozi. Robicie to specjalnie, bo chcecie, żebym się wystraszył. Gdzie są moje zapiski? Oddajcie mi je albo ona zginie.

- To amator i nieudacznik - mruknął szeptem Chance. - Nie przemówisz mu do rozsądku. - Odchrząknął i spojrzał na Maddoksa. - Twoje dokumenty są w bezpiecznym miejscu. Ukryłem je u siebie w domu. Przy Upper Brook Street. Oddam ci je, jeśli tam ze mną pójdziesz. Nic ci się nie stanie. Masz na to moje słowo.

Hrabia przytknął lufę pistoletu do skroni Eleonor.

- Ty je masz? Dlaczego ty, a nie Eastwood? Przecież nawet cię nie znam! Kim ty w ogóle jesteś, człowieku?

Jack czuł, że rozsadza mu czaszkę. I znów miał mdłości. Obwiał się, że za moment padnie bez przytomności na ziemię, ale wciąż mierzył z broni do Maddoksa.

- Puść ją, Chelfham. Zrobimy, co zechcesz, tylko ją puść.

- Nie mogę. - Hrabia cofnął się jeszcze bardziej w kierunku biurka. - Nie tak to miało wyglądać! Co z was za ludzie? Mieliście przynieść moje papiery. W tej chwili mi je oddajcie! Bez nich niczego nie wskóram. Beatty mi nie daruje!

Za jego plecami i w całej rezydencji, rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Wszyscy obecni w gabinecie zamarli na widok płonącej cegły i płomieni, które trawiły dywan na środku pokoju.

Rian wybiegł na korytarz, lecz po chwili wrócił.

- Pali się wszędzie. Na każdym piętrze. Idę po jego żonę.

- Nie! To niemożliwe! Nie mógł mi tego zrobić! To mój dom! Przeklęci barbarzyńcy! - Z każdym kolejnym słowem spanikowany Chelfham, coraz mocniej ścisnął Eleonor za szyję. Tak mocno, że nie mogła złapać tchu. O Boże... Udusi mnie! - pomyślała, spoglądając z przerażeniem na Jacka.

- Eleonor!

Na próżno ciągnęła hrabiego za ramię. Wpatrzony

w rozprzestrzeniający się przed nimi ogień, w ogóle nie zwracał na nią uwagi. Wydawało jej się, że przeniosła się w czasie. Jakby znów była na płonącym statku, a matka przyciskała jej do głowy broń. Był też Chance i Jacko... To znaczy Jack... Chryste, to koniec. Zaraz zginę...

- Eleonor! - odezwał się głośno Eastwood. Musiał jakoś do niej dotrzeć. Oby zrozumiała, o co mu chodzi. - Eleonor! To ja, Jacko. Twój Jacko. Słyszysz mnie? Wiesz, co masz zrobić, prawda? Pamiętasz? Stój nieruchomo, Elly. Ani drgnij. Niech Jacko zrobi co trzeba.

- Jacko... - szepnęła bezgłośnie. - Co on mówi? Przecież to Jack... Nagle pojęła, w czym rzecz, i zamarła, zaciskając powieki. Wiedziała, że za chwilę usłyszy ogłuszający huk wystrzału.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

- Jesteś pewna, że wszystko w porządku?

- Nie, Chance, nic nie jest w porządku - odparła z rezygnacją Elly. - I nie było w porządku, kiedy zapytałeś mnie o to wcześniej. Ale będzie. Przestań tylko się we mnie wpatrywać, jakbym była sopłem lodu, który za moment rozpuści się na twoich oczach.

- Ma rację - wtrącił swoje trzy grosze Rian. - Dałbyś jej już spokój. Nie zapominaj, że zwykle to ona troszczy się o nas jak kwoka. Nie na odwrót. Właśnie, Elly, zapytaj mnie przed wyjazdem, czy się ciepło ubrałem i czy mam w kieszeni wystarczająco dużo pieniędzy.

- Smarkacz, robi się coraz bardziej zuchwały - skwitował starszy Becket, huknąwszy brata po plecach. - Pamiętaj, szczeniaku, ani słowa ojcu. Zwłaszcza o Bealesie. Za dwa dni przyjadę do Becket Hall i sam mu wszystko powiem.

- Masz mnie za durnia? - obruszył się Rian. - Oczywiście, że nie puszcę pary z gęby. Wystarczy, że się będę gęsto tłumaczył ze swoich własnych, rozlicznych przewin. W końcu zniknąłem z domu bez uprzedzenia. Co prawda, wiedział o tym Jacko, ale nie sądzę, by zechciał stanąć w mojej obronie. Szczególnie gdy mu powiem o tobie i Jacku, Elly. - Popatrzył wymownie na siostrę. - Dostanie mi się, tylko za to, że wystąpię w roli posłańca. Biedaczysko będzie pewnie tak wstrząśnięty, że się rozchoruje i przez tydzień nie wyjdzie z łóżka. A kiedy wrócicie razem do domu, jak nic każe Eastwoodowi podpisać własną

krwią jakiś cyrograf. I przez następny rok co dzień będzie sprawdzał, czy Jack jest ciebie wart.

- Co ty pleciesz? - zaprotestowała i zarumieniła się jak piwonia. - Jestem pewna, że nic takiego nie zrobi.

- Zrobi, zrobi. Ma na twoim punkcie kompletnego bzika. Już widzę jego minę, kiedy zobaczy, że wystrzygli cię jak owcę. Jadę, bo robi się późno. Bywajcie zdrowi, do zobaczenia za kilka dni. - Chłopak cmoknął Elly w policzek, podał rękę Chance'owi, po czym zniknął za drzwiami.

Becketówna popatrzyła wyczekująco na brata.

- Czekałam cierpliwie kilka godzin - zaczęła bez wstępów. - Mów.

- Co niby mam mówić?

Chance, zdaje się, jeszcze nie zauważył, że jego cichutka i łagodna siostra ostatnio nieco się zmieniła, a przede wszystkim nabrała pewności siebie.

- Nie było cię cały dzień, a kiedy wróciłeś, wystarczyło spojrzeć, żeby się domyślić, że coś jest nie tak. Powiedz mi, co się stało, i nie owijaj w bawełnę.

- Lepiej zostawię tę powinność Jackowi. Powinnaś o tym usłyszeć od niego.

- Zdążyłeś mu już wszystko opowiedzieć? Doprawdy, Chance, nie mogłeś się powstrzymać? Dobrze wiesz, że w jego stanie niepomyślne wieści są niewskazane. Bo zakładam, że twoje wieści są niepomyślne...

- Zwyczajnie go rozpieszczasz, droga siostrzo. Ot, co. A on, szelma, ci na to pozwala. Minęły trzy dni. Gdyby nie ty i twoja czuła opieka, już dawno wstałby z łóżka. Ma głowę twardą jak skała. Sam jestem znakomitym strzelcem, ale nigdy nie trafiłbym tak celnie jak on, a już na pewno nie na miękkich

nogach i po uderzeniu mosiężnym świecznikiem. Gdyby zaraz potem nie zemdlał, powiedziałbym, że jest wyjątkowy. Próbuję dać ci do zrozumienia, że pochwalam twój wybór. Masz moje błogosławieństwo, jeśli w ogóle moje zdanie się dla ciebie liczy.

- Oczywiście, że się liczy. - Uśmiechnęła się z dumą, przywołując w pamięci moment, w którym Jack strzelił Chelfhamowi prosto w rękę, w której ten trzymał pistolet. - Nadal się upiera, że mierzył w głowę, ale było mu słabo i nie trafił. Wiem, że nie mówi prawdy. Obiecał mi, że postara się nikogo nie zabić. Próbujesz zmienić temat, prawda? Powiedz mi wreszcie, w czym rzecz?

- Dobrze już dobrze. Powiem ci, chociaż przypominasz mi teraz moją chorobliwie dociekliwą żonę. Chodzi o Ecclesa.

- Przyznał się? Powiedział coś o Bealesie?

- Niestety, nie mieliśmy aż tak wiele szczęścia. Beales opróżnił dom i zniknął z miasta w ciągu godziny od pożaru w domu Maddoksa. Czort wie, dokąd się udał i co zamierza. Jedno jest pewne, jego macki sięgają bardzo daleko, nawet za mury więzienia. Eccles'a znaleziono dziś rano w celi z poderżniętym gardłem. Wokół jego śmierci zrobiło się mnóstwo szumu, bo o jego aresztowaniu wiedziało zaledwie kilka osób z Ministerstwa Wojny.

- A Chelfham? Jego też zamordowali?

- Nie, nie zdążyli. Jest teraz bodaj najpilniej strzeżonym więźniem w Anglii. Nawet mnie nie powiedzieli, gdzie go trzymają. Wiem jedno: obiecali mu, że jeśli będzie współpracował, uniknie stryczka. Dureń wyśpiewał im wszystko, co wie. W tej chwili siedzi z jednym z urzędników nad swoimi księgami.

- Zakładam, że były spisywane szyfrem?

- Owszem, ale bardzo prostym. Odczytałem je bez problemu, kiedy były u mnie na przechowaniu. Mam kopie wszystkich nazwisk, miejsc i kryjówek, w których Czerwoni i pomniejsze szajki trzymają kontrabandę. Są rozsiane po całym wybrzeżu. Z wyjątkiem Romney Marsh. Dragoni właśnie dokonują pierwszych aresztowań. W sprawę zamieszanych jest kilka prominentnych osobistości z wyższych sfer. Kazano im zaszyć się na jakiś czas na wsi i przemyśleć swoją haniebną postawę.

- Jak to? - oburzyła się Eleonor. - Nie zostaną aresztowani? Dlaczego?

Chance westchnął ciężko, unosząc do ust kieliszek z winem. Jemu też się to nie podobało, ale niewiele mógł na to poradzić.

- Bo to arystokraci. A ci są niestety nietykalni. Nie ma sprawiedliwości na tym świecie. Pomyśl, jak to by wyglądało, gdyby powiesili kilku hrabiów czy baronów? Pospólstwo mogłoby się zanadto oburzyć zuchwalstwem wielkich panów, a stąd już tylko krok do rewolucji.

- Więc robiliśmy to wszystko na marne? - rzekła z goryczą. - Nie, może jednak nie wszystko. Udało nam się przynajmniej rozbić Gang Czerwonych. Za to Edmund Beales wciąż jest na wolności. Nie potrafię sobie wyobrazić, co zrobi ojciec, kiedy się dowie...

- Znów zaczniesz rozpamiętywać przeszłość i o wszystko się obwiniać. A już prawie doszedł do siebie. Był niemal szczęśliwy przez ostatnich kilka lat. Wszyscy zaczęliśmy cieszyć się życiem na nowo. Sądziliśmy, że sukinsyn nie żyje i czuliśmy się bezpieczni. Do diabła! Nie wiemy nawet, gdzie go szukać.

Elly pomyślała o Ainsleyu i serce ścisnęło jej się z żalu.

- A jednak mamy nad nim przewagę - zauważyła trzeźwo. - Zawsze to jakaś pociecha.

- Masz rację - zgodził się posępnie Chance. - Wiemy, że Beales żyje, za to on jest przekonany, że wszyscy zginęliśmy. Kiedy pojmie, że się myli, będzie już dla niego za późno. Prędkiej czy później go dopadniemy, a nasze twarze będą ostatnimi twarzami, jakie kiedykolwiek zobaczy.

Miała ochotę pobiec do Jacka. Czekał na nią już od godziny. Nie chciała jednak zostawiać brata samego z jego ponurymi myślami.

- Dostałam rano list od Mirandy Phelps - powiedziała, żeby zmienić temat.

- A któż to taki? Zaraz, masz na myśli wdowę po szwagrze Chelfhama? Tym, którego hrabia otruł brandy?

- Tak, biedaczka została sama, bez pieniędzy i dachu nad głową. Na szczęście rodzice przyjęli ją z powrotem do siebie. Napisała, żeby podziękować mi za to, że opłaciliśmy jej podróż. Hrabina podobno zamknęła się w wiejskiej rezydencji Chelfhamów. Boi się, że mogą skonfiskować jej majątek. Sądysz, że to możliwe?

- Cóż, niewykluczone. A czemu pytasz? Zamierzasz dochodzić swoich praw?

- Nie, nie w tym rzecz. Nie przepadam za nią, ale... wolałabym, żeby jej dziecko miało normalny dom.

- No tak, w końcu będzie twoim krewnym...

- Właśnie. Obawiam się, że Beales może zechcieć się zemścić. Maddox jest wprawdzie w więzieniu, ale jego żona... będzie kompletnie bezbronna...

Becket podrapał się po brodzie.

- Nie, raczej nic jej nie grozi...

- Nie byłabym tego taka pewna. Jeśli nie zależy mu na zemście, dlaczego w takim razie kazał zlikwidować Ecclesa?

Oboje wiemy, jaki jest mściwy i pamiętliwy. A właśnie stracił mnóstwo pieniędzy. Za sprawą Chelfhama. Musiało go to rozeźlić.

- Hmm... - Chance znów potarł podbródek i spojrzał na nią z namysłem. - Czego ode mnie oczekujesz?

- Nie wiem, ale powinniśmy chyba coś zrobić, nie uważasz? Pani Phelps jest bezpieczna, ale hrabinę nietrudno będzie znaleźć i skrzywdzić.

- Dobrze, poproszę, żeby wysłali do niej na wieś kilku ludzi. Dostanie ochronę na pół roku? Może być?

Uśmiechnęła się, odprowadzając brata do drzwi.

- Tak, myślę, że to w zupełności wystarczy. Być może martwię się na zapas. Możliwe, że Beales już nigdy nie wróci do Anglii.

- Jeśli nie wróci, sami go znajdziemy - oznajmił z naciskiem Becket. - Prędzej czy później przyjdzie mu zapłacić za to, co zrobił naszej rodzinie. Możesz już biec do swojego obiboka. Powiedz mu, żeby wreszcie raczył wygramolić się spod pierzyny, bo jutro z samego rana ruszamy do Becket Hall.

- No nie wiem, Chance... Trzeba najpierw spytać doktora, czy wolno mu już podróżować...

Uśmiechnął się wyrozumiale.

- Przyznaj lepiej, że jeszcze nie chcesz się nim z nikim dzielić, prawda?

- Nie pleć. - Uniosła z godnością podbródek.

- Nie ma się czego wstydzić. Doskonale cię rozumiem.

Zarumieniła się i niemal wypchnęła go za drzwi.

- Do zobaczenia jutro.

Jeszcze na schodach słyszała za plecami rechot brata.

Gdy weszła po cichutku do sypialni, zauważyła, że ktoś zaciągnął zasłony w oknach. Sądząc, że Jack postanowił się

zdrzemnąć, zaczęła wycofywać się z powrotem na korytarz. Zdążyła zrobić zaledwie krok w tył, kiedy nagle objęło ją w talii silne ramię i zawisła z nogami nad podłogą.

- Nie zostawisz mnie znów samego, prawda? - szepnął jej wprost do ucha. - Nawet na minutę. Tak gorzki zawód ani chybi odbiłby się tragicznie na moim zdrowiu.

- Kto ci pozwolił wstać z łóżka? - zapytała, głaszcząc go po policzku. - O, i widzę, że kazałeś się ogolić...

- Brr... skądże znowu. Nikomu nie pozwalałam zbliżać się do siebie z brzytwą. Golę się sam. Kąpiel też biorę sam. Dlatego nigdy nie zapomnę Treacle'owi i mojemu lokajowi tego, co mi zrobili trzy dni temu. Na szczęście byłem półprzytomny, w przeciwnym razie do końca życia śniłoby mi się po nocach, jak wkładają mnie golusieńkiego do wanny. Co za upokorzenie...

Popatrzyła na niego z uśmiechem.

- Rozumiem, że wolałbyś, żeby położyli cię do łóżka umorusanego sadzą? Kiedy Chance i Treacle wytaszczyli cię z domu Chelfhama, dookoła hulał ogień, a ty byłeś cały usmolony i wyglądałeś jak wielka bryła węgla.

- Nigdy mi tego nie darujecie, co? Co dzień będę słuchał, że zemdlałem jak wystraszona panienka.

- Byłeś bardzo dzielny - powiedziała, przytulając się do niego z całych sił. - To ja wystraszyłam się na śmierć. Nie zemdlałam tylko dlatego, że byłam zbyt zajęta zamartwianiem się o twoje zdrowie. Doktor mówi, że miałeś sporo szczęścia. Gdyby świecznik wylądował ciut niżej, rozłupałby ci czaszkę jak skorupkę jajka. Dziwił się, że tak długo byłeś przytomny. Teraz to o tobie pani Henderson mówi: „moje biedactwo”. Na pewno czujesz się na siłach, żeby już wstać, mój ty kochany bidulku?

- Raczej nie... - odparł, gładząc ją po plecach. - Och, na pewno nie. Bo właśnie... znów osłabłem... Powinnaś mnie natychmiast rozebrać i położyć z powrotem do łóżka.

Roześmiała się, gdy chwycił ją za pośladki i przyciągnął bliżej.

- A mnie się zdaje, że już całkiem wydobrzałeś. Czuję tego namacalne dowody.

- Trzeba to jak najprędzej sprawdzić - oznajmił, biorąc ją na rękę. - Co ty na to?

- Koniecznie.

Chwilę później wylądowali razem na pościeli.

Przewrócił się na wznak, pociągając ją za sobą. Uśmiechała się do niego czule, a on nie mógł oderwać od niej wzroku. Serce rosnęło mu w piersi od samego wpatrywania się w jej ukochaną twarz.

- Przypomnij mi, skarbie, o czym to rozmawialiśmy, kiedy nam w brutalny sposób przerwano? Zaraz, zdaje się, że coś mi mglście świta... Chyba... powiedziałem ci, że cię uwielbiam, prawda?

Pochyliła się i cmoknęła go w nos.

- Znacznie bardziej podobało mi się to, co „oświadczyłeś” nieco wcześniej. Zarzekałeś się, że wkrótce się pobierzemy. I nawet nie będziemy prosili o zgodę ojca. Po prostu mu to oznajmimy. To też pamiętasz?

- Hmm... - Uniósł ze zdumieniem brew. - Naprawdę? Nie przypominam sobie niczego takiego... To pewnie przez ten cios w głowę. Czy ja dobrze słyszałem? Powiedziałaś: małżeństwo?

- Nie, to ty mówiłeś o małżeństwie - odparła, rozpinając mu koszulę.

- Czekaj... Już wiem! Oświadczyłem się, a ty mi

podziękowałaś. Twoja odpowiedź bardzo mi pochlebiła, chociaż wolałbym zwykle: tak.

Przewrócił ją na plecy i ściągnął z niej sukienkę.

- Powiedziałyby: tak, gdybym chciała za ciebie wyjść. Ale... ostatnio zastanawiałam się, czy nie lepiej byłoby zostać kobietą upadłą. Kto wie, może byłabym szczęśliwsza, żyjąc z tobą w grzechu?

- Jeśli powiesz: tak, co dzień będę ci pokazywał, co znaczy być kobietą upadłą, a nauki zaczniemy już dzisiaj.

Uśmiechnęła się i pogłaskała go po twarzy.

- W takim razie: tak - powiedziała, całując go w usta. - Po stokroć „tak”.

- Od dziś już zawsze będziemy razem - szepnął po tym, gdy odbyli pierwszą lekcję dekadencji. - Jesteś całym moim światem, Eleonor.

- A ty moim, Jack. - Objęła go mocniej, rozkoszując się jego ciężarem. - Na zawsze...

EPILOG

- Zobacz, Jack! Tam! Widzisz go?

- Eleonor, skarbie, moja ty najukochańsza żono - odrzekł rozbawiony. - Pokazujesz mi całe stado ptactwa. Jak niby mam rozpoznać tego jednego, o którym mówisz?

- Zaraz się przekonasz. - Wzięła go za rękę i pociągnęła biegiem wzdłuż plaży.

Gdy podeszli bliżej, mewy rozpięzły się z piskiem na cztery strony świata. Wszystkie z wyjątkiem jednej.

- Dzień dobry, Ignatusie - odezwała się Elly, spoglądając na wielkiego białego ptaka, który przyglądał im się z niezmaconym spokojem. - Tęskniłeś za mną?

- Ignatusie? - Zdziwił się Jack. - Ochrciłaś go? I skąd wiesz, że to on? O mój Boże, on... on ma tylko jedną nogę!

- Miał we wsi bliskie spotkanie z pewnym wielkim złym psem. - Eleonor wyjęła z kieszeni zawinięte w papier kawałki ryby. - Callie cudem wyratowała go od śmierci, a Odette opatrzyła mu rany i zajmowała się nim, dopóki nie wydobrzeał. Ale jada tylko wtedy, gdy to ja go karmię. Łączy nas szczególna więź, prawda, Iggy? - Ukucnęła i wyciągnęła rękę, a Iggy zbliżył się do niej ufnie, podskakując na swojej jedynej nodze.

Eastwood przyglądał się tej niezwyklej scenie, przecierając oczy ze zdumienia.

- A niech mnie, on... on naprawdę je ci z ręki...

- Mówiłam ci przecież, że jesteśmy przyjaciółmi. Ignatius mieszka z nami już od pięciu lat. - Odwróciła głowę i posłała

mężowi psotny uśmiech. - Becket Hall słynie z tego, że przygarnia wszelkie przybłądy. Przygarnęliśmy nawet ciebie.

- Racja. Jestem wam ogromnie wdzięczny. Gdyby tylko Jacko przestał mamrotać pod nosem za każdym razem, gdy stanę mu na drodze... Pewnie też zacząłbym jeść mu z ręki.

Roześmiała się beztrąsko, szczęśliwa jak nigdy dotąd. Wreszcie żyła pełnią życia, a każdy dzień z Jackiem był nową przygodą.

Rzuciła mewom resztki ryby i podeszła do męża.

- Moje ty biedactwo - powiedziała, głaszcząc go po policzku.
- Daj mu trochę czasu. Kiedyś się z tym oswoi.

- Oby.

Wsunął do kieszeni papier po rybie i objął ją ramieniem.

- Popatrz.

Spojrzała we wskazanym kierunku i zobaczyła ojca, który stał na pomoście, wpatrując się w fale. Samotny w swoim cierpieniu. Z daleka widać było tylko jego ciemne włosy i powiewające na wietrze połę czarnego płaszcza.

Serce krajało jej się na widok bólu ukochanego papy. Oddałaby wszystko, żeby jakoś mu ulżyć.

Zamrugnęła, żeby powstrzymać łzy, i przytuliła się mocniej do Jacka.

- Upłynął już miesiąc, odkąd Chance powiedział mi o Bealesie. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, co przeżywa.

Westchnął i pocałował ją w czubek głowy.

- Najgorsza jest bezsilność. Na razie nie możemy nic zrobić. I to boli najbardziej. Pewnie miną lata, zanim go znajdziemy i każemy mu zapłacić za jego zbrodnie.

- O ile kiedykolwiek natrafimy na jego ślad. Może się ukrywać dosłownie wszędzie. Mimo to wierzę, że papa doczeka się

kiedyś sprawiedliwości. Zasluguje na to.

Objął ją ciaśniej i pogłaskał po włosach.

- Na pewno. Doczekamy się wszyscy. Musimy w to wierzyć. Wiesz, co mi powiedział? Wczoraj kiedy poszłaś spać? Że świat jest okrutny.

- Boże, Jack... to takie smutne.

- Tak, ale powiedział też, że jest coś, co sprawia, że życie na tym okrutnym świecie staje się znośne. To miłość. Mówił, że kiedy już się ją znajdzie, trzeba ją pielęgnować, bo to prawdziwy i rzadki dar, najlepsza i najcenniejsza rzecz, jaka nas spotyka. To bardzo mądra rada. Zamierzam z niej skorzystać.

- Tak, kochanie, będziemy zawsze dbać o naszą miłość - szepnęła, ocierając łzy. Potem popatrzyła jeszcze raz na ojca i odeszła z mężem w stronę domu.

[1] Mowa o wojnie na Półwyspie Iberyjskim: 2 maja 1808 – 17 kwietnia 1814. (przyp. tłum.).

[2] W. Szekspir, *Makbet*, tłum. Józef Paszkowski, akt 5, scena 1, Warszawa 2018.

Tytuł oryginału
Beware of Virtuous Women

Pierwsze wydanie
Harlequin Mills & Boon Ltd, 2006

Redaktor serii
Dominik Osuch

Opracowanie redakcyjne
Dominik Osuch

© 2006 by Kathryn Seidick
© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa 2019

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji Harlequin Books S.A.
Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części dzieła
w jakiegokolwiek formie.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób
rzeczywistych – żywych i umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Harlequin i Harlequin Powieść Historyczna są zastrzeżonymi znakami należącymi do
Harlequin Enterprises Limited i zostały użyte na jego licencji.

HarperCollins Polska jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins
Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce wykorzystana za zgodą Harlequin Books S.A. Wszystkie prawa
zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B, lokal 24-25

www.harpercollins.pl

ISBN 9788327642448

Konwersja do formatu EPUB:
Legimi S.A.